

ŻYD.

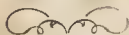
OBRAZY WSPÓŁCZESNE

przez

B. Bolesławitę.

All is true.

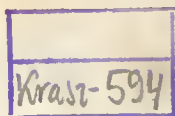
TOM TRZECI



POZNAŃ.

NAKLADEM KSIĘGARNI JANA KONSTANTEGO ŻUPAŃSKIEGO.

1866.



III nr inv.- 596



Poznań, czcionkami M. Ziemna.

Pod wrażeniem rozmowy wieczorniej z Gromowem, poszedł nazajutrz Jakób chcąc się widzieć z Kru-derem, lub rozmówić z Iwasiem, ale pierwszego już nie zastał w domu, a drugiego nigdzie odszukać nie mógł. Wracając ztamtąd, przerażony odgłosem że do ludu strzelają, do bezbronnego ludu który się przy trumnie gromadził, Jakób poczuł w sobie oburzenie i zapał taki, że zapomniawszy o wszystkiém, poleciał na to miejsce gdzie świeżo właśnie padło pięć trupów.

Plac był oczyszczony, pusty, dramat smutny już się odegrał... ale po nim dopiero rozpoczynało się to wrzenie ogólne, ten przestrach chwilowy uczciwszych Moskali, który w nich samych obudził jakąś odrazę do spełnionego czynu.

Czy była jaka rachuba w tej powolności chwilowej, dziś jeszcze trudno wyrokować — to pewna że z Petersburga szły rozkazy sroższe, a w miejscu wahano się z ich spełnieniem.

W naród wstąpiło mężstwo, otucha, zapal nie-słychany, właśnie po dopełnionym morderstwie; trupy noszono po ulicach, lud kipiał, młodzież jeszcze nieprzygotowana do czynu, patrzyła na wybijającą jedyną godzinę, w której istotnie duch był tak nastrojony, że nie rewolucya, ale powstanie ogólne, straszliwe wybuchnąć mogło... Ale stanąć doń nie było z czém...

Rząd czy przez rachubę czy z jakiejś obawy cofał się widocznie; miano odwagę popełnić zabójstwo, ale widok trupów i uczucie wstydu od dalszych wstrzymywało kroków.

Thumy bezkarnie gromadziły się w kupieckiej resursie, gdzie pod wieczór wybrano delegacją do namiestnika ks. Gorczakowa; lud snuł się rozmurzony, rozsrożony... zdawał się czekać tylko jakiegoś znaku. Widząc niebezpieczeństwo, pierwszy raz może pod panowaniem moskiewskim krajowi władzę oddano nad krajem, nad miastem, żądając od niego aby on sam umysły uspokoił i środki stosowne przedsiębrał.

Wieczór ten i dni następujące aż do pierwszych Kwietnia, były wyzwolonego chwilowo narodowego ducha świetną choć żałobną uroczystością.

Ci co te dni przeżyli, co je widzieli, mogą

umrzeć, bo wspanialszego nic już w życiu nie zobaczą, choćby oglądać mieli dzień wielki wyzwolenia.

Jakób chodził w ciągu tych kilkudziesięciu godzin nieprzytomny z miejsca na miejsce, snując w głowie najdziwniejsze myśli, a w sercu jedno tylko mając pragnienie — ażeby żydzi nie odstali od ogółu, aby ta uroczysta chwila połączyć ich mogła z narodem. Czuł on że była stanowczą. Jakkolwiek nie lubił Manna, wiedział że przez niego zrobić mógł wiele.

Mann nie był wprawdzie wybranym do delegacji, ale już jedno otrzymano zwycięstwo, żydzi w niej bowiem przez jednego z najzacniejszych swych reprezentantów, pocziwego Mathiasa Rosena, człowieka wielkiej zasługi, przedstawionymi byli.

Szło bardzo Jakóbowi o to, aby na wielkim owym przysposabiającym się pogrzebie duchowieństwo i ludność żydowska szła razem z chrześcianami, jawnie i widocznie. Znał przykłady podobnych faktów, w których duchowieństwo izraelskie nie wahało się iść obok chrześcijańskiego, pamiętał że w Krakowie w r. 1848 trumny żydów zabitych stały przed kościołem P. Maryi, ale wiedział też że miał do czynienia z surowymi przestrzegaczami więcej form niż ducha, że spotka przeszkody u sa-

mych żydów. Poleciał do Manna, nie tu jeszcze zdecydowanem nie było, ale wieczorem wiedziano już o postanowionym adresie do Cesarza, o dozwoleniu na pogrzeb uroczysty.

Nocą potrafił Jakób obiedz potrzebniejszych ludzi, był tam gdzie się spisywał adress, wpadł do resursy, gdzie pierwszą swą noc bezsenłą przesiały delegacya miejska, obmyślając pogrzeb, porządek, bezpieczeństwo, spokój, strażę; kojąc żale jednych, drugich uspokajając obawy, trzecich niecierpliwości miarkując... W głębi czuli tam wszyscy jak rola ich była pozorną, jak krótkiem być mieli narzędziem w rękach ludzi, którzy sami nie wiedząc co począć, potraciwszy głowy abdykowali.

Wszędzie usposobienia były takie jakich Jakób mógł pragnąć, chrześcijańska ludność Warszawy, nawet ci co wprzód walkę rozdmuchiwali, dziś czuli potrzebę zgody — podawali do niej ręce.

Manna wszakże nie spotkał nigdzie. — Noe zeszła mu na ławce w resursie, na chwyтaniu sercem i uchem wieści i domysłów najróżniejszych. Z brzaskiem pobiegł do mieszkania wpływowego człowieka, który nieco obrażony że nań nie padł wybór do delegacyi, jak Achilles ukrył się w swym namiocie.

Dobiwszy się przez meldunek i hałaśliwe narzekanie na natrętów nieznosnych do gabinetu wielkiego męża, znalazł go już Jakób, z podziwieniem dla siebie, otoczonym kilku osobami, ale w stroju porannym nadzwyczaj prostym, bo w jednej tylko koszuli i bótach. Otyłość nadawała temu ubraniu na prędce zabawniejszy jeszcze charakter.

Rozmawiano gorączkowo; Mann krzyczał nawet głośno i opierał się czemuś widocznie.

Otaczali go zwykli goście i para osób mniej znajomych, oczekiwano jeszcze Mejselsa, a Mann przez uszanowanie dla starca zawołał o tyfitykowy szlafrok, który na ramiona narzucił.

Słowa krzyżowały się żywo, urywane, niespokojne, Mann perorował.

— A tak! wołał — tak! teraz jak baranki łagodne, sami do uścisków idą... kiedy bieda to do żyda... stare to przysłowie, ale powinniśmy pamiętać drugą część jego — a po biedzie pójdź precz żydzie.

— Zdaje mi się że te czasy minęły, rzekł Barthold, zgoda jest szczerą, my z tego usposobienia korzystać powinniśmy.

— Nie — nie, przerwał Mann, wiecie najlepiej że Towarzystwo Rolnicze, ta reprezentacya krajowa,

ono nas odepchnęło od siebie. Znacie panowie listy sekretarza jego do Mathiasa Rosena, w nich wypowiedziano wojnę w sposób nie zostawujący wątpliwości że nam praw obywatelskich odmawiają... Chcą byśmy się do nich wkupili, a my na téj ziemi siedząc od wieków z prawa przyrodzonego mamy też przywileję co i oni; to są feudalisci, to ultramontanie, to fanatycy... Wojna to wojna! nie mięszajmyż się i stójmy na boku...

Mówił tak urywanemi wyrazy a gniewnie, Henryk go powstrzymał.

— Przecież widzisz pan, że tego samego Rosena, któremu łysy pan sekretarz tak uszczypliwie odpowiadał, wybrano do delegacyi... Trzeba kuć żelazo póki gorące.

— Ale z tego żelaza nic nie będzie, chyba dla nas pęta! przerwał Mann. To ludzie niepoprawieni. Jak całą szlachtę diabli wezmą, dopiero zrobimy zgodę.

— Rząd moskiewski tegoby tylko i pragnął, odparł Bartold, ale szlachty nie tępić, nie niszczyć, odmienić ją i do odrodzenia zmusić należy; naówczas ona lepiej zrozumie swój interes, podamy sobie ręce szczerze....

— To ślepi ludzie, przerwał Mann, mojem zda-

niem, stać na boku... co nas to wszystko obchodzi?

— Panowie, przerwał Jakób, stojąc na boku podpisujemy na siebie wyrok, przechodzimy stanowczo do obozu Moskwy, przyszłość okropna i ohydna! Bądźmy szlachetniejsi, idźmy gdzie woła ofiara, ku słabszym i uciśnionym....

Mann począł się śmiać.

— Z tobą, kochany Jakóbie, nie myślę się rozpierać, ty i tobie podobni pójdą, padną i przepadną, nie mam nic przeciwko temu, choć mi cię żal szczerze.... Ogół powinien ocaleć i dla siebie i dla — kraju.

— A na to się zgadzam, rzekł Jakób z zapałem, niech ocali się ogół, większość, ale nie dla siebie samój, niech się uratuje przyjmując na siebie obowiązek pomocy, ratunku, pociechy, dla tych którzy cierpieć będą! W tym celu tylko ratować się wolno....

— O tém potem! odparł Mann zimno machnąwszy ręką, o tém potem.

— Pogrzeb, nie ma wątpliwości, rzekł Bartold, będzie olbrzymią, europejską manifestacją zmarłychwstającój Polski — mamyż pozostać oboję-

tnymi jego widzami? nie zająć w tym pochodzie należnego nam miejsca? Mamyż się usunąć?

— A co ten pogrzeb należy do nas? spytał Mann, nikogo z naszych nie zabito przecie, po co my tam! na co?

— Toć przecie nie sam pogrzeb ale manifestacya polityczna.... U tych trumien stanie naród wołając pomsty na morderców... a my....

— A my? możemy się sobie przypatrywać zdaleka, odpowiedział Mann uparcie. Przy tém, panie Jakóbie, wy có tak gorąco mówicie za przymierzem z chrześcianami, a jesteście tak prawowiernym Izraelitą, jak możecie, znając nasze przepisy, żądać abyśmy szli za ciałami umarłych?? abyśmy szli razem z duchowieństwem? To się jawnie przeciwi naszemu prawu.... Wiesz przecie że nasz Kohen (kapłan) od wszelkiego ciała zmarłego zdala trzymać się jest obowiązany; cóż dopiero gdy to ciało nieczyste, ludzi nie jego wiary i plemienia?

— Tak, to prawda, wiem że Kochanim nasi obowiązani są nawet żony konającej odstąpić... jeżeli nie była ich rodu, aby się nie skalali dotknięciem, ale wiem że prawo które było tak srogiem nie bez przyczyny, wyrozumiałe jest w ważnych wypadkach. Kohen ilekroć dla dobrego uczynku

dotyka trupa, zbliża się doń, zdaniem wszystkich rabbinów, wolen jest od grzechu.

— Zobaczmy co duchowni powiedzą, odparł Mann, zobaczymy....

Właśnie w téj chwili otwarły się drzwi i poważny siwy starzec w starodawnym ubiorze polsko-żydowskim wszedł do pokoju. Pozdrowili go wszyscy z uszanowaniem, był bowiem rabbinem, a prócz tego czczono go z rozsądku, wyższych umysłowych przymiotów i prawości charakteru. Twarz jego wyrażała ten wielki spokój dusz pocziwych, które ziemskimi troskami dotknąć się nie dają.

Mann usiłując go co żywiej uprzedzić, a może zdanie swe jako przekonanie większości mu przedstawić, począł żywo mówić przeciwko udziałowi w pogrzebie.

Stary usiadł, słuchał milczący, cierpliwy, gładząc brodę i niedając najmniejszej oznaki jakie ona na nim czyniła wrażenie. Wszyscy byli doń zwróceni i czekali. Jakób jakkolwiek pragnął, głosu zabrać nie śmiał, postanowiwszy jednak później stanąć w obronie swoich przekonań, jeźliby było potrzeba.

Mann, że mu się nie sprzeciwiano, nabrał odwagi, był gwałtowny i popędliwy; stał się przekon-

nywającym, odwołał do tradycyi i skończył wykrzyknikiem.

— Kilkaset lat znosimy prześladowania, upokorzenia, wzgardę od nich, miałobyśmy to darować? zapomnieć? Nie! Bóg nasz jest Bogiem sprawiedliwości nieubłaganej... nadchodzi może chwila przyobiecanej pomsty....

Umilkł wreszcie zakaszawszy się; staruszek głodził brodę, nieporuszony siedząc w krześle; naostatek po chwili przeciągłej milczenia, głową poruszył, westchnął i począł bardzo powoli takim tonem jakby mówił o rzeczy zupełnie obojętnej.

— Rabbi Jehoszua ben Levi, miał obok siebie sąsiadem Saducejczyka, który mu wielce doskwierał.

Nie mogąc dłużej scierpieć téj męki, postanowił modlić się i prosić Boga o zemstę nad nieprzyjacielem.

Raz tedy gdy modląc się z wielką gorącością, cały skupiwszy się w duchu, chciał właśnie zwrócić do Boga, ażeby wymódlł ukaranie odszczepieńca, dręczyciela swojego....

Gdy już miał to straszliwe wyzwanie pomsty Bożej uczynić i Bożego gniewu... począł łagodnie usypiać i zasnął głęboko a spokojnie.

Gdy się potem ze snu swojego przebudził, roz-

myślać począł i myślał. Ten sen słodki który mi Pan Bóg zesłał, jest Jego upomnieniem. Sprawiedliwy nigdy pomsty Bożej przeciwko nieprzyjaciółom swym wyzywać nie powinien (Talmud Berachot).

Skończył staruszek, głębokie panowało milczenie, Mann tylko oddał wargi i namarszczył się, ale nic powiedzieć nie śmiał.

— I rzekł Pan do Mojżesza, mówił znowu po chwili jakby sam do siebie stary. Izraelici i pogaanie, mężowie i niewiasty, niewolnicy i ludzie wolni, wszyscy są równymi w oczach moich, a każda sprawa ich dobra będzie nagrodzoną. (Jalkut. 20. b.)

Znowu nastąpiło milczenie; nikt słowa wyrzec się nie ważył.

— Gdy Bóg sędzi Izraela, rzekł stary po przestanku nowym, sędzi go w tej godzinie gdy on jest prawem świętem zajęty, gdy sędzi inne narody ziemi, wybiera tę godzinę, kiedy nic złego nie czynią. Sędzi Bóg narody przez sprawiedliwych a nie przez występnych. (Aboda Sara. 3. b.)

I zamilkł znowu i westchnął, a po chwili odezwał się znowu.

— Dla czego w święto Szałasów przynoszą siedmdziesiąt ofiar za siedmdziesiąt narodów ziemi?

A po milczeniu krótkiem począł znowu.

— Kochaj Pana Twojego, wiekuistego. W tém się zawiera przepis, abyś miłym był wszelkiemu stworzeniowi Bożemu, zdąła bądź od grzechu i oszustwa, nietylko dla braci Twych ale względem pogan i wszelakiego człowieka. Kto złodziejem jest dla pogan kraść będzie i u swoich; kto krzywo przeciwko jednemu przysięże, będzie i przeciw drugim fałszywo przysięgał; kto jednemu kłamie, skłamie wszystkim; kto zabija pogan, zabija brata... A prawo danem jest aby wielkie imie Boże było błogosławione. (Jalkut. 267. a.)

Skończył, dodał, słowa Pinchasa syna Eleazarowego: Przysięgam na niebo i na ziemię, że Izraelita i poganin, mąż i niewiasta, niewolnik czy niewolnica, wszyscy sądzeni będą wedle dzieł ich, a na wszystkich nich jako na Deborę, zniżyć może duch Boży. (Jalkut. Sędz. 9. a.)

To rzekłszy starzec powstał i nie mówiąc słowa, pokłonił się, zawrócił, skierował ku drzwiom. Wszyscy z uszanowaniem milczeli, tylko Jakób wybiegł za nim aby mu ręce ucałować i powrócił z rozpaloną, promieniejącą, jasną twarzą.

Mann wstał kwaśny, ruszając ramiony, ale nie mówiąc nic.

Wszyscy powoli brać zaczęli za kapelusze

uważając rozprawy za skończone, kwestyą za rozwiązaną stanowczo. Najmnień pobożni, w tych wyrazach tak trafnie przywiedzionych znajdowali przekonania swe okryte powagą prawa, i radzi byli że się one godziły z księgami które powszechnie za dzieło ciemnoty i fanatyzmu uważają... Ale w tych jak we wszystkich podobno innych księgach znajdzie pocztwy poparcie i niepocztwy naciągnięty wyraz jakiś dla uniewinienia, gdy się uweźmie ich szukać, bo słowo zawsze a litera po ludzku wyszpocić się dają.

Gdy z południa wszedł Jakób znowu do re-sursy, nie było już wątpliwości że żydzi zajmą miejsce przy pogrzebie, że w sprawach ogół obchodzących i oni udział mieć będą. Widział też z radością, że w kraju, szczególnież w warstwach tych które najczynniejszemi były wszelka niechęć przeciw Izraelitom ustępowała miejsca życzliwym usposobieniom. Braterstwo jakby czarodziejską różdżką z dnia na dzień wiązało się wspólném uznaniem jego moralnej potrzeby i sprawiedliwości. Dawni, namiętni przeciwnicy żydów milczeli zawstyżeni, ogół narodu, którego sprawę tak źle popierali, fałsz im zadał, wyrzekł się z nimi współnictwa.

Najgorętsi nieprzyjaciele tego przejednania z obu stron, milczeli, choć może w głębi nie zmienili przekonañ. Jeden dzień i jedna noc nie zwalczyła uprzedzeń, ale je pokonała do tyła że się siebie samych zawstydziły. Ogromna większość osądziła instynktem trafnym, wyrok jój był nieodwołalnym. Prawi ludzie cieszyć się musieli z tego zwycięztwa — a Jakób czuł dumnym i szczęśliwym, był usprawiedliwionym.

Dnie to były schadzek i narad nieustannych, które położenie kraju i dany mu cień chwilowój jakiejś swobody usprawiedliwiał. W domach ludzi większego wpływu i oznaczenia drzwi się nie zamykały, wzruszenie było niewysławione, nadzieje zuchwałe nieco; ale podniesienie ducha wielkie. Przed potęgą jego zdawało się, że wszystko ustąpić musi.

Skreśliliśmy już obraz tych dni w opowiadaniach poprzedzających, powtarzać się nie chcemy; lecz mają one strony tak różne, a ludzie co wpływali na sprawy tak rozmaicie zapatrywali się na nie, żeśmy wyczerpać nie mogli wszystkiego w wizerunku który się jedną ramą objąć nie daje. Zamglone jego plany nigdy może całkiem wyjaśnione nie będą, inne na wieki pozostaną tajemnicą i za-

gadką. Znamy dziś dobrze historią powstania 1831. roku i ludzi co w niej przewodniczyli; tu utajone sprężyny, maleńcy na pozór i nie głośni działacze, tysiące poplątanych nici... w ogóle niespodzianki na każdym kroku, co chwila zagadki, których przyszłość nawet całkiem rozwiązać nie potrafi, głoski ich niewyraźne każda zmazuje godzina; — tylko potwarz i uprzedzenie tłumaczą wszystko złem i zdaje im się że zrozumiały wszystko.

Wrócimy więc jeszcze do dni tych pamiętnych, i wnijdziem do jednego z tych domów w którym najchętniej zbierali się ludzie zaprzątzeni sprawą ogólną... a mogący wpływ na nią wywierać.

Jak społeczność żydowska tak szlachecka wcale naówczas jednolitą nie była; usposobienia, wychowanie, przekonania, zasady dzieliły ją na kilka obozów. Najsilniej jednak stało zawsze: to, nie powiemy stronnictwo, nie chcielibyśmy powiedzieć obóz, nie możemy nazwać — część narodu — ale ten szereg ludzi, który uparcie trzymał się (nie bez instynktu pewnego) przeszłości — całej a nie-naruszonej.

Mówny otwarcie, ulica zwała to kółko ultramontańskim, my go tak nazwać nie możemy, chociaż cechą jego było wielkie przywiązanie do ko-

ściola i wiary, ale nie mniejsze do narodowych tradycji. Tylko na nieszczęście — na tę ludzi gromadkę jak na wszystko u nas, oddziaływała, odbarwiła się na niej zagranica, cudzoziemczyzna, naśladownictwo. To jój nadawało pozór ultramontański charakterowi narodowemu niewłaściwy.

Przychodzi nam dotknąć téj drażliwej strony naszych dziejów współczesnych, a czynimy to z musu i nie bez największego wstępu...

Wiemy bardzo dobrze jak potrzebni są krajowi ludzie zachowawczego ducha, piastunowie tradycji narodowych, stróże wiary praojców, nikomu téż grzechu z tych przekonań czynić nie myślimy.

Szlachta ma swe posłannictwo, ona w chwilach pokoju powinna popychać do postępu... Szlachta każdego narodu, nowe przybierając żywioły, wzmacniając się i ludźmi i ideami wieku, jeśli chce żyć i nie zostać zepchniętą ze stanowiska, musi być czynną. Bierny opór za życie nie starczy.

Nasza téż szlachta w części spełniła swoje zadanie, ale wiele z niego uroniła. Podróże za granicą, wychowanie cudzoziemskie (do którego zresztą przymuszona była uciskiem i niedostatecznością krajowego) lekkomyślność wielu — czyniła ich krajowi prawie obcymi. Nosili oni imiona swe i szla-

chectwo jak dziedziczne orderzy wygasłej dynastji, jako pamiątki bez obowiązków. A że potrzeba było niby coś robić, niby w coś wierzyć, niby coś podtrzymywać, wywieszono sztandar ultramontańskich barw, zamiast staropolskiego katolickiego. Polska była katolicką, jest nią i będzie, mimo ucisku i prześladowania wiary; oprócz tego że katolicyzm duchem i sercem przyjęła całém, czuła w utrzymaniu go interes, bo on ją wiąże z cywilizowanym światem, on ją wychował i oświecił. Ale pomiędzy katolicyzmem polskim, francuzkim, włoskim, angielskim i niemieckim są, mimo jednostajności zasady, ogromne charakteru różnice.

Wyda się to może dziwnem; tak jest przecież w istocie, różnica ogromna, kto nie wierzy, niech z wiarą polską pojedzie nieco po świecie, przypatrzy się za granicą i rozsłucha.

Katolicyzm polski był Chrystusowy, duszny, serdeczny, oświecon, jego formy pełne były soków żywotnych; gdzieindziej z tych form suche tylko pozostały łupiny. Przy wszystkich usterkach ludzkich, więcej było szczerzej wiary w Polsce, niż w całej może Europie. Byliśmy ludźmi, ułomnymi, ale przyjęliśmy ducha nauki Chrystusowej do serca,

szliśmy do dobrego, do coraz lepszego, gorąco przez nieustanne walki ze światem.

Wiara ta nasza posłuszna głowie kościoła, do tych jednak pewników które stanowią ultramontanizm cudzoziemski, zbyt niżej nie przywiązywała wagi. Nie jasno może wypowiadamy myśl naszą, ale historia od czasów reformy wskaże najcieplej z jaką swobodą pocziwą, z jaką wyrozumiałością szlachetną strzeżono u nas wiary, nie zrzekając się formy, ale żyjąc duchem Chrystusowej nauki — miłością.

Nie wiem czy to płynęło z samej treści ducha polskiego, czy było wynikiem niepochwyconym walki z reformą w XVI. wieku, płodnej u nas w skutki niewidzialne, w samym nawet kościele.

Polska może jedna miała ten katolicyzm rozumny, które postępowym nazwaćby można, a który w istocie był katolicyzmem z ducha i serca, katolicyzm szczerzy, przez którego formy poważne dobijała się do jądra, do głębi nauki Chrystusowej, do tego co stanowi jej świętość i wielkość.

Gdy we Włoszech religia stała się niemal zabawką i bałwochwalstwem, u nas nigdy przepych obrzędów, poszanowanie zewnętrznych praktyk nie zabiło ducha...

Byliśmy dalecy od ultramontanizmu ślepego, nieśmiejącego rozbierać, ani rozumować, bojącego się roztrząsać, bo teorya tego despotyzmu ducha, nie godziła się z naszą miłością swobody.

Byliśmy też tak pewni naszej prawdy, tak głęboko o niej przekonani, żeśmy się o nią nie obawiali, wystawiając ją na próby rozumowań, roztrząsań i wszelkiego boju.]

W ostatnich dopiero czasach zjawił się u nas przesadzony zkądinąd, tak zwany ultramontanizm bez ducha, który już z religijnej wychodząc sfery staje się nowym, całym systemem społecznym i politycznym... Ci co się do szeregów jego zaliczają, są naturalnie monarchicznymi (tego im za złe nie mamy) legitymistami (na nieszczęście bez dynastyi), nieprzyjaciołmi postępu, a restauratorami porządku, często chociażby syzmatyckim bagnetem zaprowadzanego, jak Ks. Golian i..... *nomina sunt odiosa*.

W kraju jak nasz podległym uciskowi obcego narodu, rola konserwatorów jest jedną z najtrudniejszych do utrzymania. Moskwa burzy i idzie obalając rewolucyjnie wszystko, więc należy stać przeciw niej choć z biernym oporem; ale jakże to pogodzić z legitymizmem, konserwatyzmem i mo-

narchicznością? Wielka część ultramontanów przez sam wstręt do rewolucyi i rewolucjonistów (któremu się wcale nie dziwujemy) stawiała często po stronie moskiewskiego rządu — rewolucyjnego, t. j. nie wiedząc co począć, jak się pogodzić z jego dziwaczną fizyognomią monarchiczno-radykalno-demagogiczno-rewolucyjną. Nieprzyjaźń otwarta Moskwy ku katolicyzmowi odstręczała niektórych i zmuszała stać na boku... Słowem byli to, i są, ludzie nie wiedzący co począć z sobą, przesadzeni widocznie zkadinał a nie wyrosli z domowych potrzeb i okoliczności — w położeniu pożyczaném i fałszywém.

W tém stronnictwie, w ostatnich czasach mieściły się w większej części, najznakomitsze intelligencye, ludzie największego wpływu, najczystsze go charakteru... wpędzone strachem i wstrętem do rewolucyjnych zasad. Fałszywe położenie czyniło z nich daremnych męczenników, stawiało ich często w sprzeczności z sobą samymi.

Przerzucając się z kolei to do rządu który im niezbyt dowierzał, to do kraju którego się lękali zapalów napiętnowanych rewolucyjnym rozpasaniem — nic powstrzymać, niczemu zapobiedz nie mogli, zaledwie w małej części zdołali sami się uratować.

W tém kółku do którego przylegało i przylega

wielu ludzi, wcale w duszy niekatolickich, ale pragnących mieć zaszczyt należenia do téj sfery, w której się stare i piękne obracają imiona, mieściło się mnóstwo wolontaryuszów różnych stopni, pełniących wszelakie posługi. Choroba na arystokracją nigdzie może bardziej niż u nas rozpowszechnioną nie była. Jak mieliśmy zawsze więcej wodzów niż żołnierzy, tak téż w końcu więcej się znalazło znakomitości tytułowych, rodowych niż prostej, dobrej, stariej szlachty... każdy się czepiał do jakiegoś ilustracji, do antenata podejrzanego, do jakiegoś cudzoziemskiego tytułu komuś kiedyś przez kogoś, za coś nadanego, aby się z tłumu wyróżnić kosztem zapomnianego bohatera. Tłumaczono owo: *noblesse oblige*, nie innym obligiem tylko tém, że się musiał już taki wystąpić szlachcic zapisać w szeregi zachowawcze. Niejeden się na to może i zżymnął, ale szedł, musiał, miłość własna rozkazywała. Dużoby o tém powiedzieć można, ale nie pora podobno i to co się powiedziało, prawie za wiele.

Ten w szlacheckim świecie obozisk oddzielny, naturalnie nie policzający tolerancyi religijnej do cnót nakazanych przez kościół — nigdy z żydami zgody zupełnej, przymierza i równouprawnienia nie przypuszczał.

Tu katolicyzm fałszywie pojęty, kazał niby odpychać. Wspomnienia stare żywiej mówiły, niż potrzeby nowe.

Ale gdy po Lutowej tragedyi naród cały zgodnie podał dłoń Izraelitom i uznał ich obywatelami, to stronictwo nie ważyło się też protestować.

Po cichu tylko szemrano, uśmiechano się, żzymano, a przy drzwiach zamkniętych oburzano nawet.

Najdziwniejszym wypadkiem, Jakób tego wieczora, gdy tłumno jakoś było wszędzie, znalazł się w kółku złożonem przeważnie z żywiołów o których wspomnieliśmy. Nikt go tu prawie nie znał bliżej, wzięto łatwo za adepta; temu był winien że mógł być rozmów świadkiem które na innym, mniej wyrozumiałym człowieku zrobiłyby wrażenie złowrogie.

Towarzystwo składało się z gospodarza który złożony chorobą z krzesła nie wstawał, ale był energią umysłu, bystrością pojęcia i prawością charakteru wyższym od zdrowych co go otaczali i z osób kilkunastu po większej części ze wsi przybyłych.

Miedzy nimi odznaczał się ogromem wzrostu, zamaszystością ruchów i niepomiarkowaną a silnie ubarwioną mową pewien pan, którego od przysłowia „Jak Boga kocham“, niewyraźnie a często po-

wtarzanego, przewzano *Boakoam*. Był to pięknego imienia szlachcic, dziś z niegdyś ogromnej przodków spuścizny osiadły na niewielkim majątku, o przekonaniach twardych i dowcipie ostrym i zjadliwym.

Oprócz niego kilku hrabiów i pseudohrabiów, dosyć szlachty staréj, kilku orthodoxów z młodzieży co nauki kończyła w zakładach Jezuitów za granicą w Bawaryi i Belgii, składali towarzystwo. Rozmowa toczyła się około bieżących wypadków, dowcip naturalnie ostrzył się na nieszczęśliwych równouprawnionych.

— Nie ma wątpliwości że za lat jakie sto, rzekł Boakoam, jako ktoś dowcipnie przepowiedział, doróżkarzami będą hrabiowie P. i Z., a ich pałace przejdą w ręce R., K. i L.

— Bardzo to być może, odparł gospodarz, który téż do jednej z rodzin wymienionych należał, jeżeli my tak jak dotąd iść będziemy. W każdym razie wina nasza... Mogliśmy i możemy wcielić i wsiąknąć tych R. K. L., zużytkować ich, ale na to nie mamy odwagi ni siły, reszty majątków tracimy na fatałszki, brzydzimy się pracą, oni są skrzętni, baczni, wytrwali... zwyciężą!

— To jest, kochany hrabio, że chcąc aby nas żydzi nie pożarli, trzeba nam samym żydami zostać,

ozwał się Boakoam — piękna rada! Ale jeśli mamy ginąć, no to już ginimy jakimi jesteśmy. Próby nas nauczyły, że do materyalnych spraw, do groszowych spekulacyi nie jesteśmy zdadni... W co się obróciły żegluga, towarzystwa, spółki...

— Wszystko to prawda, mówił gospodarz, ależby już przyszło się nam przyznać do takiego upadku, do takiego jakiegoś organicznego defektu, do zmarnowania się ostatecznego... a! nie chcę uwierzyć temu! My się dźwigniemy!

— Święteby twe słowa były, panie hrabio, rzekł szlachcic wioskowy, ale abyśmy się dźwignęli trzeba nam wodzów, którychbyśmy tak jak Was szanowali i wierzyli w nich.

— Nie możecie do pracy spokojnej mieć lepszego nad tego którego macie; naród nim uznał pana Andrzeja, on jest nim — ma cnotę, rozum, charakter, wszystko.

— Przepraszam hrabiego, przerwał Boakoam, pan Andrzej święty, zacny, prawy, tylko go nie zapręgajcie do polityki, bo wóz z miejsca nie ruszy.

— To nie chorujemy na niewczesną politykę, odparł gospodarz, ta nas do niczego nie poprowadzi — dość ona już nam klęsk zadała. Naszą po-

lityką, rolą, gospodarstwo, praca, nauka, oszczędność i poprawa obyczajów.

— Tak, tak, odezwał się ktoś inny, ale cóżemy winni że młodzież i miasto nas pcha.

— Młodzież ma odwagę czynu i wy ją miejcie, mówił chory — nie chcecie rewolucyi, mówcie jasno i wyraźnie. Zgubą naszą że siedzimy na dwóch stołkach. Nie powinniśmy się dziwować ślepemu, uczciwemu, heroicznemu zapałowi młodzieży, która krew swą chce nieść na ofiarę, ale dziwię się temu że my dosyć zapału nie mamy, aby z równym mężstwem i determinacją stanąć przy swoim. Tymczasem przez tchórzowstwo poklaskujemy wszystkiemu i dajemy im robić co zechcą.

— Tośmy zginęli! rzekł ktoś z towarzystwa.

— E! panie, nie! żydzi nas wyratują, zawołał Boakoam — zawarliśmy przymierze z nimi — ocaleni będziemy.

Wszyscy śmiać się zaczęli.

— Jest rzeczą dowiedzioną, dodał gospodarz seryo, że oni od nas więcej mają rozumu.

— A pożyczyć go nam, jak pieniędzy, nie pożyczą.

— Bo od rozumu, wrzucił inny, nie mielibyśmy

im pono czém procentu opłacić, kiedy kapitału braknie.

Śmiano się znowu — Boakoam westchnął.

— Ej! héj! zawołał — bodaj to dobre stare czasy, gdy żyda nie znaliśmy innego nad arędarza, któremu wolno było brodę wytargać.

— Nie wróć! nie wróć! rzekł ktoś inny.

— Świat się psuje!

— Zważajcie tylko panowie, podchwycił brunet poważny, którego rysy jakoś dziwnie wschodniego były typu — wszystko powoli przechodzi w ręce żydowskie. Trzymają już giełdę i panują na niej, a giełda rządzi światem, rządzi nawet rządami, które bez niej nie dostaną pożyczki, a bez pożyczki wojny ani pokoju nie mają; rządzą opinią przez prasę, której najcelniejsze organa mają w swém ręku. W Prusiech, w Belgii, w znacznej części Niemiec dziennikarstwo jest przeważnie w rękach żydowskich; we Francyi nawet niemal w każdym dzienniku żyda domacać się można. Mają swoich członków w parlamentach, izbach, ministeryach.

— Co dziwnego, rzekł Boakoam, Waćpan wiesz że stary szlachcic polski bez faktora się nigdy nie obszedł, a częstokroć go za sobą na furze woził. Europa, jak my, podupadła moralnie i materyalnie,

rzędy skiepsciały, z pozwoleniem, więc faktory za nie robią wszystko.

— Farmazonstwo, demagogia mają w nich podpory! rzekł inny.

— No! no! no! a toż jak z giełdą pogodzić? spytał drugi — giełda przecie z natury swój rewolucyjną być nie może?

Zamilkli nieco.

— Liberalni są, demokraci, ale do pewnej miary, rzekł pierwszy, dość liberalni by katolicyzm podkopywać, ale konserwatyści gdy idzie o wojnę, bo téj nie chcą.

— My się już od nich nie odczepim, dodał Boakoam — przepauliśmy.

— Nikt nie ginie inaczej tylko własną winą, powtórzył gospodarz.

— Tak! tak! ale przeróbże nas, jeżeli łaska, przerwał otyły — z tego rodu królewiat przywykłych do swobody dla siebie — dziś trudno wyrobić prostych robotników, których nam potrzeba. — Żydzi mają intelligencyą, pieniądze, stosunki, przebiegłość, skąpstwo, a my nic. —

— Potrzeba się dorobić..

— A tak! tak! dajcież środki, wołał Boakoam, dajcie środki! Rząd ciśnie, dusi, ogłupia; zubo-

zeni, sterani, rozpieszczeni z kądże zaczerpniemy siły?

— W uczuciu obowiązków...

— Z téj beczki! rzekł Boakoam — popróbujże no czerpać... Nie łatwo, brak nam czém... Nie wiem czy już nadchodzi finis Poloniae, ale finis nobilitatis Polonae... to pewno... Czuć nas trupem.

— Słuchajże, przerwał gospodarz wolno, widzisz mnie, mało mam życia, każda godzina śmiercią mi zagraża; w takim położeniu nie kłamię człowiek, nie pochlebia, a o świat który ma opuścić niebardzo się troszczy. Nad grobem stojąc, powiem wam, spojrzcie na siebie wy co prorokujecie upadek, winni go będziecie sobie. Rozbierzcie postępowanie szlachty od r. 1791. aż po dziś dzień, szukajcie imion wielkich, pokażcie mi prace, usiłowania, ofiary; policzcie zmarnowany pieniądz, imiona, żywoty i talenta na bałamuctwa i fraszki. Brak nam było ludzi, brak ducha, a jeśli za karę zniewieściałości przyjdzie zguba... któż winien? Rzeczy na świecie dzieją się wedle praw nieodmiennych, liść zeschnięty opada, klasy społeczne nie spełniające posłannictwa giną i zlewają się z innymi. — Jeżeli, jak przeczuwacie, żydzi wezmą górę, to dla tego, że my im ją naszą niedołężno-

ścią wziąć dopuścimy, dla tego że summa ich zasług i przymiotów dodatnich będzie większą od naszych... Potém wolno nam pisać poemata i płakać.

— Mój Boże, rzekł jeden, mój syn służyć może będzie za ekonoma u jakiego Hersza.

— Ale ba! byłoby to bardzo jeszcze szczęśliwie żeby on go raczył przyjąć, przerwał Boakoam — jabym tego nie zrobił... Śliczny z niego będzie gospodarz!!

Śmiechem skończyła się poważna rozmowa, ale Jakób już wytrzymać dłużej nie mógł i uważał za obowiązek odkryć kto był.

— Przepraszam, rzekł, jeśli zrobię niespodziankę wyznaniem, które uważam za powinność z méj strony... Sądzę że panowie... nie wiedzieli że ja jestem... żyd!

Wszyscy spojrzeli nań prawie przerażeni tém odkryciem; Jakób stał bardzo spokojny.

Najmnień zmieszanym był gospodarz i Boakoam, który się śmiał.

— Otoż masz, kochany panie, toś się dopiero nasłuchał!!

— Ja to cierpliwie i nie bez korzyści wysłuchałem, rzekł Jakób — proszę nie sądzić żebym miał jaką urazę. — Tego coście panowie mówili,

każdy się z nas prawie domyśla, tak jak panowie moglibyście przeczuć co się u nas téż czasem rozpowiada... o panach...

— Na honor, to ciekawe zdarzenie! rzekł ktoś z boku. •

— Panowie zresztą aż nadto pochlebnie wyrażaliście się o nas, mówił Jakób. Mamy przymioty ale mamy i wady, do tych się chętnie przyznajemy.

— Nie wszyscy! szepnął gospodarz.

— Jak panowie, podchwycił Jakób. Ale gdy o tém mowa, a ja mam zaszczyt, choć wypadkiem, należeć do narad i uwag o przyszłości, powiem otwarcie iż nie sędzę byście panowie na sojusz z nami narzekać mogli. Jest on na pozór wstrętliwy, bo wam zawsze cebulę i łapserdak przypomina.

— Jak Boa koam dobrze mówi! zawołał gruby.

— Ale w dzisiejszych okolicznościach, kończył Jakób, przyjaciół i sprzymierzeńców nie możecie mieć do zbytku.

— Tak, gdyby na przyjaźń waszeciów liczyć można, rzekł Boakoam — będziecie z nami dopóki nas nie zgniotą; przejdziecie do nieprzyjaciela gdy padniemy... wzgardzicie nami, a może i mścić się przyjdzie chętna...

— Nie, zawołał Jakób, gdyby między nami

było tylko kilku tych przekonań co ja — a jest nas wielu — nie dopuścimy narodowi skalać się... będziemy wierni w doli i niedoli!

— Aby z doli i niedoli skorzystać, przerwał Boakoam, przebacz, szanowny panie, że otwarcie mówię, ale się już poczęło, wygadało dosyć, brnijmyż do ostatka. Przypuszczam wszystko złe nasze, wady szlachty, winy nasze — *mea culpa*, sam jestem po uszy w tych mętach... ale dalipan, gdy popatrzę na waszych Izraela wodzów, których tu widzę w Warszawie — jak Boa koam nie mogę rozpoznać czém od nas są lepsi! Oskarżacie nas o pychę arystokratyczną, no, pójdźcież do którego z bankierów tutejszych, poproście ich przedpokojów, ich słodkiego przyjęcia, ich uprzejmiej rozmowy, serdecznego obejścia tonu i grzeczności, uczynności i miłosierdzia... potem, jeśliście uczciwi, powiedzcie kto lepszy. Słowem panu ręczę, że pan Andrzej, który liczy nieprzerwany szereg przodków od Floryana Szarego i ma antenatów krwi królewskiej, jest o wiele popularniejszym...

Ale... dajmy pokój.

Jakób się uśmiechał.

— Temu nie będę zaprzeczał, rzekł, są u nas różni, ludziska i ludzie. Grosz ma to do siebie

że jak niestrawny pokarm, odyma; rodzi pychę, czyni człowieka niedostępnym. Tylu jest nań chciwych, tak nieustanne są napaści na kieszenie żydowskie, iż dziwować się nie godzi trochę grubiańskiej obronie. Zresztą powiem jeszcze uniewinniając trochę mych współwyznawców, że odpychani od towarzystwa, wszędzie spotykając kose wejrzenia, szyderstwa źle ukryte, wstręty i uprzedzenia, nie mogli nabrać uprzejmości. Cywilizujcie nas panowie, dobrymi przykłady.

— Więc handel, rzekł Boakoam, my wam damy maniery, a wy nam trochę waszego praktycznego rozumu.

— Zgoda, odparł śmiejąc się Jakób, ale jeszcze jedno. Mówiłeś pan tylko co o tych ludziach z szorstką skorupą, z nieprzyjemnem obciążeniem, ja panu zaręczyć mogę że ci ludzie tak dumni, nieprzystępni, często nawet niegrzeczni, czynią, pomimo to, tyle dobrego, że ich o nie z powierzchowności nawet posądzić nie można.

— To prawda, że nie można! rzekł Boakoam.

— W obec panów, mówił Jakób śmiało wśród zakłopotanego milczenia, w obec reprezentantów przeszłości mówić o tém co nią już być nie może, bardzo trudno. Jednak pozwolicie mi, jako żydowi,

zrobić uwagę, że nic nie powraca, że świat nie idzie już wiedziony na paskach przez jedną klasę narodu, ale o swój siłę, domagając się praw równych... Przywileje nie istnieją.

— Ale przyznasz mi pan, przerwał brunet, że społeczeństwo nawet bez żadnych przywilejów, same sobie zostawione, musi się zawsze rozdzielić na klasy, na organiczne swe części żywotne...

— Tak, ale do tych klas prawo będzie dawać intelligencya, nie zważając na pochodzenie.

— A tradycyeli zawołał gospodarz, uszanujcież tradycyeli

— Zgoda, ale całej klasy narodu na straży tradycyi czy nie za wiele? — Dosyć byłoby jakiejś jej części jak w Anglii... A ta klasa wybrana jeśli się odżywiać nie zechce...

Boakoam głową kiwał.

— Wszystko w rumel, rzekł, chłopci, my, żydzi, cyganie...

— I mieszczanie, dodał Jakób.

— I najczystsza *fine fleur* arystokracji.

— Z otrębiami razem...

— Jeśli się panowie złęgniecie otrębi, rzekł Jakób, mąkę wiatry rozniosą.

— Wszystko to bałamuctwa, nowe teorye i dok-

tryny, a w głębi ich rewolucya, dodał ktoś z boku. Ja panu otwarcie powiem, w postęp nie wierzę bo go nie widzę, w nowy porządek nie ufam bo ich było na świecie bez liku a skończyły się zawsze nowym nieporządkiem... Ale w to wierzę iż Pan Bóg chce świat skarać zamętem.

Wstał z miejsca, za nim ruszyli się inni.

— Słowo jeszcze, rzekł Jakób. Jesteśmy nowi ludzie, ale przyjmując godność obywateli kraju, po długich latach proskrypcyi, bądźcie panowie pewni, przyjmiemy téż ciężary i obowiązki, potrafimy się poświęcić, służyć jednej sprawie, bez przechwałek, z pokorą, wiernie i pocziwie. Jeśli żyd nie poczuł się dotąd obywatelem, nie był Polakiem, nie on sam winien temu... ale nieszczęsna przeszłość o którą Polski nie obwiniam ale wieki ciemnoty.... Przedewszystkiem pragniemy wszyscy światła! światła! więcej światła! jak wołał Goethe, a stanie się świat po myśli Bożej.

— Już coś z pisma świętego! rzekł Boakoam, ja się rejteruję, bo mi ksiądz rozgrzeszenia nie da, gdy się dowie że ze starym zakonem miałem do czynienia w nieprzytomności nowego. Dobranoc.

Wypadki biegły z nieubłaganą szybkością, logiczne niestety, aż do zbytku, przerażające już widmami przyszłości, którą się ludzić nie było można, gotowała się straszliwą. Nigdyby wszakże Polska nie była zaszła tak daleko, tak nieopatrzenie, gdyby po setny raz nie dała się złudzić współczuciem Europy, Zachodu! — Rzucano naprzód półsłówka i rady, półobietnice, potem prawie zachęty. Najupartsi przeciwnicy rewolucyi pociągnięci zostali tokiem ogólnój, zbyt obiecującej polityki, która w końcu musiała się uznać zwyciężoną i ze wstydem odepchniętą przez siłę zwierzęcą; dostawszy pięścią w policzek.

W chwilach w których się opowiadanie nasze rozwija, jeszcze ci co widzieli jaśniej nawet, ludzić się mogli że do wybuchu nie przyjdzie; czyniono co było w mocy garstki ludzi dobrej woli, aby mu zapobiedz. Jakób należał do tych, którzy z własnego natchnienia i toku wypadków (nie mało téż

nań wpłynęły rozmowy z Gromowem) wyrobili w sobie przekonanie o niebezpieczeństwie rewolucyi i niechybnym jój upadku. Więksi od innych politycy, współwyznawcy jego, połączywszy się z narodem w dniu 2. Marca, zajęli stanowisko pośrednie grupując się przeważnie około Margrabiego. Margrabia, jak to widać było z samego działań początku, z przemówienia jego do żydów, które się wybitniejszém stało jeszcze rzuconą jednocześnie duchowieństwu groźbą, obrachowywał siły jakie mu Izraelici przynieść mogli, chciał się oprzeć na nich. Popierany téż przez nich, licząc na ich poparcie, w końcu nieszczęsném postępowaniem bez taktu, i ich sobie naraził, a pomnożywszy liczbę nieprzyjaciół w narodzie, połączenie z sobą żydom niepodobném uczynił.

System Wielopolskiego dwulicowy, na pół z rządem, jeżeli nie więcej jeszcze; przypadał do usposobienia Izraelitów, którzy zbyt daleko posuwać się nie chcieli, ani dla narodu zrywać całkowicie z tymi, których zwycięztwo przewidywali. Wszelako świeżo dokonany ślub ze szlachtą i ogółem kraju zmuszał do pewnych ofiar, okazów, do pewnego woli powszechnój posłuszeństwa.

Gdyby przejednanie Margrabiego z krajem było

możliwém, byliby je naówczas dokonali Izraelici, starający się o to mocno, nie tający wcale swój sympatyi dla meża stanu, przeceniający nawet jego przymioty. Podróż jego do Petersburga, w znacznej części przygotowaną, ułatwioną (może i coś więcej jeszcze) była, przez przyjaciół mojżeszowego wyznania, którzy jedyny ratunek widzieli w Margrabi. Ich staraniom winien on był może swe przyście do władzy... są sprężyny tajemne, są środki niedostrzeżone, któremi wiele dokonać można. Wielopolski dał był rękojmnią poszanowania wyznań wszelkich, a co więcej, wypowiedział otwarcie wojnę (i nie w porę i bez przyczyny) stronnictwu ultra-katolickiemu (rząd w rządzie).

Był to i błąd i podobno komedia... dla pozyskania sobie stronnictwa, w którym izraelska intelligencya miała głos przeważny. Margrabia pomimo to więcej był usposobiony wewnętrznie iść z konserwatorami niż z liberalnymi i postępowymi, mieliśmy tego później liczne dowody. W dodatku jednym słowem niebaczném pchnął całe duchowieństwo w opozycyą i rewolucyą, nie obliczywszy sił jego i wpływu. Szlachta znalazła się w położeniu szczególném, odpychana przez rewolucjonistów z jednej strony, przez Margrabiego z drugiej, omi-

jana przez wszystkich, ujrzała się w upokarzającej bezwładności, niemożności bronienia się i działania.

Mała jój część przeszła do gorętszych, najnniejsza pociągnęła do Brülowskiego pałacu łykać rozmówki i upokorzenia któremi ją do syta ojciec i syn karmili; reszta czekała wypadków, z góry przewidując, że cokolwiek się stanie, padnie ich ofiarą.

Kraj grupował się nieśmiało, w obronie legalnego postępu i pracy powolnej pod sztandarami wątpliwemi Margrabiego, który szedł znowu nie mogąc się oprzeć ciągnącemu go rządowi; usiłując próżno obronić gorętszej młodzieży która z dniem każdym stawała się silniejszą i szła zapamiętale naprzód.

Gromow napróżno po kilkakroć widywał się z przywódcami ruchu, próżno starał się ich przekonać że zgubią kraj przedłużając agitacją, przysposabiają wybuch za lada iskierką; starano się go uspokoić tém, czego nikt nie był pewien, że rewolucya do kalend greckich odłożoną zostanie. — Patrząc z boku, Gromow widział już jasno nadchodzącą chwilę gdy wstrzymać jój nie będzie podobna.

Położenie Jakóba było przykre, a przekonania

odosobniały go zupełnie. Wprędce postrzegł się sam że unikano go wszędzie, że i biali i czerwoni taili się przed nim, choć go nie odpychali stanowczo.

Pomiędzy swoimi zamiast wpływu do którego miał prawo, widział także nieufność i odrazę.

Jest to nieszczęśliwym losem wszystkich ludzi pewnych wyrobionych przekonań, nie przyjmujących bez inwentarza programu żadnego stronnictwa, a trzymających się na stanowisku pośredniem, że w chwilach ostatecznych zostają zupełnie osamotnieni.

Do ukształtowania tego co się partją zowie potrzeba fanatyków, ludzi słabych umysłów a wybujałych namiętności, wreszcie intrygantów, którzy przekonania poświęcają ambicyi, lub właściwie prócz interesu żadnych nie mają. Głową stronnictwa bywa zwykle człowiek dobrej wiary, rozgorączkowany do zaślepienia ideą, lub ambitny; szeregi wypełniają się zaciągowymi różnego wzrostu i miary. By należeć duszą i ciałem do stronnictwa jakiegoś, potrzeba zaprzędania się; uczciwy człowiek może być biernie posłusznym gdy tego kraj wymaga, ale czynnym serdecznie bez głębokich przekonań, nie potrafi.

Jakób choć wszędzie miał wstęp, postrzegł ła-

two, że nigdzie nie miał wpływu, a w istocie nie należał do niczego. Rodziło to w nim boleść niezmierną. Ale poświęcić to w co wierzył dla wciśnięcia się gdzieś, dla zajęcia stanowiska, nie umiał. Najlepszym swym przyjaciółom mówił często bolesne prawdy i odstręczał ich od siebie; nie mógł w sobie zatrzymać słowa gdy je zrodziło serce.

Iwaś który był bardzo czynnym a kochał Jakóba, stronił też od niego. Pytany zbywał go żartami lub tłumaczył się niewiadomością; Kruder mówić z nim nie lubił, uciekał od niego prawie, chociaż sam podobne prawie stanowisko zajmował, tém przecie różne, iż od pochylenia się stanowczego w tę lub ową stronę, więcej go ambicya niż głęboka wiara wstrzymywała. Należał on do tych, co się *łękali zużyć*, czekał, wypatrywał, projektował całą siłę i energią rzucić na stawkę, ale dobrze wprzód szanse gry obrachowawszy, aby jeśli nie wygraną, to przynajmniej sławę dobrego gracza pozyskać.

Ale jak zawsze i tu rachuby go zawodziły.

Stronnictwo starożydowskie z którym Jakób już dla tego sympatyzował, iż ono trzymało się prawa swego i szanowało je, miało go przecież za rodzaj

odszczepieńca i marzyciela, temu niebezpieczniejszego, że w talmud uzbrojonego.

Jego wykład prosty prawa Mojżeszowego nie podobał się mistykom.

Z drugiej strony to co składało inteligencją, ludzie wychowani w pruskich uniwersytetach, hegliści i filozofujący, lub ci co nigdzie się nie ucząc, za najlepsze *proprio motu*, uznali w nic nie wierzyć, patrzyli na Jakóba z politowaniem i wstrętem. Naprzód jawnie i otwarcie uznawał się żydem co ich drażniło, powtóre żądał wiary, zasad, jedności, a tu tylko rozumnie pojęty czczono interes.

W chwili gdy jak najmocniej starał się i potrzebował być czynnym, Jakób znalazł się wśród pustyni, sam jeden; pustynia ta rozszerzała się codziennie, odbiegali go wszyscy, nikomu nie był potrzebny.

Rewolucyoniści wiedzieli dobrze że wybuchu za dobre nie uzna, więc ręki doń nie przyłoży; przyjaciele Margrabiego napróżno go chcąc skłonić aby się poddał i służył mężowi stanu, w końcu przekonawszy się że jest nieugiętym, ustąpili.

Z Moskalami Jakób żadnej nie miał styczności, ani najmniejszego stosunku. Z pobratymców Mann

go nienawidził, bo mu nie ulegał i czcicielem jego brzucha być nie chciał, (głowy powiedzieć trudno). Opiekun dawny z którym zachował stosunki, ojciec Tildy, należał do brülowskiego pałacu ciałem i duszą — stali więc z sobą na zimno; Henryk podobno ujęty jakąś wizytą kogoś z członków rodziny Margrabiego, służył mu i wychwalał go. Bartold mniej poddańczo, mniej wyraźnie, chylił się także do tego systemu. Młodzież izraelska gorętsza bała się Jakóba dotknąć aby jój nie ostudził rozumowaniem. Bądź co bądź z nią on jeszcze był najlepiej, bo w niej było uczucie prawdziwe, gorące i szlachetne. Ale obowiązek nakazywał powstrzymywać je, to mu miano za złe. Słowem, Jakób postrzegł się niepotrzebnym i odsuniętym.

Wśród ruchu z jednéj, a poczynających się prześladowań z drugieј strony, gdy wszystko parło na krańce, Iwaś wszedł raz wieczorem do niego i położywszy mu rękę na ramieniu rzekł stanowczo:

— Jakóbie, chwila się zbliża gdy kraj ofiary zażąda; przychodzę do ciebie po podatek, przynoszę ci kwit, oto masz upoważnienie. Ocenisz sam ile dać możesz.

Jakób się zamyślił.

— Od ofiar się nie uchylam, rzekł, znasz mnie

nadto, byś o tém mógł powątpiewać, ale dając muszę wiedzieć na co daję. Słowem honoru mi zaręczę że nie na przygotowania do walki orężnej.

— Kiedy tego wymagasz, zawołał Iwaś, to muszę ci dać słowo... że pieniądz właśnie na broń jest przeznaczony.

— Sumiennie więc odmówić go wam muszę, odezwał się Jakób.

— Ty?

— Ja... Dam połowę, dam więcej niż pół majątku dla kraju, ale nie na to aby podpalić własny dom który... spłonie.

— Człowiecze małej wiary! podchwycił Iwaś, zimny rozumie, dla czego ty chcesz widzieć jaśniej od serc zagrzanych najgorętszym uczuciem miłości ojczyzny, które wszystko obali i zwycięży? Mamże ci się tłumaczyć że jesteśmy prawie pewni pozyskania ludu, że mamy z sobą duchowieństwo które go poprowadzi, bo nam je dał Margrabia, że zyskałiśmy wielką część twoich spółwyznawców, że szlachtę opieszałą strachem z nory wykurzym i zmusimy by poszła, że w Rosyi gotuje się także rewolucya, że Garibaldi obiecuje nam posiłki, że Węgry dadzą broń, pieniądze, ludzi, że Austria prawie pewnie obojętném okiem patrzeć będzie na

kłopoty sąsiadki, a Anglia i Francya poprą nas niechybnie...

— Czekaj, przerwał Jakób, rozbierajmy pojedyńczo.

— Ani chcę ani umiem rozumować z uporem, krzyknął Iwaś, nie masz wiary to ci jój nie dam, ty mi mojej nie odbieraj... Nie chcę słuchać, dajesz pieniądze czy nie?

— Na rewolucyą? — nie.

— A gdy się ona stanie czynem i wszyscy pójdą z nią?

Jakób smutnie spuścił głowę

— Wszyscy, nigdy, rzekł, ale gdy się spełni to co ja uważam za zgubę dla kraju — oddam co mogę i pójdę... Poświęcić się potrafię, z boleścią tylko bo to ofiara — daremna.

— O to się nie frasuj... Ale Jakóbie mój, my potrzebujemy pieniędzy dziś, zaraz — ty nam je dać musisz.

— Nie mogę.

— Jestem i byłem twoim przyjacielem i obrońcą, podchwycił Iwaś, ale przedewszystkiém jam rewolucjonista, na środki się nie oglądam. Wiesz co cię czeka jeśli odmówisz? Może śmierć, a niechybnie plama...

— Słuchajże, zimno odpowiedział Jakób, płama, nie. Człowiek się sam tylko splamić może, nigdy drudzy; to co ty zowiesz płamą ja nazywam męczeństwem. Co się tyczy śmierci, no... powiem ci że się jój w żadnym razie nie lękam. Ocalenie życia lub majątku ofiarą przekonai głębokich jest według mnie, nikczemnością. Ze strachu nie zrobię nic. Każecie mnie zabić, zabijają. Wierzę w sprawiedliwość Bożą i nieśmiertelne życie duszy.

Iwaś się rozśmiał łagodnie.

— Tyś stare dziecko, mój drogi, rzekł z politowaniem, żal mi cię, nie do naszego stworzony jesteś wieku, patrzę na ciebie jak na ciekawego wyrodka, jak na istotę co przespawszy lat tysiąc obudziła się wśród nieswoich czasów. No — ale cię szanuję...

Jakób podał mu rękę w milczeniu.

— Nie przerobisz mnie, rzekł — to darmo, czuję ja codzien że świat co mnie otacza nie dla mnie stworzony, ale muszę i ja na coś w nim być potrzebny, gdy mi żyć kazano i dźwigać żywota obowiązki.

— Ja powracam do pieniędzy. —

— Iwaś! rzekł Jakób biorąc klucze, potrzebujesz ich *dla siebie*, ile?

- Nie — przynoszę kwit.
- I mówisz że ich użyjecie na kupno broni?
- Sumienie mi kłamać nie pozwala.
- Sumienie mi dać nie dopuszcza.

Schował klucze do kieszeni.

— Słowo jeszcze, rzekł Iwaś, jesteś jednym z pierwszych co odmawiają tak stanowczo — muszę cię uprzedzić, że przykład twój gorszący nie może ująć bezkarnie, że zechcą cię skarcić surowo... że ja sam, z bolem serca wotować za tém muszę... Jakóbie, zginiesz!

— Każdej chwili i godziny zginąć mogę, odparł Jakób — to nie będzie pobudką do niczego.

— Ja cię proszę...

— Ja cię błagam, nie proś daremnie. Powiedz mi że chcecie ocalić ludzi prześladowanych przez rząd, ułatwić im ucieczkę, założyć dla nich szkołę, wyrobić im przytułek, zapewnić im fundusze, oddam ostatnie, pójdę zebrać dla was na ten cel... ale na rewolucyą... ani złamanego szeląga.

— Milczę, zawołał Iwaś — dość na tém.

— Widzieliście Gromowa?

— Dwadzieścia razy.

— Cóż mówicie na jego argumenta?

— Że jest Moskal... oni wszyscy w słowach

gorący, do czynu bojaźliwi... Dla nich czas nigdy nie przyjdzie, ich spiski rozwiązują się mikołajowskiem: Na kolana, łajdaki! — Pół tysiąca lat jeszcze zostaną tém czém są. — Gorzój, ja Gromowa posądzam że jest agentem.

Jakób rozśmiał się ruszając ramionami.

— Wielce podejrzana figura.

— Ale to co mówi jest nacechowaném znajomością położenia.

— Ty wiesz że my się rozumowaniom wszelkim bronim zatykając uszy. — Rozum! rachuba! to u nas nie ma miejsca... to nie nasze są żywioły... Nam potrzeba szалу, szalem tylko możemy się dźwignąć... Pójdziemy przeciwko milionom z kijmi w ręku i wierzym że je pokonać musimy.

Jakób zamilkł.

— Wyście bohaterowie, zawołał po chwili, wierzę wam, wielbię was, ale policzcież się! wielu was takich jest?

— Trzech czy milion! to mi wszystko jedno, za nami pójść muszą tłumy.

— O! nie znacie ludzi — pójdzie garstka za wami, ale garstka tylko, a wśród niej jeszcze będą ci co są wszędzie gdzie zamęt, gdzie nieład i wrza-

wa, żywiły których ani zużytkujecie, ani zawładnąć niemi nie potraficie.

Iwaś zakąsił wargi.

— Dość tego, rzekł, tyś zimny jak lód, tyś egoista i tchórz... bądź zdrow... Cokolwiek cię spotka, umyвам ręce.

— Dobrze, odparł Jakób, czyń co ci każe twe przekonanie, lecz w chwili gdy się tak nieprzyjaźnie rozstajemy z sobą, Iwasiu, podaj mi dłoń gorącą, pożegnajmy się jeszcze po staremu... będzie co Bóg da!

Iwaś się zawahał.

— Nie, rzekł, od téj chwili przyjacielem twym nie jestem, będę wrogiem.

— Iwas! ty szalejesz! na miłość Bożą.

— Cały należę do sprawy, nie ma dla mnie przyjaciół, bądź zdrow...

— Słowo jeszcze...

— Ani słowa! dajesz pieniądze?

— Nie mogę.

— Więc dla kraju nie chcesz poświęcić przekonania?

— Ani dla kraju, ani dla niczego w świecie się ich nie poświęca — nigdy! odparł surowo Jakób. Mogę się poświęcić do tyła tylko że z założonemi

rękami patrzeć będę na to co większość postanowi i uczyni, ale robić przeciw przekonaniu — nigdy.

Iwaś choć ogarnięty szalem był przecież pocziwym chłopcem, w progu już serce mu zadrgało, poczuł politowanie i szacunek, odwrócił się.

— Nie, nie, rzekł, bądź co bądź, jesteś uczciwym człowiekiem, szanuję cię. — Daj mi rękę — uściskajmy się.

I rzucił się w objęcia Jakóba, który był mocno wzruszony.

[J] — Ale jeśli jutro każą mi cię zabić, dodał Iwaś po cichu, przyjdę i z zimną krwią nóż ci w piersiach utopię... Ojczyzna przedewszystkiem.

— Ja także ten ślepy twój heroizm uniem szanować, zawołał Jakób, ale go nie podzielam... Stanie się z nami obu co napisano w księdze przeznaczeń. Straszne czasy! o straszną niowola i ucisk, które do takich porywów, uczuć i czynów przygotowują! Straszna będzie odpowiedzialność na sądzie Bożym tych rządów, które do takiej rozpacz i zapomnienia przywodzą!

Zamilkli, Iwaś ze łzą w oku wyszedł*). Na-

*) All is true; staramy się tylko prawdę jak ją widzieliśmy malować; — ta scena cała jest więcej niż prawdziwą. jest historyczną.

zajutrz Jakób czekał dekretu, gotował się na wszystko możliwe, ale miał tam dobrego rzecznika w przyjacielu i nie ogłoszono ani imienia jego jako zdrajcy ojczyzny, ani mu dano znać o jakimkolwiek wyroku.

Tylko Iwasia ani żadnego ze stronnictwa gorętszego nie widział więcej, wszyscy się od niego usunęli całkowicie.

Gdy się to działo właśnie, w parę dni po rozmowie, zdziwił się nieco Jakób ujrzawszy wchodzącego do siebie starca w dawnym ubiorze polskich żydów, w którym nie poznał zrazu Jankiela Mewes, tego kupca który pierwsze bezpieczne ukrycie Iwasiovi zapewnił. Znajomość ich tak była krótka, choć zostawiła po sobie miłe wspomnienie, że zrazu bytności Jankiela u siebie wytłumaczyć nie umiał.

Stary był zamyślony i smutny, przypominał się Jakóbowi, powiedział mu bez ogródki że mu się naówczas podobał i że nie chciał, będąc w Warszawie, pominąć zręczności przypomnienia się.

— Nie mam to ja interesu żadnego, rzekł, at — chcę wiedzieć co się dzieje, aby powróciwszy ztąd umieć się pokierować. Cóż słyhać? groźno mówią, straszą.

Westchnął.

— W istocie groźnie patrzy przyszłość, odparł Jakób — ale w każdym wypadku więcej jest Bożego niż ludzkiego, trzeba skłonić głowę z posłuszeństwem nawet przed tém co się nam straszném wydaje.

— Tak jest, rzekł Jankiel, tak jest — ale może być prawdą co mówią, że młodzież chce się porwać?

— Chcą czy nie, zawołał Jakób, może samą siłą rzeczy przyjść do tego. Rząd zdaje się sam popychać, ułatwiać, aby mieć powód do zemsty... Oni rachują na lud...

— Na lud — podchwycił Jankiel — na lud! Ja go znam najlepiej. Lud złym nie jest, ale ileż to powodów przy ciemnocie, znękanii, aby stanął opornie? Lud nie rozumie Polski dotąd, poszedłby gdyby widział siłę, ale sam jój nie stworzy, bo w sobie nie czuje popędu. W r. 1831 mieli wojsko, skarb, ludzi... a nie utrzymali się — cóż dziś?

Stary potrząsł głową i po cichu powtórzył ustęp z psalmu (u żydów 89. — u nas 88.):

— „Wywyższyłeś prawicę tłumiących go, uwe-
„seiliłeś wszystkie nieprzyjacioły jego.

„Odjąłeś pomoc mieczowi jego, a nie ratowałeś go na wojnie.

„Ukróciłeś dni czasu jego, oblałeś go wstydem.

„Dokądże panie odwracasz się do końca?“

Zamilkł.

— Boleję nad nimi, dodał po przestanku — jakbym bolał nad Izraelem, bo to naród płochy, dziwny, lekki a serdeczny; nieszczęścia nawet nie zahartowały go, ale mu nie odjęły wielkiej wiary i szlachetności. — Gdy inne narody rachują, on płacze, gdy inne chytrością się zbawiają, on szczerotą ginie i miły jest jak dziecko swawolne; a ginącego łzami opłakiwać potrzeba... albowiem zginie! — rzekł stukając laską o ziemię — zguba jego uchwalona jest, podzieli losy nasze... choć na lepsze może zasłużył!

Smutno mi — dodał powoli — widzę, patrzę, a stare oczy moje co już na ziemi postrzegają tylko mroki gęste, w przyszłość patrzą jasno, daleko... Biada im! biada!!

Jakób westchnął smutnie.

— Czyż nie ma siły coby ich powściągnęła?

— Któż powstrzymać potrafi, gdy Boża moc popycha? kto zna losy jego i czytał w wyrokach Opatrzności? — mówił Jakób uniesiony — czyja

dłoń sięgnie na dno rzeki krwi aby z niej dobyć co się tam tai?

— Tak, wola Jego się stanie, ten który jest uczyni co rzekł przed wieki, my ślepi... milczmy, ale pełnijmy obowiązek.

Wielu z naszych powie, ratujmy siebie — tak jest, ratujmy siebie, ale ratujmy siebie dla tego abyśmy ich ratować mogli. Wielu z naszych powie, — oto godzina zemsty wybiła, pójdziemy i pomścimy się wiekowych upokorzeń i nędzy — ale nie! Bóg nas już pomścił — my braci winniśmy w nich widzieć, acz poganami są. Mieszkaliśmy z nimi długie wieki i przywiązało się serce nasze do dzieci ich, i zapominamy urazy a pamiętamy żeśmy przybysze znaleźli przytułek i rozmnożyli się jako piasek w morzu na ziemi ich i jedli chleb ich potem pokropiony... i grzebaliśmy kości ojców na ziemi téj.

Po com przyszedł zgadniecie, dodał, boję się abyśmy pojednani z nimi nie poszli przeciwko nim; wstydby mi było za dzieci Izraela... Ty masz serce zdrowe — mów.

— Mówić! odparł Jakób smutno — a! dobrze, ale któż mnie posłucha!

— Jakto? zapytał stary.



— Jam tu tak samotny, że się z nikim zejść, nikomu nic rzec nie mogę — rzekł cicho Jakób. — Dla jednych nadto jestem żydem, dla drugich za mało... Nie mogę nic...

— Nie frasuj się, mówił stary, czy ci idzie o to ażebyś przewodził widomie? nie? z pokorą więc idź a mów, słowa twe wejdą jako ziarna zdrowe, gdy te któremi mówią ludzie fałszu rozmieście wiatr i spłucze burza — słów twoich słuchać nie zechcą i ramiony ruszą na nie; nie frasuj się, nigdy inaczej ludzie nie przyjmują prawdy; ale ci nie idzie o to aby rzeczono było, że słowo to twojem jest i z twój piersi wyszło, żeś ty jego rodzicem... bo wszelkie dobro w człowieku Bożem jest natchnieniem. Więc czyń swoje w cichości, a daj się chlubić innym że uczynili więcej, lepiej, lub że oni sami tylko dokonali wszystkiego.

— Pocieszacie mnie i dodajecie otuchy, zawołał Jakób — więcej nad wyraz wszelki wdzięczen wam jestem...

— A! ja sam potrzebuję też pociechy i otuchy, mówił stary, bo i przyszłość straszna i obawiam się abyśmy jój nie dźwigali w sromie... a serce moje popiołem posypane i dom mój żałobą okryty.

— Dom wasz? zapytał Jakób.

— Nie badaj mnie, mówił stary — widziałem węża gdy pełzł do łoża mego, ale nie postrzegły go oczy innych i dali mu się wcisnąć aż do piersi naszych i sromotnie zranił nas...

— Nie śmiem was pytać, rzekł Jakób.

— Sam wreszcie wyznam... tajemnicy nie ma, bo złe wiadomem jest światu rychło, a złoczyńca jawny dla ludzi i bez wstydu...

Starcowi łza potoczyła się po licu wyschlém.

— Na co mi teraz, mówił, to mienie które zbierałem w pocie czoła, co mi po dostatku, gdy dziecko które ukochałem obcem się stało, dla mnie umarłem...?

Jakób wstrzymywał się od pytań, ale starzec mówił już sam, coraz się rozżalając więcej.

— Byliście w domu u Dawida Seebacha? Znaćcie ojca i syna? Nie może tam być dobrze gdzie żadne prawo nie jest poszanowaniem! Lepszy jest może poganin który swój wierze pozostał wiernym, niż Izraelita który poniewiera religią i zdradza ją. Czegoż się było spodziewać po niewiernych? Pocóż dziecko moje na tę drogę patrzyło, a śmierć mu lepiej oczów czystych nie zamknęła! Lija! Lija moja uwiedziona została przez tego człowieka bez serca... poszła z naszego domu z hańbą... on ją

porzucił, jam się jój wyrzec musiał, odtrącić, aby u jednego stołu nie siadała z czystém dzieckiem mojem. — Ona się wala w nędzy, odepchnięta, gdy ja... tysiące składałam w skrzynie, a dać jój na chleb nie mogę... Z krwi mojej Mamser! o wstydzie i hańbo... Za cóż mnie Bóg tak ukarał?

Dawid był żonaty, jest żonaty, a nikt nie wiedział o tém!

Widzieliście Liją gdy byliście u mnie, widzieliście to dziecko niewinne które złego nie przezuwało nawet, a zdrady się nie domyślało. Była piękną jako dzień, a stała się czarną jak piekło i nędzną jak najostateczniejszy żebrak... A co ją czeka?

Stary poczał toczące się łzy ocierać i pochwycił się za siwe włosy z rozpaczą.

— A! wy jesteście uczciwym człowiekiem, ddał, ratujcie mnie, pomóżcie mi; ja ojciec nie mogę wyciągnąć ręki do dziecka upadłego, téj ręki którą czyste całuje... a mnie się serce krwawi, a nie ma ktoby mi pomógł!

— Zrobię co tylko każecie, przerwał Jakób, ale gdzież ta nieszczęśliwa?

— Tu, zawołał starzec z wysiłkiem, tu jest, ale ani ona o mnie, ani ja o nią wiedzieć nie

mogę. Jeśli zostanie opuszczoną... bo ten ją nie-
cny porzucił i uciekł pohańbiwszy dom mój —
ona może upaść niżej od najniższych i zwała się
w prochu ta która była dzieckiem mojem. Pora-
tujcież ją tak aby się ręki miłosiernej nie domy-
ślała... od siebie... przez kogoś...

— Mówcie, uczynię wszystko co mogę.

— Oto są pieniądze — jałmużna, weźcie z nich
ile chcecie, niech ona się nie tuła, rzekł stary spie-
sznie dobywając pugilares który rozerwał nie otwo-
rzył — niech ma gdzie płakać spokojnie pokryjomu,
aby ją ludzkie oczy nie paliły, niech ma gdzie zło-
żyć głowę... niech jej nie zbędzie na niczém. Ale
uczynicie to jakby od siebie.

To rzekłszy starzec złożył na stole drżącemi
rękami pieniądze i świstek papieru na którym nie-
wyraźnie po żydowsku wypisany był adres Liji, po-
tém począł płacząc ścisnąć Jakóba.

— Ja, dziś jeszcze odjechać muszę, ja tu nie
mogę żyć... Napiszcie mi... A! nie! nie — nie
piszcie... przyjadę znowu, powiecie... nie piszcie
lepij. Ratujcie ją tylko. To dziecko pieszczone,
słabe, wątłe... a choroba, nędza, praca, boleść...

— Dość, przerwał Jakób, spuście się na mnie,

nie rozdzierajcie sobie serca... będę dla was służą wiernym...

— I nie żałujcie tego grosza który mi się na nic nie zdał, dodał Jankiel, a nie mówcie że pochodzi odemnie, ani że od matki... powiedzcie że Bóg ulitował się nad nią, że dalsi krewni przyszli...

Mowę ojcu biednemu łzy i łkania przerywały, całował Jakóba, potem jakby oprzytomniawszy a podniósłszy ręce do góry począł się modlić ofiarując Bogu strapienie swoje (Psalm. u żydów 56.):

„Zmiłuj się nademną Boże, boć mię podeptał „człowiek, przez cały dzień najeżdżając utrapił „mnie. Podeptali mnie nieprzyjaciele moi cały dzień, „albowiem wiele walczących przeciwko mnie, od wy- „sokości dnia ulękne się, ja lepak w tobie nadzieję „mieć będę...

„W Bogu wysławiać będę mowy moje, w Bo- „gum nadzieję miał, nie będę się bał co mi uczyni „ciało...”

Jakób także łzy miał na oczach.

— Dziękuję wam, rzekł, gdy starzec przestał się modlić, za zaufanie we mnie, tém więcej że małoście mnie znali...

— Ale ja wiele dobrego o was słyszał, sze-

pnął Jankiel uspokajając się, powierzam wam srogą ranę duszy mojej, lekarzem bądź litościwym... Nie piszcie do mnie... cierpieć będę w pokoju i poddaniu się Bogu... przybędę sam...

Niespodziane te odwiedziny głęboko poruszały Jakóba, serdecznie pragnął dopomódz biednemu ojcu, którego łzy i głos boleści pełen, stały mu długo w oczach i uszach...

Od owego wieczora, gdy Jakób tak, chłodno się znalazł w obec rozczulonej Muzy, stosunki jego z pierwszém piętrem widocznie się zmieniły, chociaż nie stało się to nagle, ale powolnie i stopniowo. Z narady późniejszej wypadło widać iż na niego nic a nic rachować nie było można, chociaż trzymano go jeszcze w odwodzie, na wszelki wypadek. Henryk choć żonaty był daleko więcej obiecujący. Muza nie łudziła się jego miłością, rachowała na namiętność, która bywa od niej silniejszą, choć krótką. Matka poczyniała téż, niespokojna znowu, nastawać, aby liczniejsze towarzystwo męskie wprowadzić do domu.

W parę dni potém, mówiła do córki:

— Ponieważ ci głupi poznać się na tobie nie umieją, byłabym tego zdania, że nam nic nie pozostaje tylko rozszerzyć koło naszych znajomych, zawiązując stosunki z Rosyanami. Oni są chciwi towarzystwa i lepiej podobno znają się na ludziach

niż nasi wykwintnisie... potrzeba ich tu koniecznie sprowadzić.

— Myśl nie jest zła wcale, odpowiedziała Muza, u nich kobieta wykształcona jest rzadszą, to jéej daje prawo sięgnąć gdzie zechce... najwyżej. U nas wymagają zbyt wiele, zbyt różnych przymiotów... Przystaję na to, bądź co bądź na Jakóba nie mogę rachować, jest człowiek uczciwy ale bez serca dla kobiet, bez czucia żadnego... ostygły zupełnie. Musiałam się prawie żydówką stać dla niego, a i to nie pociągnęło... W końcu już mnie to nudzi... i do niczego nie prowadzi... Tego wieczora przekonałam się że nic, ale to nic... nie można liczyć na niego...

Jednakże, dodała ciszej Muza, nie żebym ja miała jakiś afekt szczególny dla Henryka, bo tego nie czuję, ale mówię mamie, ja na niego dużo rachuję. *Il est à moi...* Tilda jest coraz gorzej, *elle deperit à vue d'oeil...* Gdyby nawet żyła i ozdrowiała, wszakże u nich rozwód nie jest rzeczą tak trudną, dzieci nie mają... a toby był mąż dla mnie...

— Moja duszo, zakrzyknęła pani Wtorkowska, ja ci mówię że *la lune de miel*, mogłaby być zapewne niebiańską... ale potem!! To jest człowiek

z temperamentem gorącym a głową zimną... ja się go boję...

— O! co ja to nie! odpowiedziała Muza, wiem przynajmniej co na niego działa... gdy na Jakóba nie ma środka... Może łyż! ale ja znów płakać i nie lubię i nie umiem... nudny jest, patetyczny...

Skutkiem późniejszym téj rozmowy pułkownik Sofronow i major Hierasimowskoj zaczęli jakoś bywać w domu pani Wtorkowskiej; starała się ona zaćmić ich naprzód przepychem i wykwintnością przyjęcia. Oba się szalenie zajęli panną Muzą, Sofronow zakochał nie żartem. Ale że to był człowiek nader praktyczny i chorował na politykę, przedsięwziął, jak się sam wyrażał po francuzku, *faire d'une pierre deux coups*.

Zbliżywszy się począł nieco wybadywać pannę o jęj przekonania polityczne; Muza gotową była mieć takie jakie się korzystniej zastosować dały. Dawniej na koncertach w resursie na ubogich, grywała chętnie rzeczy trochę patryotyczne... ale z równą obojętnością i wszelką inną manifestowała się muzyką, umiała *Boże Cara chroni*, *Krasny Sarafan*, *Trójkę* (udałuju) i t. p.

W ogóle Moskale dosyć się jęj podobali... Choć w początkach agitacyi 1861. trochę się przez

ciekawość do nich mieszała, bo matce i jój zdawało się że ją to może uwydatnić, uczynić popularną, dać adoratorów a w końcu i męża; gdy się potem przekonały o tém że to do niczego nie prowadzi — usunęły się... Dom więc pani Wtorkowskiej nie miał wydatnej barwy aż do pojawienia się pułkownika Sofronowa... Leżały na fortepianie w dobrej zgodzie, Boże coś Polskę, Z dymem pożarów, kompozycye Lwowa i Glinki.

Przybycie Pułkownika zmieniło zupełnie usposobienia pani i panny na mocno zachowawcze i lojalne. Oprócz tego ponieważ udawały arystokratyczny dom przed Moskalami, uznały słuszném nadać sobie tę barwę właściwą... i narzekać na rewolucjonistów.

Sofronow był człowiekiem nader zręcznym; wprzód nim wybadał te panie które za Polki uważał, nie drażnił ich uczuć patryotycznych, o niektórych polskich ludziach i pamiątkach odzywał się z uszanowaniem, o teraźniejszości cierpko i z ubolewaniem raczej niż niechęcią.

W początkach nawet szалу dla pięknej Muzy, która go była oczarowała, jako prawy Moskał a człowiek bardzo praktyczny, ledwie się obronił pokusie żeby pannę podciągnąć pod śledztwo polity-

czne, wsadzić na parę miesięcy do cytadelli i tam spokojnie w kazemacie z nią, pierwsze rozdziały romansu, bez żadnej przeszkody... przesnuć sobie szczęśliwie. Jemu się to zdawało nawet bardzo prostém; o pretekst do aresztowania nie było trudno... a w sądzie wojennym miał mnóstwo przyjaciół!! Ale rozmyśliwszy się zaniechał tego pięknego planu... który podobno przez innych jego towarzyszków, używany był czasu rewolucyi... U Moskali, narodu excentrycznego, i miłość oryginalne czasem przybiera formy.

Za drugą czy trzecią przydłuższą rozmową, pułkownik Sofronow postrzegł że z paniami temi bezpiecznie otwartym być może, Wtorkowska często odzywała się z nader lojalnemi wspomnieniami o dynastyi, o cesarzu Mikołaju i Aleksandrze. (Mamma jej miała od niego naszyjnik ametystowy w podarku, nie wiadomo za jakie zasługi); bolała ona nad szaleństwem kraju; Muza umiarkowanie liberalna, tyle ile w Moskwie w słowach być wolno każdemu, wielbiła emancypacyą chłopów i wynosiła cesarskie reformy, z pogardą mówiąc o tłuszczy rewolucyjnej. Sofronow wybadawszy je pewien był swego, ale myślał że przez ten dom, który mu się na oko wydał poważnym i mogą-

cym na kraj wpływać — możnaby podziałać na ludzi, zawiązać tu jakieś kółko, obudzić reakcją.

Zakochany w Muzie po moskiewsku, sam dobry muzyk i wielki diletant, osnuł już powoli cały plan, do którego nawet ewentualnie wchodziło i ożenienie; ale ze zwykłą ślepotą ludzi świeżo do kraju nieznanego przybyłych, omylił się zupełnie co do znaczenia, wpływu i stanowiska w świecie pani Wtorkowskiej. Jego ani to imię, dla nas już wiele mówiące, ani przyjęcie, ani ton, niedostrzeżonemi odzieniami dorobkowiczostwa i fałszywego wykwintu na kredyt, nie raziły. Brał za dobrą monetę i wielkie ich stosunki i majątek i znaczenie. Dziwił się tylko nieco że ilekroć po za domem wspomniał komu o Wtorkowskich, albo półgębkiem lub milczeniem mu odpowiadano.

Tłumaczył to sobie jednak opiniami politycznemi tych pań, które je niepopularnemi czynić musiały.

Łatwo mu było zbliżyć się do Muzy, umiała ona ośmielić, pociągnąć, zawiązać stosunki i utrzymać je. Każde odwiedziny pułkownika z nieporównaną zręcznością tak się obracały że obowiązywały go do następnych; miał coś przynieść, odeśłać, donieść, powiedzieć.

Matka okazywała się najłagodniejszą, nieprze-

szkadzającą do niczego; najczęściej zajęta była po za salonem, a w salonie na pół głuchą. Sofronow był w uniesieniu.

— Pani, rzekł po kilku tygodniach preludyów siadając raz przy Muzie — niech mi pani daruje, że ją dziś nieco utrudzę za poważną może rozmową.

— O! czyż pan mnie masz za tak lekką?

— Nie, ale gdyby nie konieczność miałbym sobie sam do wyrzucenia, że zamiast mówić o tem co z serca płynie, zamiast patrzeć w te czarowne oczy, będę mówił co głowa podyktuje.

Proszę pani, dodał po chwili, sądząc że panie mieć pewien wpływ na kraj możecie. Czemu się nie staracie oddziaływać nań? Rewolucya gotuje się widocznie, Polska idzie do zguby. My tu jesteśmy, mimo sił jakeimi rozporządzamy, prawdziwie obcy, nie rozumiemy kraju, czynnie nań działać niepodobna. Czemubycie nam nie pomogły?

— My? kobiety?

— Ale kobiety w Polsce grają przeważną rolę, mieszacie się przecie do manifestacyi.

— O! to ten... motłoch! wzgardliwie odparła Muza, to tłum a nie kobiety lepszego towarzystwa.

— Zgoda, ale wyższe towarzystwo winno też mieć swe przekonania i manifestować je.

— Daruj pan, ja sędzę, odparła Muza, że kobiety z ulicą nic wspólnego mieć nie mogą.

— Ale w salonie też skutecznie działaćby mogły.

— A! do czego nam ta nudna polityka!

— Godzę się na to z serca, rzecz to nie ważna, ale czasy, czasy są ciężkie bardzo. Panie macie obowiązki względem kraju. Rząd robi co może ale bez przyczynienia się was samych nic nie potrafi.

— Cóż my możemy?

— Pani, rzekł Sofronow, daję pani uroczyste słowo honoru że dobrze życzę Polsce (rozumie się w połączeniu z nami i w rozsądnych granicach téj Polski) ale i ja i drudzy jesteśmy ślepi.

Muza widząc już do czego to zmierzało, zarumieniła się, rumieniec ten przeleciał po jęj twarzy jak błyskawica, pomyślała że podając rękę zyskać może siłę, podnieść dom. Któż wie? szepnęła myślą aż do stopni tronu sięgając, a przynajmniej do pałacowój alkowy. Spojrzawszy w zwierciadło potwierdziła się w przekonaniu że mogło to bardzo stać się rzeczywistością.

— Azatém, rzekła chłodniej, mów pułkownikowi otwarcie, proszę cię bardzo.

— Bądź pani moim doradcą i przewodnikiem, odezwał się Sofronow, macie stosunki, znacie kraj,

widujecie ludzi, pomóżcie nam do działania na nich. Idźmy razem, ręka w rękę.

Znowu żywy rumieniec okraślił twarz Muzy, która zbladła wprędce i spuściła głowę.

— Nie lubię polityki, rzekła, i tych wszystkich brudów które ona za sobą ciągnie; ale gdybym wiedziała że istotnie mogę być użyteczną, poświęciłabym się chętnie. Chociaż, kochany pułkownik, gra to niebezpieczna, gra z ogniem... sparyć się łatwo. W naszém położeniu, w mojem zwłaszcza... kobiecie niezamężnej... tracąc popularność, traci się może z nią przyszłość całą... dziś lada oznaka, podejrzenie.

Pułkownik się uśmiechnął.

— A! pani, rzekł, czyż się wy o to możecie lękać? Pojedziecie do stolicy, zobaczycie jak tam będziecie przyjęte... ale na cóż i to, dodał ciszej, czyż pani nie jesteś pewną że każdy na którego raczycie rzucić okiem...

Nie dokończył, zakrawało to coś na preludium oświadczenia się, a z rachunków Muzy wypadało, żeby go nie przyspieszać, przerwała więc:

— *Allons donc*, źle zrozumieliście mnie pułkownik, ja mówiłam tylko o powszednich kłopotach i nieprzyjemnościach życia.

Tak się wreszcie jakoś porozumieli.

W kilka dni potém świetniej niż kiedy otworzył się salon pani Wtorkowskiej, do którego wabiono zewsząd gości, umiarkowanych, białych, szarych, popielatych, pstrych i zielono-czerwonych. Był to, jak mówił Sofronow, *terrain neutre*, wyrobiony przez niego, na którym miano się spotykać dla wzajemnego porozumienia.

Jakób bywał tu także, ale zdala stojąc więcej widz i słuchacz niż uczestnik, Muza téż od owego pamiętnego wieczora była z nim zamyślona, pomieszana, jakby nie swoja. Nie wabiła go już na ustronne rozmowy, nie ściagała listami, nie zamawiała na przechadzki. Jakób spostrzegł tę zmianę w obejściu się z nim, ale się prawie nią uradował, nadskakiwanie mu ciążyło. Henryk który tu był częstym bardzo gościem, pomiędzy młodzieżą moskiewską znalazł najlepiej przypadające mu do smaku towarzystwo, i zawiązał z nim stosunki.

To, naturalnie spowodowało wzajemne odwiedzi-
ny, zaproszenia na obiady, wieczory i t. p. Tilda która była wcale odmiennych przekonań, na którą Jakób mimowoli wpływ wywierał, mocno się na to krzywić poczęła. Ale władza jój w domu była nader ograniczoną a raczej żadną prawie, pani w swoich

dwóch pokoikach, wpośród swych kwiatów i książek, za progiem ich była obcą i jakby gościem we własnym domu. Mówiono jój tylko kiedy się spodziawano kilku osób na obiad, prezentowano je, nie pytając wcale jak jój towarzystwo się podo- bało. Rozmowy przy stole drażniły ją boleśnie, zmuszając do smutnego milczenia. Mąż uważał to ale się tém wcale nie troszczył.

Jakób zajęty teraz i sprawami kraju i mnóstwem kłopotów jakie one nań ściągały, nie tak często przychodził i zrażało go to także iż się w tym domu prawie zawsze z Moskalami spotykał, z którymi nie miał nadziei porozumienia się, wiedząc że ani z nimi otwarcie być można, ani oni kiedykolwiek szczerzyimi być zechcą.

Łudzić się też wywarciem na nich jakiego wpływu rozsądnemu człowiekowi nie było podobném; zarozumiałość i upór zwykle towarzyszy temu stopniowi niewykształcenia i cywilizacyi powierzchownej, która jest udziałem Moskali. Aby się pokazać postępowymi i liberalnymi, kłamią oni sentymenta i myśli, które się nigdy w czyn nie obra- cają, umieją z człowieka wyciągnąć wszystko a nic nie dają mu z siebie.

Życie Tildy widocznie stawało się przykrzejszém

i bardziej osamotnioném; zdrowie jój pogorszało się, bladła, schła, kaszłała a nie chciała się leczyć. Po całych dniach trawiona gorączką grywała i zamęczała się tą muzyką, po której zawsze prawie gorzej jój było; ale potrzebowała zapomnieć o życiu wlokącém się niezdolnie. Nocami często zaczytywała się w książkach, które jój tworzyły żywot sztuczny. Jedyną pociechą było gdy czasem Jakób znękany również przyszedł się tu także poskarżyć, odetchnąć, poboleć z nią razem. Ale najczęściej trafiało się że Henryk i jakichś para natrętów nie dawali się im zbliżyć i pomówić z sobą, że Jakób przypatrzył się tylko jak mu ona wymizerniała, ile ból wewnętrzny wyrzył się na rysach jój twarzy, że ona policzyła marszczki przybywające na jego czole, że ścisnęli w milczeniu dłonie i rozeszli się nie mówiąc słowa.

Trafiło się raz przecie iż na herbacie nie było nikogo oprócz starój Angielki, dawniej nauczycielki, teraz przyjaciółki Tildy, gdy Jakób stroskany, potrzebując pociechy przywłókł się do niej.

Od bardzo dawna dłuższej już poufalszej rozmowy nie mieli z sobą.

— Jakże my się teraz rzadko widzimy, odezwała się Tilda witając go, wierzę iż nie zobojetniałeś

dla mnie, ale gdybym mniej miała ufności, posądziłabym Emmę że mi ciebie odbiera.

Jakób się rozśmiał.

— Emmę? dla czegoż ją?

— Ale bo wyraźnie sieci rozstawia na ciebie.

— O! na mnie i na dziesięciu innych, odparł Jakób śmiejąc się — na pułkownika Sofronowa, a nawet podobno na twego pana Henryka.

Tilda także się uśmiechnęła.

— Proszę cię, rzekła, co dziwnego że mu się jój świeża, rumiana twarzyczka podoba, po mojej bladej, znudzonej i smutnej... Spotka tam uśmiech, piosnkę, a tu westchnienie, łzy, ból... ja mu do prawdy nie mam tego za złe.

— A ja, bardzo.

— Gdyby był czulszym dla mnie, wyrzucałabym sobie że go kochać nie mogę, ale jest właśnie jakim być powinien, przyzwoitym, grzecznym, zimnym a daje mi swobodę... Od dawna widzę że Muza mu się wydaje bardzo powabną.

— A ja jestem pewnym że i on się jój podoba.

— O! o! dajmyż im pokój, ruszając ramionami zawołała Tilda, czyż im będziemy zazdrościć?

— Nie — ale ja nim gardzę, dodał Jakób.

— Co mi tam... gdy go nie kocham! szepnęła Tilda.

Jakób przeszedł się zamyślony, nagle stanął patrząc na nią.

— Przebacz mi, rzekł — nie miej mi za złe — mam myśl szaloną.

— Mówże tę myśl szaloną... może ją przebaczę.

— Ta szalona myśl, to twój rozwód z nim.

Tilda zarumieniła się i lekko odtrąciła go od siebie.

— O! nie, nie, rzekła. Resztek życia, zeszczonego serca, zbolełój duszy nie dami temu kogom ukochała jedynie, całém sercem, duszą całą. Nie! to myśl szalona w istocie i grzeszna! Nie mamy prawa dobijać się szczęścia skandalem, szczęście by to może na zawołanie nie przyszło. Czyż dziś, tak jak jesteśmy z sobą, nie możemy być szczęśliwi? czyż potrzeba nam więcej nad to co wolno, nad spojrzenie, rozmowę, uścisk ręki i myśl o sobie.

Któż wie! może zbliżając się do siebie bylibyśmy rozczarowani, osmutnieli, możebyśmy stracili tę czystą naszą miłość dziecinną, mieniając ją na powszedni, chłodny urzędowy stosunek. Kto ci mógł to poddać??

— Ból i tęsknota, rzekł Jakób.

— A! nie — nie okupujmy marzeń rzeczywistością bolesną ale znośną. Ja już nie jestem tą która cię ukochała niegdyś, jam niewiasta skalana uściskiem cudzym, upokorzona i zwiędła. Tobie inne szczęście należy.

Zarumieniła się drżąca.

— Nie — nie! jak mnie kochasz Jakóbie, ani słowa o tém więcej — nie kuś mnie, nie mów, nie zatruwaj resztki spokoju ukazując niepodobieństwo możliwém.

— Tildo, co ty uważasz za niepodobne jest ze wszech miar możliwe. Co cię wiąże do tego domu? nie masz dzieci, sama mówisz żeś dla niego obojętną, widzisz jakim on jest dla ciebie.

— Nie każ mi się rumienić Jakóbie, rzekła ciszej, ja czuję że kobieta raz tylko w życiu do jednego należeć może. Jaki los, zły czy dobry traf jej wyznaczył, taki ona dźwigać musi, ale się nie rzucać rozpaczliwie.

Zapóźno dla mnie! Ty świat masz przed sobą, ja mogiłę, we mnie życie ginie, wypala się, słabnie, nie chcę by ostatnią jego iskrę zgasiły łzy po zaledwie skosztowaném szczęściu — wolę z powagą mojego cierpienia umrzeć smutną, czystą ofiarą, niż... niż szalenicą.

Jakób nie umiał już odpowiedzieć, był pograżony w myślach.

— Sądziłem, szepnął, że ty mnie tak... tak kochasz jak ja ciebie.

— Więcej, odparła Tilda podnosząc nań oczy które nabrały blasku, bo ja mam siłę ofiary dla twego szczęścia. Ty nie wiesz jaki niepokój sama pokusa chwili szczęścia naszego rodzi we mnie, a umiem się jój oprzeć. Ta myśl jak widmo prześladowała mnie nieraz, odpychałam ją zawsze i dziś ją odpycham. Zlituj się nademną, jam słaba, a płakać będę gdy ty, silny, zmusisz mnie do tego, co mnie w oczach własnych upokorzy.

— Ale ten człowiek godzien ciebie nie jest... podchwycił Jakób.

— Godzien czy nie — jam mu poślubiona.

— A gdyby on, wszak to być może, gdyby on sam zażądał rozwodu? spytał Jakób — gdyby cię zmusił do niego?

Tilda pochwyciła się za głowę.

— Masz jakie poszlaki? spytała.

— Nie.

— Milcz, milcz, gdyby on mnie odepchnął nawet, nie będę twoją.

— To coś niepojętego, Tildo! to szaleństwo!

— To dzika miłość kobiety która kochać umie, nie dla siebie, nie dla namiętności, ale duszą całą. Oddając ci rękę oddałabym ci to miejsce przy sobie które zajmował on... ten... nie! nie! Jesteś dla mnie czémś większém.

— Bądźmy ludźmi! przerwał Jakób.

— Nie! nie bądźmy ludźmi, odpowiedziała Tilda, ludzie są źli, słabi, śmieszni, przewrotni, bądźmy czémś lepszém nad pospolitych ludzi. Stańmy się ideałami.

— Tobie to podobne, dla mnie! niestety!

— Więc cicho, więcéj ni słowa. Jestem aż nadto szczerą, dodała płonąc cała gorączkowym rumieńcem Tilda, pojmuję chwilowy szal — i upadek, ale nie na zimno obrachowaną profanacją kobiety... U czyjego serca siedziało dwóch ludzi, to jest gospodą dla wszystkich potém — otwartą. Jeden aż do śmierci!

— Więc on! jeden!

— Nie! ty! ty! ty, odrzekła z zapalem — ale on zabrał to ciało które kona, ty duszę która żyje.

Powiedz mi, mówiła dalej wzdychając, wierzysz w nieśmiertelność duszy, w życie za grobem?

— Wierzę, odpowiedział Jakób. Miałżeby człowiek więcéj marzyć niż może Bóg dokonać? Mo-

żeż być to w serca wpojone nieśmiertelności pragnienie, przeczucie, potrzeba, tylko mrzonką fałszywą i szyderstwem?? Nie wiemy warunków życia tego, śni człowiek że się przebudzi takim jakim tu zamknął oczy — nie wiem — ale czuję że dla duszy to co ona zapracowała cnotą, nauką, boleścią, nie może być straconém. Jest inny świat! jest drugie życie!

— Uspokajasz mnie! ja pragnę wierzyć! Ale próżno wiary szukam w księgach, tam chłodny rozum mówi mi ostatecznie: nic nie wiem!

— Tak, ale w sercu człowieka odzywa się głos który go utwierdza i uspokaja.

— Niepewność! wszędzie ta straszliwa niepewność! poczęła chodząc żywo — cnota, zasługa, nauka, rozum sam... słabe nici pajęczce, które lada wiatr i burza rozrywa. A! z tą rozpaczą nicości w sercu — umierać!!

— Wiara w Boga już nas od niej broni, przerwał Jakób, Bóg nie może być niesprawiedliwym, nie może nam dawać żądzy która nie ma być zaspokojoną. Wierząc w prawo jego trwożyć się nie godzi, ufać mu a pełnić co on przykazał.

— Lecz słuchaj, dodała Tilda, gdzież jest ten głos Boży? w tych księgach? Dla jednych objawie-

niem one, zakonem, dla drugich tylko pamiątką i zabytkiem... wszystko obalone... pusto, zimno, straszno.

Zadrzała biedna, jakby widmo śmierci niosące nicość na ramionach przeleciało przed nią.

Potém skoczyła do fortepianu nie mówiąc słowa i zagrała jedną z fantazyi Chopina, łzawych, tęsknych, rzewnych, tajemniczych. Jakób stał oparty o fortepian i słuchał, gdy ktoś go uderzył po ramieniu. Tilda krzyknęła z przestachu, marzenie zostało przerwane, powracała rzeczywistość. — Henryk z cygarem w ustach, znudzony, ziewający stał przed nimi.

— A no! otożes sobie przecie raz przypomniał o nas — dawnośmy się nie widzieli, odezwał się do Jakóba, cóż słyszeć. Bon soir Tilda, każde dać herbatę, ja nie piłem. Któraż godzina? dziewiąta? O dziesiątej muszę być w Zamku, tylko że się mam czas przebrać i napić gorącej herbaty, bo na zamkową, choć to moskiewska, spuszczać się trudno. Dają po prostu pomyje w złoczonych filiżankach, i to w ten sposób, że lokaje...

Ziównął machając ręką.

— Jakżeście mogli, dodał, wysiedzieć w tém zimnie? wszak tu mróz po pokoju chodzi!

— Ja tego chłodu nie czułem.

— Muzyka ogrzewała! odpowiedział śmiejąc się Henryk. *A propos*, słyszałeś jak nasza Muza gra fantazyą Liszta, *c'est stupéfiant!*

— Muza gra wszystko prześlicznie, tylko bez czucia.

— Z ogniem! świętokradzco! bluźnierco! z węgą! ah!

Jakób zamilkł; Tilda się była wysunęła, Henryk spoglądał na zegarek.

— Biały krawat mnie tylko nudzi... zresztą w Zamku najlepsze towarzystwo... a namiestnik najgrzeczniejszy w świecie.

Padł na krzesło, Jakób wziął za kapelusz.

— Nie będę ci przeszkadzał, rzekł — dobranoc.

— Dobranoc.

Po odjeździe starego Jankiela, parę dni potrzebował Jakób, nim się cokolwiek mógł dowiedzieć o nieszczęśliwej Liji, nim zebrał się pojsć do niej w poselstwie nieznajomy jój, obcy... Dla niego było to niewymownie ciężkiem, dla niej być mogło upokarzającym i boleśném. Osnuwszy mniej więcej sposób w jaki się miał znaleźć, obmyśliwszy co powiedzieć, dowiedziawszy się że Lija opuszczona przez Dawida była w największej nędzy, znosząc ją cierpliwie i bez skargi, Jakób poszedł nareszcie na ulicę Ogrodową, gdzie w małym drewnianym domku żydowskim, w izdebce od tyłu, na strychu, wskazano mu mieszkanie biednego dziewczęcia.

Domek był stary i lichey, otoczony jednym z tych ogrodów które dawniej dawały nazwanie ulicy, a dziś powoli znikają. Sad ten cienisty, zasadzony drzewami owocowemi, zasiany warzywem, oprócz kilku uliczek dosyć niedbale utrzymywanych i za-

puszczonych oddawna — nic nie miał ponętnego dla oka. Jedna lipa staruszka rosła w pośrodku posadzona niby dla fantazyi, jeśli dawny właściciel nie rachował na jój kwiat dla pszczół i apteki. Gałęzie jabłoni i grusz rozrosłych płątały się u góry po nad grządkami buraków, kartofli, cebuli, zagonami malin i fasoli.

Dom pokryty pozieleniałemi gontami, w wielu miejscach pstro połatanemi, miał téż pozór nieporządkowany; dolna jego część znacznie była już w ziemię zapadła: dwie ściany nawet na wszelki wypadek podtrzymano podporami. Znać było po oknach nadto już zbliżonych do ziemi, jak się głęboko wkopał staruszek. Na dachu kilka dość dużych okien, dawały się domyślać poddasza, które pierwsze piętro zastępowało. Na dole mieszkało dwie rodziny liczne żydowskie; sam właściciel który był frymarczył, a raczej przy targu faktorował i rzemieślnik szewc. Lija mieściła się na górze.

Na zapytanie porządnie ubranego człowieka o młodą kobietę, której położenie łatwo było odgadnąć, gdyby się nawet z nim tała, stara Sore właścicielka domu; otyła niewiasta z zawieszoną na żołądku chustką z portretem Napoleona; spoj-

rzała nań dwuznacznie i poczęła mu się nieufnie przyglądać.

— Czego jegomość chce? widzieć się? ona się z nikim nie widuje... może interes...

— Tak, mały interes.

— No, to ona musi być w swojej stancyi, rzadko kiedy wychodzi do ogrodu pod Lipę, bo my jej pozwalamy. Ona nie ma żadnego prawa do ogrodu w kontrakcie, ale to jest bardzo biedna kobieta... dobra i cicha.

A pan ją zna? dodała gospodyni.

— Mało co, prawie nic, ale mnie przysłała familia, odpowiedział Jakób zmieszany.

— Nu! nu! familia! dopiero sobie przypomnieli że ona żyje! A co ona nabiédowała! a waj!

Poczęła kiwać głową patrząc mu wciąż bacznie w oczy, i widoczną okazując podejrzliwość.

— Nu! nu! idź pan tędy! schodki na górę... a potem prawe drzwi gdzie sznurek... A może spytać wprzód, to ja pójdę, jak się wy nazywacie? może ona widzieć nie zechce?

— Z nazwiska mojego ona się nic nie dowie, rzekł Jakób pragnąc skończyć nużącą rozmowę.

— No, no, jak sobie chcecie; na prawo! na

lewo Szymek kulawy... ale prawda, wy jego nie znacie....

Jakób już szedł, schodki były połamane, ciemne i brudne, zamiast poręcza kij przywiązany na sznurze, na strychu ciemno także. Drzwi w prawo odznaczały się tylko szparami przezroczystymi przez które padały smugi światła, dowodzące jak to tu zaciszno być musiało w zimie.

Zapukał Jakób raz i drugi napróżno, nie było widać we zwyczaju żeby się tu ktoś w ten sposób oznajmywał, nie odpowiedziano mu nic, poczekawszy chwilę, powoli uchylił drzwiczki.

Obraz który mu się przedstawił, był dziwnie przejmujący. Małeńka izdebeczka uboga, naga, ciasnna, jedno w niej okno głęboko oprawne, część tylko jej średnią oświecało; łóżeczko z pościelą lichą w jednym kątku, tuż przy nim biedna, stara kolebka prosta, od siekiery wyrobiona przed laty.

Na stołku prostym znużona pracą czy cierpieniem spała z jakąś robotą w ręku, owa piękna niegdyś Lija, piękna i dziś jeszcze ale cała obleczona powagą smutku i nieszczęścia.

Nogi jej opierały się o tę kolebkę od której oddalić się lękała. Na pstrój poduszeczce widać było głowę dzieciны uspiónej, bladą, mizerną, wy-

chudłą. Znać pokarm stroskanéj matki życia jéj dać nie mógł, truł rozpaczą która z jéj piersi płynęła.

Powoli otwarła oczy uśpiona, zawstydzila się, zmięszała, sądziła że ktoś wszedł omyłką, że zaraz wyjdzie, i nie odzywała się słowa, nie wstała, nie spojrzała nawet, prędko spuściwszy oczy. Twarz jéj smutna była ale spokojna, już obeznana z nie-
szczęściem, już zżyta z jego bólami.

Jakób stał ciągle w progu; Lija nareszcie ośmieliła się podnieść oczy, wymówił jéj imię — wstała cała przełęczniona.

— Czego pan chcesz? po co pan przychodzisz? kto pan? ja, ja.

— Przychodzę od waszych krewnych.

— Ale — ja nie mam żadnych krewnych... ja nie mam... ja jestem sierota... poczęła kobieta zarumieniona z obawą i widocznie rosnącą nieufnością... ja nie mam żadnego interesu, żadnych krewnych... nikogo.

— Ja mam jednak interes do was, posłuchajcie mnie przecie, odezwał się Jakób łagodnie, nie obawiajcie się, ja wam nic złego nie przynoszę.

— Ja ani złego ani dobrego nie chcę, przerwała żywo Lija, od nikogo! od nikogo....

I drzeć poczęła przełękła.

Była mówiąc to tak piękną, tak wdzięczną, a tak zapewne już nie jednemi natrętnemi odwiedzinami zastraszona, że Jakób przez litość nad nią ledwie śmiał usta otworzyć, patrzył i litował się.

— Proszę pana, proszę pana, powtarzała, idź pan... ja nie mam żadnego interesu, ja nic słuchać nie mogę....

Jakób wymienił rodzinne jój miasteczko; usłyszawszy je, zmieniła wyraz twarzy, i rozplakała się gorzkimi łzami.

— Nie, to nie może być, rzekła, pan umyślnie tak mówisz aby mnie oszukać... tam o mnie zapomnieli.

— Nie wszyscy, zawołał Jakób, chciejcie mnie posłuchać, nie obawiajcie się.

Lija wlepiła w niego oczy.

— Wy macie pocziwą twarz... ja się was nie boję.

— Tak, nie lękajcie się, proszę, bądźcie spokojni.

Lija znowu płakać poczęła... a na ten głos dziecię się obudziło, i rzewnie także kwilić poczęło wyciągając ku niej ręce. Naówczas zapomniała o wszystkim, o gościu, łzach, bólu i schy-

liła się co prędzej nad tą kołyską w której cały jój był świat... zajęta jedynie dziecieniem. Głos niemowlęcia zagłuszył dla niej wszystko.

Z czułością niespokojną ukłękła przy niem obejmując je rękami, zbliżając ku niemu usta, przemawiając temi słowy a raczej dźwiękami macierzyńskimi które tylko dziecię zrozumie. Jakób stał wzruszony tym obrazem niedoli, nędzy i szczęścia tego którym się ona złościła.... Lija wrosła się być zdawała w tę kolebkę z której drobne rączka podnosiły się ku niej drżące....

Ale po chwili pieszczoty usnęło dziecię znowu, zarumieniona matka wstała poprawując rozrzucone dziewicze swe włosy, które wedle dawnego obyczaju obcinano zamężnym niewiastom... włosy te świadczyły że nie była poślubioną wedle prawa.... Potém spojrzała na Jakóba szukając w nim litości, ale jój sił zabrakło, chwyciła stołek i usiąść musiała aby nie paść. Wprędce jednak postrzegła że drugiego siedzenia nie było w izdebce, porwała się, przysunęła je gościowi, a sama zawstydzona uczepiła się na krawędzi swego łóżka.

Jakób tymczasem rozglądał się po izdebce, w której wszystko zdradzało ubóstwo graniczące z nędzą. Na małym kominku stało kilka garnuszków czar-

ných, dowodzących że Lija sama gotowała sobie jedzenie, leżał kawałek zeschniętego chleba, łyżka drewniana, miska czarna wyszczerbiona. U drzwi krył się dzbanek nadłuczony; trochę przepranej bielizny schło w kątku na złomkach starzej drabiny. Ale pomimo to było dość jeszcze czysto i znośnie, a przez okno otwarte zielenił się ogródek i przełatywały przed nim szczebioczące jaskółki.

— Wasza familia mnie tu przysyła, począł Jakób po chwili, rodzice... może byli dla was za surowi, ale i oni, choć milczą mają też miłość i litość w sercu dla swojego dziecka... wy cierpicie nędzę.

— A! nie, nie! odpowiedziało dziewczę, mnie tu dobrze, spokojnie — nikt nie widzi, nie pyta, nie.... Z początku było gorzej... teraz... i ludzie do mnie i ja — przywykłam już.

— Jeśli nie dla was, to dla waszego dziecka, któremu ta nędza szkodzić musi, trzeba was z niej wyrwać... ja z tém przychodzę... Musicie wziąć służkę i lepsze mieszkanie.

Lija spojrzała nań wielkimi, łzawemi oczyma.

— Ale mnie dobrze... mnie nic nie potrzeba...

— Ja mam na to dane pieniądze, dorzucił Jakób.

— Ja nie chcę, ja nie chcę niczych pieniędzy! dumnie odparło dziewczę, ja nie żądam jałmużny... ja na siebie zapracuję, i na niego zapracuję....

Wskazała kolebkę.

Ja nie mogę nic przyjąć!

— Zważcie że tu nie o was samych, ale o życie dziecka chodzić może, przerwał Jakób. Widzicie... ono jest mizerne, ono cierpi... wasza praca i troska mu szkodzi....

— A na cóż mu życie? spytała cicho a smutnie Lija, a na co mu życie? żeby z moją sromotą na czole chodziło pomiędzy ludźmi? Dla mnie ono pokarmem i pociechą... ale jemu lepiejby było, o! lepiej...

Łkanie jój mowę przerwało.

— Nie godzi się rozpaczać i wątpić o Bogu, rzekł Jakób, dotknął was nieszczęściem przez złego człowieka, ale...

— A! tak, przerwała Lija, przez bardzo złego człowieka.... A jam mu tak wierzyła! a jam go tak kochała!

I załamała ręce.

— Wszak prawda, zawołała nagle, wyście go nazwali złym człowiekiem? wy, broń Boże, nie przychodzicie od niego?

— A! nie! zawołał Jakób.

— Przysięgniecie mi na to?

— Poprzysięgam wam to na imie Boga naszego,
rzekł Jakób.

— Więc ktoś litościwy was przysła?

— Dość że nie on, ale kto? powiedziec nie mam prawa... ktoś bardzo was bliski, nie pytajcie mnie o imie jego. Zawierzcie mi, bądź spokojną... Znajdę wam dom cichy, ustronny i troskliwą opiekę.

— A! żadnej opieki; ja samą być chcę... samą... ja nikogo nie przyjmę...

— Jak się wam podoba, ale musicie zmienić to nędzne mieszkanie, pozwólcie bym wam dostarczył na wasze potrzeby.

Lija zamyśliła się głęboko.

— Bóg jest litościwy, rzekła, ale ludzie są źli... Ja nie wiem czy mi gdzie z nieszczęściem mojem lepiej będzie jak tu ukrytej wśród ciszy i zapomnienia... Nikt mnie nie widzi, nie pyta... tam ciekawie... ja nie chcę...

— Bądźcie spokojni, obmyślę wszystko, potrafię wyszukać równie ukryty i cichy ale wygodniejszy kątek... służę zaufaną...

— Bóg litościwy, odezwała się Lija powtórę i łzy potoczyły się po pięknej jej twarzy, przykle-

kła u kolebki i cicho pocałowała swe dziecię w czoło blade, potem spojrzała na Jakóba i wyciągnęła doń przez kolebkę rękę białą, wychudłą, na której nę-dza i praca już się straszliwie wypiętnowały.

— Ja nie wiem dla czego wam wierzę, choć jestem bardzo zdradzona, rzekła powoli, ale mowa twoja i twarz twoja obudza we mnie zaufanie... Ja wiem, przysłali cię ci, co odepchnąć mnie musieli, ale płaczą i kochają. A! gdyby nie to dziecię biedne, jabym ztąd nie poszła... ale mi ciężko zarobić na nas dwoje... Były dnie, były godziny straszne... ostatni chleba zeschniętego kawałek i woda, mleka ani posiłku nie było kupić za co, roboty nie mogłam znaleźć, chodzić i szukać jej nie śmiałam... nie wiedziałam co począć... pragnęłam umrzeć... a dziecko wołało życia! O mój Boże! jakież to były godziny śmiertelne a nocy wiekuiste wśród chłodu i głodu... w uszach płacz dzieciny... Ale Bóg dał przeżyć wszystko...

— Już teraz nie doświadczycie niedostatku, przerwiał Jakób, ale mnie dziwi, pozwólcie że spytam, czyż wam na myśl nie przyszło dla dziecięcia pomocy żądać — od ojca...

Lija porwała się nagle straszna oburzeniem i zgrozą, spojrzała na Jakóba z nieufnością i obawą.

— Ja! ja od niego! krzyknęła — od tego zdrajcy... a! raczój z głodu umrzeć mnie i jemu niż od tego... żądać chleba kawałka...

A! nie — on mnie chciał spodlić do ostatka, wyznaczając mi jałmużnę na życie, ale mu nią rzuciłam w oczy! Ani go widzieć więcej, ani żądać nic od niego nie będę... a! nigdy... Ja go nie znam i dziecię ojca swego znać nie będzie, aby się za niego nie wstydziło. Nie powiem mu tego imienia przeklętego... sama o niem zapomnę...

I znowu płakać zaczęła, a po chwili szepnęła cicho z obawą:

— Czyście wy tam byli u nas? czyście widzieli starego... którego imienia wymówić się boję... starca z brodą siwą... i matkę biedną zapłakaną i siostrę której wstyd zrobiłam... i ten dom w którym tak było wesoło póki mój nierozum nie wniósł doń żałoby i sromoty... póki z niego nie wyszło dziecię przeklęte aby już więcej nie przestąpić jego progu?

— Nie — ja tam teraz nie byłem, rzekł Jakób.

— A!... poczęła Lija wpatrując się w niego, ja sobie teraz przypominam, ja was tam widziałam jeszcze w szczęśliwszy czas... przyszłście raz w dzień szabasowy... prawda? i długo mówiliście ze starym?

— Tak było, szepnął gość, ale odtąd nie jeździłem tam... tylko ktoś z tamtąd był u mnie.

— Więc żyją?... a! nie zapomnieli?

Ale dalej pytać nie śmiała.

— Tak, żyją, rzekł Jakób. Powiedzieliście sami

— Bóg litościwy — wiercież w to... przyjdzie miłosierdzie Jego.

— Miłosierdziem Jego dla mnie, odpowiedziała Lija, byłaby tylko śmierć... i dziecku uścisk anioła o tysiącu oczów.

— A! i życie jeszcze uśmiechnąć się wam może.

— O! nigdy — rzekła Lija — nigdy!

Odprowadzając rozmowę od tych myśli smutnych, Jakób wstał i pocałował ją żegnać.

— Jutro lub pojutrze, odezwał się, albo przyjdę lub przysię do was, bo muszę wynaleźć mieszkanie dogodne, służyć... Zostawiam wam (położył na stole pieniądze) na pilniejsze potrzeby wasze. Musicie sprawić suknie...

Lija zarumieniła się, w istocie odziana była tak ubogo i biednie, że jój na ulicy pokazać się było trudno.

— I bądźcie weselsi... ja z daleka opiekować się wami będę, ja czuwać nie przestane...

Lija spojrzała nań nagle znowu przestraszona,

chciała coś mówić, na ustach jój słowo zamarło; jakaś obawa dziwna zdradzonej niewiasty serce jój ścisnęła, ale wyjawić jój nie śmiała. Jakób odgadł ją łatwo i tém prędzej postanowił odejść.

— Wszystko com wam mówił, dodał w ostatku, jest świętą prawdą — przychodzę do was nie od siebie, ale od rodziny waszój. Nie będę wam natrętnym... niech mnie Bóg od złej myśli uchowa! Zdala i niewidziany czuwać będę nad wami, nie lękajcie się!

To mówiąc pokłonił się jój zdaleka. Lija poczuła że ją odgadł, zawstydzila się, przykro jakoś się jój zrobiło i pochyliwszy głowę, błagajaco spojrziała ku niemu; potem zsunęła się na ziemię do kolebki dziecka i usiadłszy przy niém, dała się sercu wezbranemu wypłakać.

Od dawna bardzo kraj w którym spędził młodsze swe lata porzuciwszy, porwany wirem pracy i marzeń, Jakób zerwał był prawie z pozostałą tam rodziną. Parę razy w rok tylko odbierał błogosławieństwo starłej matki, wiadomość od sióstr i brata przyrodniego, któremu o ile mógł pomagał.

Pomimo ogromnego rozstępu jaki wychowanie między nim a rodziną uczyniło, pamięć jój była mu drogą; pojmował dobrze swoje względem niej obowiązki i pełnił je gorliwie a z serca. W ostatnich czasach z powodu utrudnionych w kraju stosunków, dłużej niż zwykle nie miał Jakób wiadomości od matki i niepokoił się milczeniem rodziny — gdy jednego dnia, wracając do swojego mieszkania, został w przedpokoju przez służącego ostrzeżony, że jakaś staruszka, dziwnie uparta, przyszła przed półgodziną i mimo zaręczeń że pana w domu nie było, postanowiła czekać na niego, oznajmując się jako... blizka bardzo jego krewna.

Lokaj mówił to jakoś niewyraźnie, zakłopotany, jakby się obawiał gniewu pańskiego, tłumacząc się że musiał wpuścić staruszkę do salonu, mimo jej niepozornego ubrania.

— Ale proszę Jaśnie Pana — mówił służący — słowo *onoru*... ja już nie wiedziałem co zrobić... bo jeszcze mi się nie trafiło żeby kto tak na mnie nastał... A tu zaraz z tego hałas, i z pierwszego piętra od Wtorkowskich zaglądają ludzie... Myślę sobie, proszę Jaśnie Pana, lepiej już niech w pokoju poczeka... bo jużcić zepchnąć ze wschodów... to krzyk... awantura... a Jaśnie pan by się gniewał.

— No? ale któż to jest? spytał Jakób.

Służący zafrasowany skrobał się w głowę i o Jakóbie sądząc po swojemu z innych ludzi, nie śmiał mu nawet powiedzieć o kogo chodziło. — Udawał że nie wie.

— At, proszę Jaśnie pana, ja nie zrozumiałem co tam ta Jejmość mówiła, zwyczajnie zapewne aby się wcisnąć... to pewnie za jaką pomocą... albo co... ja tam nie wiem.

— Kto ona mówi że jest? natarł Jakób.

— Ja to tam nie zrozumiałem, dalipan, popowtórzył lokaj bojąc się pana obrazić. Ona tam sobie siadła w salonie i czeka.

Jakób wszedł niespokojny przez drzwi otwarte, spojrział tylko i wśród pokoju stojącą a rozglądającą się do koła ciekawie, postrzegł swą matkę staruszkę w dawnym stroju polskich żydówek, w perłach, żałóżce, z medalem złotym na piersi, w skromnej czarnej na wierzchu narzutce.

Jednym rzutem oka odgadł ją raczej niż poznał, krzyknął z radości i rzucił się do nóg jej całując po rękach.

Stara trochę się zrazu ulękła, a mocno była wzruszoną... zabrakło jej słów... poczęła tylko płakać... To piękne mieszkanie, ten dostatek, ta elegancja otaczająca jej dziecię, które znajdowała tak dziwnie zmienioném, piękném, młodém, jasnym, pańskim — onieśmieliły ją.

Przyjęcie pełne uszanowania rozczuliło staruszkę i całując w głowę syna zaczęła coraz rzewniej zachodząc się płakać... i jęczeć.

Jakób wybiegł aby jej przynieść sam szklanekę wody, posadził wprzód troskliwie na kanapie i wybiegł tak żywo, że służący który ciekawie zaglądał do salonu przez dziurkę od klucza, ledwie miał czas kilka kroków się cofnąć.

Biedny lokaj uderzył się z desperacyi po bokach.

— Otoż masz, rzekł w duchu sam do siebie,

taki dobry pan! a tu lichy nadało, raptem się okazuje że... *ordynarny* żyd! Będą się ze mnie śmiali że ja u niego służę! Ot, nieszczęście, a tu ani tego utaić, bo widzę nie myśli sam robić sekretu... I na pierwszym piętrze te szelmy szpiegi... zaraz wszystko spenetrują. — A to takie dobre miejsce.

Jakób się ukazał we drzwiach.

— Proszę cię o wodę... prędzęj. Łaska Boża, dodał, żeś inaczej nie postąpił ze staruszką — jest to moja matka!

— A! proszę Jaśnie Pana, zawołał zafrasowany sługa, toć to ona też mówiła... ale...

— Proszę cię o wodę... a oto, masz (wyciągnął mu kilkorublowy papierek) za twoje poczciwe serce. Bóg ci zapłaci!

Sługa się skłonił i pobiegł. Jakób wrócił co żywiej do staruszki, która płakała a płakała z radości i wzruszenia.

— O wielki Boże Izraela! o Szaddai! którego imię szanował mój stary, cożeś to za łaskę uczynił dziecięciu mojemu... Gdyby cię, Jakóbie, nieboszczyk mój mógł był widzieć w tym szczęściu — jakby on umiał Bogu dziękować... ja biedna niewiasta nie potrafię, tylko łzami.

— Największe dobro jakie mam od Boga, za-

wołał Jakób — to żem serce twe macierzyńskie mógł rozradować... i że mi Bóg dał oświecić się i poznać drogi swoje.

— A! Jakóbie mój kochany, wielkie to błogosławieństwo Jego za cnoty nieboszczyka. Nie wszystkim jednak dzieciom moim los tak sprzyjał... Sarah w biedzie, choć ty im pomagasz, a co gorzej, w chorobie... u Mirjam dzieci się nie hoduja. Siedziałam długo przy niej, ale zateśniło za tobą serce moje — chciałam cię raz jeszcze zobaczyć w życiu. I długo wahałam się myśląc sobie, on się tam starzej, ubogiej, biednej matki swój może wstydić będzie... I to mnie wstrzymywało... Ale powiedziałam sobie potem: ja pocichu przyjdę i zobaczę go choć zdaleka i pobłogosławię mu pokryjomu, aby oczy moje nasyciły się widokiem tego, któremu sam pan Bóg Izraela błogosławi.

— O moja matko droga, rzekł Jakób, jakże ty pomyśleć mogłaś, abym ja był tak niewdzięcznym; bym nietylko przykazań Bożych ale serca własnego nie słuchał... szanując ciebie. Jakże pomyśleć mogłaś...

— Jakóbie mój, odpowiedziała — ja wiem co po świecie bywał Starszy wasz brat dosyć mnie szanuje, choć matką jego nie jestem, a byłam tylko

żoną jego ojca, i człowiek nie jest zły; przecież gdy czasem ubogo ubrana przyszedłam doń kiedy przyjmował gości -- widziałam nieraz jak mu było markotno... Ale słuchaj, ja do ciebie nie przyjdę, ja się już nie pokażę...

Jakób się zerwał z krzesła i ręce załamał.

— Nie czyńcież mi tego, zawołał — a! nie czyńcie, bo toby było krzywdą, nigdy serce moje nie zaprze się przed światem ani matki, ani ojca, ani narodu, ani prawa, ani żadnej rzeczy świętej. Niech ludzie wiedzą, z kąd wyszedłem. Toć byłoby kłamstwem i dumą występłą...

Na te słowa jakby umyślném losu zrządzeniem, wszedł lokaj po którego minie widać było zakłopotanie nadzwyczajne. Mrugnął na pana ruszając ramionami.

— A! proszę Jaśnie Pana, rzekł pocichu, co ja tu mam począć? Wszak to, proszę Jaśnie Pana, ten pan co to zwykł przychodzić bez meldunku... dopomina się abym go puścił, a tu...

— A to go puszczaj, natychmiast! zawołał Jakób — cóż to znowu?

Sługa nic już nie rozumiejąc, wpuścił do salonu ojca Tildy, który ujrzawszy na kanapie starą żydowicę (a nie poznawszy jęj) struchlał z podziwie-

nia. — Wcale o co innego podejrzewał Jakóba, gdy go przededrzwiami wstrzymano.

— Oto, kochana matko, zawołał witając go Jakób — przypomnijcie sobie, mój opiekun, nasz krewny, pan Samuel... ten który był narzędziem Bożem dla mnie, któremu ja winien wszystko... On pierwszy o mnie ubogim sierocie pamiętał, dźwignął, oświecił, dla niego, po Bogu, największa od nas należy się wdzięczność.

Pan Samuel uczuł się niesłychanie zafrasowanym, czerwieniał, bladł...

— A to lichy tu tę starą żydowicę przyniosło, rzekł w duchu — nie mogła sobie tam siedzieć w kącie.

Przyzwoitość wymagała przyjęcia grzecznego, choćby dla Jakóba, słowa jego polectały przyjemnie miłość własną dawnego opiekuna; począł więc witać staruszkę, która go aż za kolana ścisnęła. Nie mógł tylko przyjść z nią do żadnej rozmowy, bąkał półsłowa, jąkał się, mieszał, naostatek coś tam wydobywszy z siebie, wezwał co żywiej na parę słów Jakóba do drugiego pokoju.

— Słuchaj no, rzekł, miałem się ciebie o coś radzić, pomówić, ale to nic pilnego, drugą razą... teraz powiedz mi, cóż ty tu poczniesz z matką swoją?

— Jakto? spytał Jakób, na to przecież samo imie matki odpowiada...

— Ale ba, to bardzo piękne wszystko, tylko, zlituj się, znowu się nie rozczulaj zbyt, nie kompromituj się nadaremnie, rzekł zimno. — Ona sama żadnych ofiar po tobie wymagać nie może, a ty nie pojmujesz jak sam widok prostej kobiety w świecie, tobie i nam twym krewnym, i przyszłości twojej szkodzić może. — Ludzie pełni uprzedzeń.

— Kochany panie, rzekł Jakób, powiem wam po prostu, że co do mnie, wcale o to nie dbam. Ci dla których widok mojego poszanowania dla matki może być wstrętliwym nic a nic mnie nie obchodzą. Owszem jeśli to ma być kamieniem probierczym ich zacności, rad jestem że złoto od mosiądzu odróżnię.

— Tyś zawsze był tym jakimś poetą, odparł ojciec Tildy, tu trzeba rzeczy brać jak są, po prostu, prozą. Świat jak żyda zwącha, radby żeby przynajmniej był trochę zwietrzały, a tu tak się okaże świeżusienki z pod jarmułki.

— Ja i dziś i zawsze pochodzenia mojego izraelskiego wstydzić się nie myślę, ustępstwa dla tego świata nie zrobię. Za grzechy rodziców, gdyby były

grzechy, dzieci nie pokutują, a w naszej przeszłości obficie też jest okupujących ją zasług.... Chcę umrzeć jakem się urodził żydem.

— A! jak chcesz... nie bronię, uważaj z czém ci lepiej... ale znowu... przykro mi to mówić — dla saméj służby i domu... zlituj się, tylko matki z wizytą do mnie nie prowadź!

Jakób zbladł, zadrżał, usta zakąsił.

— Byłeś moim dobroczyńcą, winienem ci cześć jak ojcu, nie kraję mi serca, proszę....

— Przepraszam cię, ale dla mnie to jest ważna rzecz... ja oddawna tu wszystkim wmówiłem że pochodzę z niemieckich żydów, a widzisz...

Jakób się z politowaniem uśmiechnął.

— Czy niemiecki gatunek ma być lepszym? zapytał.

— No... tak... widzisz... ale zawsze... więcej kultury, przeszłość inna.

Jakób zamilkł, gość był niespokojny.

— Czy ona u ciebie i mieszkać będzie? spytał.

— Jeżeli tylko zechce, niezawodnie, mieszkanie mam obszerne, a tu spokojniejszy byłbym o nią. Zresztą może się matka tułać po obcych kątach mając tu syna?

— Aj tak? tak? wybąknął pierwszy, nic nie

mówię bo cię nie przekonam, ale jeśli tylko myślisz o Wtorkowskiej, to i tu nawet pożegnaj się z nadziejami.

— Ja? śmiejąc się spytał Jakób, ja?

— Ludzie mówią...

— Ludzie nie wiedzieć co plotą...

— No — ale ci to i innych wiele zrobić może przykrości.

— Gdyby i tak było, odpowiedział Jakób, czyż znieść je dla oszczędzenia ich matce nie jest moim obowiązkiem?...

Samuel zamyślił się.

— Ale ona sama pomiarkuje, rzekł, no — nie będę się męczył długo wizytą! A nie ma czasem jeszcze kogo z rodziny? dodał trwożliwie.

— Zdaje mi się że jest samą, biedna kobieta naraziła się na długą, niewygodną podróż, dla mnie! W jej wieku, przy jej zdrowiu...

— Tak, już to prawda, odezwał się Samuel, wolałaby była ciebie tam zawezwać niż jechać sama — toby było daleko lepiej.

Smutno jakoś spojrzeli na siebie, nie mogąc się porozumieć, zdesperowawszy nawet o tém. Pożegnawszy Jakóba, gość wyszedł jeszcze do salonu

i uważał za właściwe pokłonić się staruszce. Późem wysunął się pomieszany, wdychając.

Poniżej, na pierwszém piętrze, już historya starój żydówki, z ust do ust powtarzana krążyła. Lokaj pana Jakóba miał serdeczną przyjaciółkę w służącej panny Wtorkowskiej, nie zwykł był przed nią nic ukrywać. W pierwszej chwili zaraz tak go zaświerzbiało, iż zbiegł aby jój swą przygodę powierzyć. Pokojówka, ledwie się go zbywszy, nie miała nic pilniejszego nad udzielenie téj plotki starój Wtorkowskiej.

A że panienska była nieco odcytaną na tłumaczeniach Paul de Kocka, przyozdobiła nieco opowiadanie lokaja, czyniąc je dramatyczniejszem. Z pod jój redakcyi wyszło ono wcale zajmującą sceną.... Wtorkowska zdyszana pobiegła z nim do pokoju córki.

Emusia leżała z książką na szezłagu.

— No, proszę ja ciebie, zawołała z daleka, a to nas jeszcze pan Bóg bronił że z tym Jakóbem do niczego nie przyszło... wystawże sobie to okropności!!

— A! cóż się z nim stało? zapytała Muza, skompromitowany? wzięty? wysłany?

— Ależ gdzież tam, jużbym to wszystko wo-

łała... ale to skandaliczna historia.... Jan jego służący opowiadał przed chwilą Teresie, Terenia do mnie przyleciała z językiem.

— No, cóż to się stało? powtórzyła Muza ziewając.

— Otóż, proszę ja ciebie, dziś, parę godzin temu... Jan słyszy że ktoś dzwoni... Jakóba nie było w domu, otwiera, patrzy.... Stara żydowica odrapana, oszarpana, oklapana, blada, nędzna... no, jedném słowem wyglądająca jak te z franciszkańskiej ulicy... włazi.... Jest pan w domu? Ten powiada nie ma. A gadała językiem połamanym, że ją ciężko było nawet zrozumieć. Nie ma. No to powróci? a kiedy? — Albo ja wiem, powiada Jan. No, to ja tu będę czekać na niego, woła stara żydówka. Lokaj się sprzeciwia. A ta mu w głos aż na dole słyszać było: Co ty, taki, owaki, jak ty śmiesz — ja jestem jego matka.... Służący, przyzwoity jakiś człowiek (ten co się w Teresie kocha) aż zbladł, co tu robić? Chciał ją zepchnąć ze schodów, strach, a hałas byłby jeszcze gorszy... żydówka jak się uparła, tak ją musiał do salonu wprowadzić. Nadchodzi Jakób i okazuje się że to jest istotnie matka, przyjmuje ją... przy wszystkich, nie wstydząc się nic a nic... cały dom

gada. Ordynarna słyszę, proszę cię, żydowica, jak te co makagigi roznoszą...! On sekretu żadnego nie robi. Proszę ja ciebie! co tu z takim człowiekiem robić! Toby się nam był przysłużył.

Muza usta zacięła.

— Tak, rzekła, to jest wypadek bardzo nieprzyjemny, ale cóż miał począć?

— Ale dać jój coby tylko chciała, a niechby milczała! ale się tak jawnie do niej nie przyznawać! To wezmą na języki, zrobią z tego historią... niech Bóg broni!

Muza ziewnęła.

— Już mi to wszystko jedno, rzekła, bo wcale na niego nie liczę...

— Mój Boże! taki bogaty! taki bogaty! westchnęła Wtorkowska, ale żyd, świeżusieńki żyd!

— Przecież mama się już zgadza na Sofronowa... byle się tylko oświadczył.

— A cóż mam robić! bylebyś zamaż poszła, zgodzę się już na kogo chcesz. Tylko ty z Sofronowem, proszę ja ciebie, bądź ostrożną! Naprzód nie dać mu się daleko zapędzać bo Moskal.... Oni z sumienia, szczególnie w tych rzeczach, tak dalece nie słyną; im kobietę uczynić nieszczęśliwą to miła sztuczka, to chluba jeszcze.... Powtóre

oni się wszyscy błyszcza ale to hołysze, a do Polski się cisną, aby worek nabić. I to jeszcze... żeby nabić... ale zaraz przehula co nakradnie. Gadają o swoich tysiącach dusz, a to wszystko pozadłużane, biedota tylko błyszczy mundurzykiem, na carskim chlebie żyje... z łaski... Ja ich znam... o! o!

— Ale Sofronów ma w Kostromskiej gubernii...

— No! no! już ja takich znałam dużo co mieli i w Jarosławskiej i w Tambowskiej tysiące dusz, a byli bez kawałka chleba... Prawdę powiedziawszy, lęczę bezpiecznie, jedźże sprawdź do Kostromy.

Pokiwała głową znacząco pani Wtorkowska.

— I te pensye pułkownikowskie, jeneralskie, dodała wzdychając, to gdyby, z pozwoleniem, nie kradli, żyćby nie było z czego...

— Ale proszę mamy, kiedy to u nich się kradzieżą nie nazywa... jakoś inaczej. U nich już tak urządzony kraj, że wszyscy mają uboczne dochody... i jawne i potajemne... Ale to wszyscy bez wyjątku.

Wtorkowska mimo tłumaczenia córki, westchnęła.

— O! tego Jakóba mi żal, rzekła ciszej, ale znowu z taką matką!! w muszkach? i okazuje się że on religii nawet wyrzec się ani myśli... to już niepodobieństwo...

— E, moja mamó, odezwała się Muza ręką rzucając, gdybym ja była tylko chciała... wyrzekłbyłby się on dla mnie i ojca i matki i religii i wszystkiego. Ale tam... tam, widzi mama, pokutuje w nim jakaś stara miłość czy miłostka... z którą ja walczyć nie chciałam... która... no! dość że znów nie był mi tak ponętny.... Mój ulubieniec, to Henryk.

— No, tak... kiedy żonaty!

— Ale ta Tilda... błada, kaszle.... Mnie jój serdecznie żal, ale cóż ja na to poradzę? a byle ta przeszkoda znikła... to Henryk się jutro ożeni ze mną....

— Tylko że to jeszcze na wierzbie gruszki, moja kochana....

— Zobaczymy, zobaczymy, dodała Muza, wszakże zawsze Sofronowa mam w odwodzie.

— Nie, rzekł Henryk do teścia swojego (w kilka dni po przybyciu matki Jakóba) z tego Jakóba niepodobna będzie nigdy zrobić porządnego człowieka; zarozumiały, uparty, świata nie zna, jakiś fanatyzm talmudyczny w głowie, jakieś mrzonki reform, a przytém opinie — pojęcia... Ja go nie rozumiem; z Polakami trzyma a jest przeciwko rewolucyi, o stosunki z wyżej położonemi osobami niewiele dba... sam z sobą, odosobniony, dziki, i nam się na nic nie zdał i nikomu.

Nie powiem żeby był bez zdolności, jest głowa, serce aż do zbytku miękkie, ale razem wzięwszy mieszanina jakaś, dla mnie niepojęta.

— Już to ja ci powiem, odezwał się ojciec Tildy, w nim zawsze czuć tego łapsrdaka, z którego ja go wywlókłem. Co ty chcesz? prosty Belfer uczył go talmudu, to na wieki zostaje... Otarł się o świat, a tego co się skorupka napiła nie stracił.

— I to szkoda wielka, zawołał Henryk, boby nam był mógł być użytecznym, dobra powierzchowność, w głowie porządnie, nauki wiele, prezentuje się tak, że go nikt nie posądzi o żyda, ale za trzecim wyrazem palnie zaraz kim jest, na to nie poradzi. Z nim w jednym towarzystwie być straszno, tak łatwo może skompromitować człowieka.

— To prawda, rzekł p. Samuel, ja go w gruncie cenię, ale sobie powiedziałem, że nie użyję do niczego.

— Tacy ludzie są przeznaczeni na zgubę — koniec końcem wszyscy ich odepchną; ale ślepy, własnego interesu nie rozumie.

— No, a wiesz historią matki?

— Nie — dotąd nic.

— Przyjechała tu do niego staruszka, powiadam ci, śmierdząca żydówka, a ten ją przyjmuje, nosi się z nią, chwali, słowem skandal robi z tego.

Henryk ruszył ramionami.

— Ażem ja, dodał ojciec Tildy, musiał mu otwarcie powiedzieć, żeby mi jęj do domu nie wprowadzał.

— O! on to gotów zrobić! przerwał Henryk, on gotów... i do mnie ją przywieść! Jeszcze so-

bie wybierze dobrą godzinę kiedy u mnie będzie jak najwięcej gości i jak najlepsze towarzystwo.... A niechże go lichy porwie! Bo trzeba wam wiedzieć że, pomimo tych śmieszności mojej i waszej Tildzie tak oddawna głowę zawrócił, że u mnie w domu słowa przeciwko niemu odezwać się nie można....

Ojciec się rozśmiał.

— E, to tam stare, dziecinne platoniczne romanse... dzieciństwo! A na to żeby rozczarować, dam ci skuteczne lekarstwo....

— Ja się tém wcale nie frasuję, Tilda jest najszlachetniejszą w świecie kobietą... tylko uprzedzona i ma go za świętego....

— A śliczny mi to święty! rzekł ojciec śmiejąc się.

— No, prawdę rzekłszy, przeciw niemu, oprócz tych jego niedorzeczności, nic powiedzieć nie można.

— No! no! ja mam widać lepszą trochę od waszej policyą.

— Nawet żadnego młodego głupstwa nie zrobił.

— Niestety! przerwał p. Samuel, nie ma już ludzi coby podobnych głupstw nie robili!

Henryk stanął zdziwiony.

— Chyba już coś stanowczo wiecie, spytał, przyznając się żem bardzo ciekawy....

— No widzisz, ten mędrzec co cytuję Salomona, nie jest od niego wolniejszy od zarzutu... tylko że dopuścił się grzechu z Izraelitką, jako prawowierny... obawiał się Madyanitek! cha! cha!

— Cóż to za historia znowu?

— W istocie historia i ciekawa i tajemna. Ty wiesz, mówił pan Samuel po cichu, że ja lubię bardzo o wszystkiém wiedzieć. Często się to na coś przyda, a przytém bawi.... Otóż ten i ów przychodzi czasem do mnie, gdy się o czém dowie. Niedawno dobija mi się, gdym był zajęty, stary ten z czerwonym nosem, co to go nazywają *trąbą*, wiesz.... Bierze mnie na sekret, myślałem że tajemnicę stanu odkrył, po długich korowodach, jakby mi miał odsłonić arkę... powiada: Pan wie o panu Jakóbie? Co? Że on ma kochankę, żydóweczkę z... której ojciec jest bardzo bogaty; że to już oddawna trwa ten romans, że pan Bóg dał i dziecię, a rodzice córkę z domu wypędzili.

— Ho! ho! ho! aż tak! zawołał Henryk.

— A no, tak! Utrzymywał ją naprzód w bardzo wielkim sekrecie przy ulicy Ogrodowej w ja-

kimś domu, potem tajemnie najął jój lokal przy Śto. Jurskiej i to porządny wcale, i tam ją umieścił. Chodzi tam czasem niepostrzeżony wieczorkami, kazałem sprawdzić, tak jest, nie ma wątpliwości, dziewczyna śliczna słyszę, skromna, bojaźliwa.

— Ale to się nie godzi z jego charakterem, przerwał Henryk, onby się pewnie ożenił, gdyby tak było.

— I mnie się też tak w początku zdawało, odpowiedział ojciec, ale musiałem się poddać najdowodniejszej rzeczywistości. Tak jest! tak jest! to fakt spełniony!

Stary począł się śmiać.

— Ale filuta kawał z tego Jakóba... kryje się dobrze, kiedyś mu utnę figla i zawstydzę go. Tylko, sza!

— Ale, czyż to być może! rzekł Henryk.

— Ręczę ci słowem że tak jest, że ją utrzymuje, że pieniędzy dostarcza, że jest młoda i bardzo ładna... To nie ulega wątpliwości. Jeśli chcesz sądzić że to czyni przez prostą miłość bliźniego i że dla miłości bliźniego też chodzi tam wieczorami — no, to twierdź jak ci się podoba.

— Oryginalne! słowo daję, oryginalne! rzekł pan Henryk, trochę jakoś tą wiadomością zaszepiony,

więc to Don Juan przebrany za anachoretę... więc Tartuf tylko pobożnym przykryty płaszczykiem!! To nowa strona jego charakteru której się nie spodziewałem... zupełnie mi to miesza szyki w sądzie moim i pojęciu o człowieku... no proszę!!

— Ale to fakt! fakt tak pewny jak że dziś dzień, dodał Henryk. Chcesz się sam przekonać? należysz przecie do famalii a ja do sekretu nie jestem obowiązany... oto numer domu, pofatyguj się, dopilnuj, to się przekonasz.

Piękna twarzyczka pokazuje się rzadko, ale Jakóba kiedyś wieczór przydybać możesz. Tylko dopilnuj.

— Oryginalne! powtórzył Henryk — oryginalne! słowo daję — niepojęte!

Pan Samuel śmiał się widząc zięcia tak zdumionym.

— Otoż to widzisz, dodał, ciche wody brzegi rwą, my cośmy już znani z wybryków, nie tyle pewno nagrzeszemy ile na nas plotą, a ci panowie świętoszki, za nas i za siebie.

— Ale nicbym w tém zresztą tak dziwnego nie widział, rzekł Henryk — gdyby nie owa sława czy stego Józefa którą sobie wyrobił pan Jakób... Gdzie? jak? kiedy ten romans mógł się spełnić? Niedawno

powrócił z za granicy, prawie ciągle odtąd siedział w Warszawie, nie oddalał się.

— A to już sobie te tajemnice rozwiązuj kiedy chcesz, zawołał ojciec. Ja ci mówię to co wiem najpewniej, a ty chronologią wybadaj. Bądź co bądź rzecz się stała... fakt... a jak spełnił się, to jego sekret.

— Daty mi się płaczą? Jużciż nie była za granicą? mówił Henryk.

— A ktoż to wie! u wód, teraz wszyscy do wód jeżdżą, nawet ci którymby dość było prostej wody ze studni.

— Oryginalne! powtarzał Henryk.

Tegoż dnia, smutniejszy niż zwykle pan Henryk, wedle zwyczaju, poszedł *dans l'avant soirée*, odwiedzić Mużę.

Była to jego poufała, szara godzina w której nawet Sofronow nie miał przystępu. Muza miała tak metodycznie rozłożony czas, że ci których sam na sam przyjmowała, nigdy się z sobą nie stykali. Henryk raz na zawsze dostał na własność *l'avant soirée*; zastawał zwykle Mużę w jej pokoju, najczęściej samą, bez matki, i mógł z nią pomówić swobodnie, swobodnie ucałować piękne choć dosyć spore jej łapki, uśmiechnąć się, pożartować.

Rozmowa tu nastrojona bywała poufalej daleko niż w salonie, obojgu miła, gdyż zawsze sympatyzowali z sobą.

Tym razem, jak najczęściej się trafiało, zastał Muzę z książką na szezłagu, ale wszedł dziwnie zamyślony odkryciem które uczynił, piekło go ono. Muza nawet dopatrzyła zaraz chmury na jego czole.

— Cóż ci to jest, panie Henryku, spytała, chodzisz pan jakiś zasepiony, czyby jakie papiery wasze na giełdzie spadły, czy która baletniczka zdradziła dla szlifów?

— Pani jesteś okrutną a masz mnie za egoistę.

— Nie, nie, za bardzo tylko rozsądnego, praktycznego człowieka.

— A na ten raz, smutek mój i ból jest czystą litością nad upadkiem człowieka który...

— Upadkiem człowieka? czy co ciekawego?

— Bardzo.

— Tyczy się znajomego?

— Dobrego przyjaciela pani.

— No, to nie cedźże pan i mów.

— Idzie o pana Jakóba.

— Upadek! Cóż to? historya matki?

— Ale nie.

— Coś nowego?

— Zupełnie nowego i oryginalnego. Pan Jakób, ów nasz święty i niepokalany, pokazuje się ma ukrytą kochankę... i podobno nawet... jakąś maleńką familijkę.

— O! to już czysta potwarz! on!

— Tak i ja mówiłem, niestety! są fakta, prawda, prawda niezawodna.

— Ale to do niego niepodobne nie a nie.

— Dowodzi tylko że i on nie zawsze jest do siebie podobny.

— Ale, proszę, opowiedz mi to pan szczegółowie. Któż? co? młoda? ładna? blondynka? brunetka? jakiego stanu? wychowania?

— Prosta, prosta żydóweczka z córka kupca, młoda i bardzo ładna.

— Ale kiedyż się to stać mogło? spytała Muza ciekawie.

— Tego nie rozumiem, kiedy, jak, to pewna że ojciec Tildy, który wie wszystko, odkrył i to... Nie wierzyłem, przekonał mnie. Fakt jest, fakt, mieszkała wprzód przy ulicy Ogrodowej, teraz przy Śto. Jurskiej.

— Jak to? jak to? familia? spytała Muza, cóż za familia? coś to pan mówił?

— Ale, czyż pani mnie nie rozumiesz? spytał śmiejąc się Henryk.

Muza uśmiechać się zaczęła i nie pytała już więcej.

— *C'est a n'y rien comprendre!* zawołała po chwili. Ale on w istocie tak dobrze grę swą ukrywał, że można go było wziąć za świętego.

— Tartufa kawałek, Tartufa! rzekł Henryk. Przyznam się pani że to mi, od chwili gdym się o tem dowiedział, daje o nim całkiem nowe wyobrażenie. Na nowo się go uczyć muszę.

— Zupełnie jak ja! *enfin je vois qu'il est vulnerable*, dodała śmiejąc się Muza, a sądziłam że kobiety są dlań całkiem obojętne... proszę, proszę.

Jakoż dosyć prędko pozbyła się panna Emma Henryka, i pobięła z nowiną do matki.

— No, teraz się ja mamie wypłacę historią za historią o panu Jakóbie — i poczęła żywo opowiadanie.

Wtorkowska kiwała głową, wykrzykiwała, śmiała się, splotowała, dziwiła.

— Przyznam się mamie, dokończyła Emma, że ja go teraz mniej rozumiem niż kiedy. Nie przypuszczam ażeby to proste dziewczę mogło być pię-

kniesze, ponętniejsze nademnie... dla czegoż ze mną był tak zimnym?

— Bo ją kocha! to prosta rzecz! odpowiedziała matka.

— A! co mi tam za kochanie! taka prosta dziewczyna. Teraz to się jeszcze bardziej gniewam na niego, miałam go za zimnego człowieka, okazuje się jeszcze chłodniejszym niż sądziłam, bo rachował tylko aby nie był zmuszonym się żenić.

— Może to jeszcze i bajka! przerwała stara Wtorkowska.

Muza powtórzyła źródło i dowiodła że to być musiała prawda — obie smutnie jakoś zamilkły.

— Jużby raz przestać potrzeba i myśleć i mówić o tym człowieku... pluńmy na to! odezwała się stara, nie wielka szkoda, są inni.

Muza jednakże była wielce podrażnioną, przypłacił to wieczorem pułkownik Sofronow, któremu żadnej nowiny powiedzieć nie umiała, a w dodatku na przekorę zaczęła udawać patryotkę... czego on się nie zląkł; śmiał się.

Tymczasem posiana plotka rozkrzewiała się szczęśliwie. Henryk nazajutrz kwaśny wróciwszy do domu, nie zastawszy nikogo, pił herbatę z żoną; milczeli długo oboje, Angielka z książką w kącie po-

szła, mąż patrzył na podłogę, żona na sufit. On o coś pytał, ona mu coś odpowiadała, ale rozmowy ani sklecić.

— Widziałaś w tych dniach Jakóba? spytał po chwili Henryk, był on tu?

— Nie, od dni kilku.

— A prawda! ma gości, matkę.

— Wiem o tem, ojciec mi wspomniał.

— I o nikim więcej ci nie mówił? spytał śmiejąc się Henryk.

— A o kimże mi miał mówić?

— A! nic! nic... no — to nic.

Zamilkli ale Tilda była niespokojna.

— Czy mi nie odpowiesz o co to chodzi? spytała.

— Nie — dzieciństwo... Miałabyś mi za złe gdybym cię rozczarował. Lubisz tego Jakóba, w istocie dobry człowiek, ale dajmy temu pokój.

Najmniej ciekawa kobieta, jest jeszcze bardzo ciekawą, cóż dopiero gdy się rzecz tyczy ukochanego przez nią człowieka; Tilda stała się coraz widoczniej niespokojną.

— Jestem pewna, odezwała się, że Jakób nie takiego zrobić nie może, coby mnie o nim inne nad to które mam, wyobrażenie dać mogło.

— A! jesteś pewna! śmiejąc się chytrze rzekł mąż — no, to dobrze!

Milczeli chwilę.

— Nie męczże mnie i powiedz kiedy zacząłeś, odezwała się Tilda.

— Nie ma w istocie o czém mówić — to dzieciństwo! I śmiał się ironicznie.

Tilda zarumieniona nalegała.

— Cóż bo cię znowu ten Jakób tak bardzo obchodzi! zawołał mąż.

— Kocham go jak brata, z tém się nie taję, wychowywaliśmy się razem.

— Nic téż znowu tak poczwarnie zbrodniczego nie popełnił... no, po prostu ma jakąś tam kochankę, z którą się ukrywa.

Tu rozpoczął opowiadanie po swojemu, cynicznie, żartobliwie, złośliwie i dodał w końcu:

— Jeżeli mnie nie wierzysz, spytaj ojca, który to odkrył.

Przez cały ciąg powieści Tilda siedziała drżąca, z oczyma spuszczonemi, po twarzy jój tylko przebiegały na przemiany płomień i śniegi: błądła, rumieniała się, wstrząsała, ale gdy Henryk skończył podniosła głowę śmiało i rzekła zimno:

— Nie wierzę, to bajka! ani tobie ani ojcu nie uwierzę; powtarzam to jest niegodziwa potwarz.

— A! zmiłuj się? dla czego?

— Dla tego, że to być nie może.

To mówiąc wstała od stołu poruszona, ale zamiast pójść do fortepianu, wedle zwyczaju, zamknęła się zaraz w swoim pokoju. Tu dopiero łzy się strumieniem z jęj oczów puściły, padła na kanapę płacząc.

Dotąd wierzyła w jednego przynajmniej człowieka na ziemi, którego uczyniła swym ideałem; — ideał ten zstępował z piedestału, stawał się nagle pospolitą, ziemską, ułomną istotą.

Istotą fałszu pełną, inną wewnątrz, inną dla niej, komedyantem miłości.

— A! nie! nie! to być nie może! powtarzała sobie. Lecz głos szyderski pytał ją urągając się.

— Dla czego? nie sąż oni tacy wszyscy? nie takimże jest świat cały?

Gorycz zalała jęj serce, łzy płynęły, siedziała przybita sama nie wiedząc co począć, jak się uleczyć z tego znękania śmiertelnego. Naprzemiany to wierzyła słowom męża, to je odpychała jako potwarz, a życie tak się jęj wydało pustém, straszniém, obrzydliém bez niego, że zapragnęła śmierci.

Ktokolwiek w życiu przyległ sercem całém do istoty która dlań wszystko i wszystkich zastępować miała, a ujrzał potém swe bożyszcze zmienione w gliniany zlepek rozbity, pojmie co to zbolełe serce doznać musiało w chwili rozstania z ostatnią zbawczą myślą, z ostatnią nadzieją oświetlającą ziemię.

Nazajutrz zdziwił się Henryk ujrawszy ją przychodzącą do stołu bladą, niemą, widocznie chorą, ale zupełnie spokojną. Na kilka zapytań odpowiedziała mu obojętnie i krótko się tłómacząc bólem głowy. Nie mówili potém prawie do siebie, a wstawszy od obiadu Tilda odeszła natychmiast i zamknęła się w swoim pokoju.

Wierny swym pierwszym przekonaniom, Jakób dosyć obojętnie obracał się wśród coraz rosnącego rozgorączkowania otaczającego kraj; nie mogło ono jednak nie oddziaływać na niego. Każdy gwałt popełniony na nieszczęśliwym narodzie odbijał się w jego duszy, zbliżał go do uciśnionych.

Jest to najlepszym probierzem dusz szlachetnych że one zawsze współczują z cierpieniami słabych i uciśnionych a nie padają bałwochwalczo przed siłą zwycięzką. Ktokolwiek w dniach tryumfu płaszczy się przed potęgą zwierzęcą, której prawowitości nie uznaje w duszy, nikczemnym jest.

Można ulegać przez słabość przewadze i przemocy, ale nic nie powinno zmusić do czczenia ich, padania na twarz przed nimi. Jeżeli się człowiek nie oburza na niesprawiedliwość, ale stara ją wytłumaczyć, okryć ażeby i swą sromotę pod jeden płaszcz zmieścić — osądzony jest.

Ma ucisk tę władzę że do uciśnionych ciągnie

wszystkie serca pocziwe. — Często sprawa która nie obudzała współczucia, zyskuje one gdy ją szal nieprzyjaciela krwią zboczy. Im wścieklój urąga się siła prawom i prawdzie tém wyżej one stoją.

Tłum spodlony zaprze się ich z trwogą pod naciskiem terroryzmu, ale w chwili pomsty Bożej i pogromu, nie znajdzie się jeden coby z nimi stanął, gdy prawda zawsze mieć będzie obrońców, męczenników i wyznawców pod szubienicami, na rusztowaniach, w więzieniach, na tym świecie i w świecie wspomnień ludzkości.

Dla tego wszelaki ucisk prawdy, wychodzi na jej korzyść: spotęgowuje on ją tylko ale zabić nie może.

Jakób który w początkach z tęsknotą i ubolewaniem patrzył na tych którzy kraj popychali do wybuchu, rozpłomieniał także gdy rząd po swojemu począł karcieć i chcieć złamać grozą, uciskiem, szubienicami i bagnetami.

Na czele ówczesnych zbawców Polski, którym się zdawało że ją na drogę wprowadzić zdołają terroryzmem, stał naówczas młody Książę i stary Margrabia. Ale oba może do innych by się byli próbowali uciekać środków, gdyby po nad nimi nie było Petersburga którego tradycyjnym systemem

było i będzie zawsze: nękać i łamać grozą. Nie wymyślono na chorobę Polski i teraz innego lekarstwa nad jedno: szubienicę, wygnanie, Sybir, katorgę.

Mylim się, dołączono do tego potwarz i agitacją patryotyczną moskiewską już się rozżarzającą, której na pastwę Polskę dać postanowiono.

Jakób, jakkolwiek przeciwny wszelkiemu wybuchowi, usprawiedliwiał go jednak gdy nadeszła chwila branki i dołączone do niej urągowisko, które stanowczo popchnęło do rewolucyi.

Nie dosyć im było ofiary krwi, dodano do niej policzek.

Naówczas wiele serc szlachetnych uderzyło, wiele głów zawróciła rozpacz i obrażona godność narodu, wiele głosów odezwało się: zginąć ale okazać potrzeba, że nie jesteśmy bezduszną trzodą, która pod pletnią żelazną całuje rękę kata.

Mówiliśmy już jak odosobnionym był Jakób, jak wydzielonym pozostał i samotnym. Stykał się on ze wszystkimi odcieniami opinii, ze wszystkimi warstwami społeczeństwa, ale żadne z nim i on z żadnem jedną iść nie mógł drogą. Dla człowieka czującego w sobie prawdę i siłę, nic boleśniejszego nad takie odrzucenie. Jedyną pociechą dlań była

matka; czasem odwiedziny przyjaciółki młodości i praca nad wielkiem życia zadaniem, reformą religijną, którą za najważniejszy cel swój był obrał. Ale na tém polu z musu prawie beczynnym pozostał, ani pora ani usposobienie umysłów nie sprzyjały przedsięwzięciu, ograniczył się więc współpracownictwem bezimienném w piśmie wydawaném dla Izraelitów w języku polskim, które do najlepszych w ogóle dzienników téj doby należało.

Ale i tu artykuły jego, chętnie przyjmowane, zajądłą budziły polemikę, były bowiem zarazem za żydowskie i za swobodne, dla jednych za fanatyczne, dla drugich za śmiało reformatorskie. Tém się wszakże nie zrażał, a w ostatku odosobnienie w jakim zostawał, czyniąc go zupełnie wolnym, już mu było mniej przykre; umiał ocenić jego korzyści, choć znał niedogodności i czuł upokorzenie.

Od czasu przyjazdu matki, która pozostała u niego i z którą bardzo często pokazywał się na ulicach, a wcale nie ukrywał w domu, wytworniejsze towarzystwo odsunęło się od niego jak od zapowietrzonego. Zrozumiawszy to Jakób téż od niego się cofnął, i u Henryka nawet bywać przestał. Naturalnie to pozorne zobojętnienie Tilda sobie wytłumaczyła inaczej; było ono dla niej smutném po-

twierdzeniem powieści męża. Nie szukała też Jakóba i zamknawszy w sercu czyste wspomnienia lat młodych, niemi tylko żyła, wyrzucając światu, że on popsuł ulubionego. Jakób téj plotki odgadnąć nie mógł, ani się domysleć potwarzy która go ściagała aż w sercu istoty ukochanej.

Raz nareszcie po długim niewidzeniu spotkali się wypadkiem z rana u pani Wtorkowskiej. — Muza była tak zajęta nowym pertersburgskim przybyszem rzeczywistym radcą stanu hrabią Baworowem, z gwiazdą, a niemającym nad lat trzydzieści, w dodatku nieżonatym i ulubieńcem N. Pana — że Jakób korzystając z tego mógł się przybliżyć do Tildy.

Uderzyła go jój bladość, tknęła jakaś zmiana w obejściu z nim i tonie.

— Czyś nie mocniej chora? spytał cicho.

Tilda spojrzała nań długo, z politowaniem jakimś, ale bez gniewu.

— Nie, rzekła, wcale się gorzej nie czuję.

— Tak dawnośmy się nie widzieli!

— Prawda, odpowiedziała — dawno.

— To moja wina, rzekł Jakób, ale mogeż się cisnąć, gdy mnie odpychają?

— Nie wiem kto, szepnęła Tilda, wy może wszystkich odpychacie od siebie?

Jakób poczuwszy w tém jakąś wymówkę, spojrział na nią.

— Ja? spytał — ja? to chyba mimowolnie. Wiesz pani (dodał z przyciskiem wymawiając wyraz ostatni) o przybyciu mojej matki? jest to kobieta cnót wielkich, ale prosta... Widzę że wszyscy się jęj obawiają, i dla tego stronią odemnie, a obojętnością dla matki, nie mogę okupywać przyjaźni obcych ludzi.

Tilda zapomniała była o matce.

— Pan masz matkę u siebie? spytała.

— Tak jest.

— A może, szepnęła cicho nie mogąc się wtrzymać — a może — inne pana od nas jakie odstręczają stosunki tajemne, ciche... skryte... miłe sercu.

Jakób czując drżenie w jęj głosie spojrział na nią wielkimi, zdziwionemi oczyma, w jego spojrzeniu malowało się zdumienie tak szczere, taka myśli otwartość, niewinność i pewność siebie, że Tilda prawie się swęj łatwowierności zawstydziała; spuściła oczy i odeszła do Muzy. Jakób pozostał sam jeden z domysłami swemi.

Nie zrozumiał on co to znaczyć mogło, czuł

tylko jedno, że musiano go przed nią oczernić, ale nie wpadał na myśl w jaki sposób to spełniono.

Zadumany, widząc że Tilda pospiesznie się wybiera zarumieniona i niespokojna, pożegnał ją zdala i usiadł w kącie.

W salonie tymczasem coraz gorętsza rozżarzała się rozmowa, pułkownik Sofronow, hrabia Baworow, Muza i radzca Pikuliński, udział w niej brali.

Przedmiotem były naturalnie najświeższe wypadki, była branka, pierwsze drgania rewolucyjne, w które jeszcze wiele osób wierzyć nie chciało.

Pułkownik Sofronow dyplomatycznie bardzo odzywał się o wszystkiém, należał on do tych co przestali wierzyć w rozum Męża Stanu.

Hrabia Baworow, świeżo przybyły do Warszawy, wyznawał już głośno zasady później w system ujęte przez Katkowa.

Radzcą Pikuliński należał do tych radzców co nikomu nic nigdy nie radzili, a sami sobie tylko absolutną nicością dają radę. Cobykolwiek kto mówił, zawsze głową kiwał, a gdy go za guzik wzięto i przyciśniono do ściany, jak owe zabawki dziecinne co mają jeden głos tylko gdy je poruszają — wymawiał zawsze jednym tonem: -- Tak, a! tak!

Czy owe *tak* przed pięciu minutami wyrzeczone

godziło się z drugim *tak* zaraz po niem następującem, o to się Radzca bynajmniej nie troszczył. Szło mu o to aby się władzy i jój reprezentantom nie przeciwieć, co zawsze jak najgorsze sprowadza skutki. Idąc statecznie tą drogą Pikuliński, z kancelisty doszedł do wysokiego stanowiska w hierarchii, zyskał Stanisława pierwszej klasy, Annę drugiej, Włodzimierza trzeciej, i zaufanie rządu zupełne. (Zapomnieliśmy o sprzączce za 25 lat służby!)

Była to chodząca, wcielona nicość, ale właśnie przez to stał się im drogi. Gdyby mu byli na rodzzonego ojca klątwę rzucić kazali, byłby ją rzucił, tłumacząc się:

— A jużciż jakże można się władzy sprzeciwiać... najgorsze z tego skutki! najgorsze skutki! Zresztą... głową muru nie przebijesz...

Radzcy téż używano wszędzie, do wszystkiego, jak wody — do podpisów, do pokłonów, do prezentacyi, do adresów, do deputacyi, do rządowych manifestacyi lojalności, słowem gdziekolwiek jaką dziurę załatać było potrzeba... Radzca był nieoszacowany, bo niezawodny. Zresztą najpocześniejszy człowiek i grał w preferansa — doskonale. — Można mu było już zgóry zapowiedzieć że zostanie

radzcą tajnym i senatorem i zyszcze orla białego i najwyższe zajmie posady, potrzebował tylko czasu.

Każdy dowód że rząd oceniać umiał jego przymioty, rozczulał pocziwego Pikulińskiego; szedł na zamek w nowym mundurze, z nowym orderem, poruszony, przejęty, pokorniejszy jeszcze w duszy, powtarzając sobie :

— O! gdyby wszyscy szli tą drogą co ja! wielubyśmy to nieszczęść uniknęli! — Ale... żadnego taktu... lekkomyślni!

Radzca Pikuliński choć należał niby do rozmowy, miał w niej udział bardzo skromny, kiwał głową i kiedy niekiedy powtarzał swe do wszystkiego służące — Tak! — które go nigdy nie kompromitowało.

Najwymowniejszym był hrabia Baworow całkiem jeszcze świeży i wyobrażający sobie że jest w petersburgskim salonie na Newskim Prospekcie.

— Rosya może powiedzieć śmiało, wołał, jak Włochy Cavour'a — *fara da se* — nie potrzeba nam ani pomocy Austrii przewrotnej, ani feudalnych Prus, Rosya młoda czuje w sobie siły do odparcia Polski i Zachodu.

— Tak! rzekł Pikuliński.

Sofronow głową kiwnął.

— Wolelibyśmy uniknąć starcia, dodał cicho.

— Tak! dodał Radzca.

Jakób wstał rozdrażniony.

— Mnie się téż zdaje, rzekł, że walki téj i starcia nie tylko zdrowa polityka uniknąć radzi, ale jest ono możliwém.

— Jak? spytał Baworow.

— Tak! dodał machinalnie Radzca, ale się zaraz zakaszłał, widząc że nie w porę się odezwał.

— W bardzo prosty sposób, mówił Jakób — Polska domaga się pewnych swobód zapewnionych jéj traktatami, do których z saméj natury rzeczy, ze swéj przeszłości, ma słuszne prawo; dla czegoż nie uznać ich, czemu panowie chcecie wszystko siłą i terroryzmem pokonywać?

Radzca aż się cofnął ze strachu i pochwycił za żołądek, w którym poczuł boleści jakie zawsze sprawiało w nim głębokie wzruszenie.

Baworow ruszył ramionami.

— *Connu!* zawołał, na zły grunt pan wstępujesz... My nie uznajemy Polsce praw żadnych, ani nawet praw przyrodzonych człowieka. My jesteśmy państwem, siłą; dla nas pierwszym, główném, jedyném jest nie dać się zmódrz i pokonać. Czy idzie o prawdę czy o fałsz my musimy zwy-

ciężać — to nasze dzisiejsze zadanie. Żyjemy przez siłę, stojemy siłą, jesteśmy pięścią, ustępując na jedną linią uznajemy się słabymi. Naówczas Rosya nie ma na świecie *raison d'être*, nie jest sobą, straciła główny materiał swojego bytu, to co stanowi że istnieje.

— Tak, rzekł pocieszony Pikuliński i odetchnął.

— Przyznajesz pan, odezwał się Jakób, największą słabość Rosyi, dając jęj za podstawę tę siłę zwierzęcą. . . .

— Ale my dotąd nie mieliśmy ani czasu ani sposobności innęj się dorobić, rzekł zimno Baworow, musimy przyjąć to co jest i tęp żyć. Może się kiedy do innęj jakiej podniesiemy missyi, dziś naszym posłannictwem — kułak.

Sofronow oburzył się na ten cyrizm.

— Panie Hrabio, rzekł, ja tego nie uznaję co mówisz. Mamy przecież tradycye sławiańskie. . . .

Radzca rzekł znowu pocichu: tak; z przywyknienia do wciskania tego wyrazu w próżnie rozmowy, ale zjadł go zaraz i obrócił się tabakę zazywając ku oknu, znajdując że się nieco zaryzykował.

Jakób nie wiedział już co powiedzieć przeciw tak sromotnie obnażonęj teoryi.

— Panie Hrabio, rzekł, zdaje mi się że przesądzasz nieco czyniąc Rosyą tak ubogą i tak słabą; państwa co stoją siłą samą są kruche. To co stanowi istotną ich potęgę, to duch który spaja; wy nie rachując na inne żywioły spójni jak na materyalne węzły ślepego posłuszeństwa..... źle rachujecie.

— Jako? przerwał Hrabia, posłuszeństwo ślepe u nas jest naprzód czemś więcej niż gdzieindziej, bo jest dogmatem narodowym. Podnieśliśmy je do godności religijnego aforyzmu. Dalej jeszcze liczymy na coś więcej, liczym na to co najlepiej działa na ludzi, na strach, na pieniądze, na order, na rangi i ambicyą....

— A więc na słabości ludzkie? spytał Jakób.

— Bo przez słabą stronę tylko bierze się człowiek, przez Achillesową piętę, rzekł śmiejąc się Baworow. Wszystkie wasze piękne teorye moralne, idealne, duchowe, są to zabawki dla dzieci. Politycy i mężowie stanu winni się pilnować i trzymać tylko rzeczywistości. Rzeczywistością są więcej wady ludzi niż cnoty.... Cnoty są komedią chwilową, wady podstawą życia....

Muza się nareszcie obruszyła.

— A! panie Hrabio, rzekła, to okropna teorya.

— Panie jój słuchać nie powinniście! odpowiedział grzecznie Baworow.

— Tak! rzekł głośno Pikuliński który się rozsmakowywał w przybyśzu i czuł że głośno mu potakując nie skompromituje się.

Sofronow był zafrasowany, skłopotany widocznie, Muza odpowiedziała.

— Ale Hrabia chyba nie wiesz, że my teraz się do wszystkiego mieszkamy, przywykłyśmy słuchać wszystkiego i wpływać na wszystko.

— To nieszczęście! to nieszczęście! odparł Baworow, na cóż wam pięknemi białemi rączkami grzebać w tych życia śmieciskach? po co uperfumowane wchodzicie do tych zadusznych kuchni w których się smażą niewonne lekarstwa na choroby ludzi?

— Tak! rzekł radzca, tak!

— Z tego co Hrabia mówisz płynie, odparł Jakób, że — w rządzeniu krajem i światem, nie ma moralności.

— Dawno to powiedziano... moralność jest zupą rumfordską, *bonne pour le peuple*, w polityce nie ma moralności.

— A! a! zawołał Jakób, jak skoro tak nie mamy już co dłużej rozprawiać. Ja wierzę w mo-

ralność zawsze i wszędzie, a ilekroć widzę zadany jej gwałt spodziewam się wymiaru kary Bożej.

— Kary? Bożej?? urągliwie uśmiechając się podchwycił Baworow. Jakto? Pan Bóg u was jeszcze....

I nagle spytał:

— Pan jesteś katolik?

— Nie, panie, ja jestem... żyd, odparł Jakób kłaniając się.

Baworow który takiego żyda jeszcze jak żyw nie widział, spojrzał zdumiony i z trochę źle ukrytego wstrętu zapytał.

— Zapewne z Niemiec?

— Nie — Polak jestem....

— Polska ma takich jak pan Izraelitów?

— Nie rozumiem pytania? rzekł Jakób spokojnie.

— Nic w nim nie ma uwłaczającego panu... chciałem powiedzieć, równie wykształconych i światłych, grzecznie dodał Hrabia.

— A! panie, kłaniając się odparł Jakób, ma daleko wyżej wykształconych nademnie.

— Cieszyłbym się bardzo z tego, mówił dalej Baworow, panowie przynajmniej powinniście wpłynąć na kraj, aby się raz wyrzekł swego niedorze-

cznego patryotyzmu i — odrzuciwszy feudalizm, a nadewszystko katolicyzm — szedł z nami ręką w rękę.

— Przepraszam pana Hrabiego, odezwał się Jakób, ale jeśli kto to żydzi co tysiące lat pielęgnowali swój patryotyzm i religią, walczyli zań, ginęli, cierpieli i jak iskrę świętą zachowali go podziśdzień — w innym narodzie zganić nie mogą, co ich samych ocaliło.

— A! zacinając usta i mierząc go okiem ostrym, rzekł Baworow lekko skłaniając głowę... widzę że mam zapewne do czynienia z krańcowym rewolucjonistą... więc porachujmy jakie są widoki Polski...

— Wcale rewolucjonistą nie jestem, przerwał Jakób. Ale są wypadki w których ludzie najprze ciwniejsi rewolucjom w ogóle, stają się rewolucjonistami, gdy ich do tego zmuszą...

— Wy tak wszyscy mówicie, przerwał z kolei Sofronow, ale czyż kiedy Polskę czém zadowol niono? gdyby jój dano udziałność, zechce być całą; gdyby jój oddano wszystko co miała, zapragnęłaby więcej jeszcze....

— Nie wiem, zawołał Jakób, ale to pewna że

nigdy szczerze nie probowano nawet zadowolnić Polski.

— No, a Aleksander I.? spytał Baworow.

— Aleksander I. obiecał jój wiele, dał trochę i tę odrobinę natychmiast rękami brata odbierał, odpowiedział Jakób.

Pikuliński prędko odwrócił się do okna, żałował że nie wyszedł, czuł niebezpieczeństwo oddychania jednem z takim herezyarchą powietrzem; myślał już czyby nie można przypuścić że mu krew z nosa poszła... ale się powstrzymał jeszcze.

— Co to, o tém mówić próżno? rzekł Hrabia, Rosya zbłądziła, powinna była od razu wykorzenić polszczyznę, katolicyzm a szczepić prawosławie i ruskiego ducha.

— Ale pan Hrabia sam przyznałeś, zarzucił Jakób, że Rosya siłą stoi nie duchem.... Jak szczepić to czego nie ma?

— Tak, powiedziałem i nie przeciwię sobie, nasz duch to zabicie wszelkiego ducha... powinniśmy byli iść siłą, mocą, grozą a nie pochlebiać, zwodzić i obiecywać. W tém był błąd żeśmy kłamali. Między nami a Polską walka śmiertelna... bić i zabijać potrzeba....

— A cóż na gruzach i ruinach? spytał Jakób.

— Rosya ogromna, Rosya pół-świata, odparł Baworow, starosłowiańska, demokratyczno-socyalna z carem na czele! Rzeczpospolita, jeśli chcecie *democ-soc*, jak mówiono w 48, z prezydentem dziedzicznym obleczoneym w powagę dyktatorską, a dla tłuszczy w kapłański charakter... Ja jestem sam szlachcic, dodał, ale u nas właściwie szlachty nie było, nie ma, nie będzie — wszyscy równi w obec knuta!

Jakób już nie odpowiedział; a radzca Pikuliński wyjął chustkę i przysposabiał się do krwiotoku, który go lada chwilę już inogł napaść.

Sofronow był widocznie niekontent z toku rozmowy, trącił łokciem Baworowa, obrócili się do Muzy; Jakób przeszedł się parę razy po salonie i wysliznął cicho. Radzca mu pozazdrościł, ale został potrzebując jeszcze parę razy taknąć.

— Za pozwoleniem, spytał Baworow, kto to jest ten pan co wyszedł, czy istotnie żyd?

— Istotnie, odezwała się Muza, a wielu podobnych znajdziecie w Warszawie.

— I z takimi zasadami?

— O! różnie! to zresztą jest idealista, marzyciel, reformator, człowiek zupełnie wyjątkowy, któ-

ry za przykład służyć nie może, odparł Sofronow znający go lepiej.

— Najniebezpieczniejsze plemię, szepnął hrabia, naprzód musi być uparty jako człowiek zasad i przekonań, powtóre ma ponętny w sobie mistycyzm, obleka się spirytualizmem, wywiesza sztandar prawa i moralności!! Wszystko to działa na słabych których jest większość, na kobiety... na massy.... Szczęściem że nie katolik, bobym go jednej chwili posłał gdzieś daleko.... Ale żyd!... Niedokończył.

— Czy pan wiesz czém są Izraelici w Warszawie? odezwała się Muza śmiało, ile oni tu znaczą? czy pan nawet potrafisz ich wyróżnić wśród na pozór jednolitego społeczeństwa?

— Zawsze słyszałem że feudalni tutejsi zajadły spór z nimi wiedli.

— To w téj chwili zupełnie ustało.

— O! ustało? to źle, rzekł Baworow, to potrzeba koniecznie odnowić, głaszcząc Izraelitów, wyróżniając ich, stare *divide et impera* zawsze dobrze służy.

— Dziwny z ciebie polityk, przerwał Sofronow, wszystko mówisz głośno....

— Jak Taleyrand, tym tylko sposobem ludzi

oszukać jeszcze można, bo zawsze się zwykli domyślać czego innego.... Niechże się domyślają.

Trochę się uśmiechnięto, radzca powiedział: Tak! tak! i wyszedł.

— Słuchaj-no Sofronow, szepnął po cichu habia gdy pożegnawszy się wyszli razem w ulicę, powiedz tam komu potrzeba, aby mi tego żyda miało na oku. Mnie się on nie podoba... nadto jasno widzi wszystko.... Albo go trzeba użyć i ująć, zużytkować gdzieś, mianować czémś aby był z nami, albo no... rozumiesz... Do Penzy!

— E! cóż znowu, rzekł Sofronow, to istota niewinna. Z niego się tu wszyscy śmieją, wpływu nie ma żadnego, siedzi w talmudzie, choruje na proroka... nie ma się o co obawiać.

— No, ja takich ludzi nie lubię, odparł Baworow, bogaty??

— Bardzo, rzekł Sofronow.

— Tém gorzej.

— Ambitny?

— Wcale nie.

— Coraz gorzej.... Czémże go ująć? Może tchórz?

— Nie zdaje mi się.

— O! to do Penzy! do Penzy!

— Ale on wcale nie jest rewolucjonistą...

— Nic nie szkodzi, tém bardziej do Penzy... rewolucjonista prędzej później będzie nasz, my z nimi o ścianę... ale to liberał, moralista, najszkodliwsza bestya! legalista... prawo! prawo! — Dałbym ja mu prawo! To człowiek pewnych zasad, zawsze w nim gryząc, dogryzie się do twardej pestki, której nie skruszyć. Mnie dziś takich jak Pikuliński dawaj! to ludzie... kilku jak my u góry, w środku kupę takich jak on, a dołem szuja... Wszystko będzie dobrze! Hurra!

Jakób siedział nazajutrz znowu nad Bar Majmonem, do którego często zaglądał, gdy mu służący (nowy już, bo pierwszy choć ze łzami odprawił się z powodu matki) oznajmił gościa.

Przyniesiony bilet, wyciśnięte krzywo nazwisko na glansowanej karteczce widocznie w najtańszym jakimś zakładzie, z razu nic nie powiedziało; nie mógł sobie go Jakób przypomnieć.

— Dawid Seebach? Cóż to za Dawid? nie znam tu żadnego Dawida!...

Bądź co bądź, domyślając się współwyznawcy, Jakób wpuścić kazał.

Zmarszczyła mu się brew gdy w nadchodzącym postrzegł Dawida syna, poznanego w owém miasteczku przy szabasowym stole ojca. Ten półcywilizowany współziomek ukazał się w ubiorze przesadnie eleganckim widocznie gdzieś tanio dobranym, z laseczką w rękę i uśmiechem na ustach.

Od czasu zbliżenia się do Liji, i wiadomość

o niegodném z nią obejściu tego człowieka, krew się w Jakóbie na samo jego wspomnienie burzyła, nie miał wszakże prawa dać mu poznać że wiedział o téj haniebnój historyi, i nie miał powodu jawnego obejścia się z nim niegrzecznie.

Zmieszany, zimno, bardzo zimno, powitał go zdala nie podając mu ręki i wskazując tylko krzesło.

Dawid poznał łatwo że nie był miłym gościem, ale tém poufalej rozsiadł się w krześle, łaskę włożył w usta, poprawił w oku szkiełko i począł powoli:

— Zdziwicie się zapewne, spotykając mnie tutaj... zostało wam wrażenie nieprzyjemne z ostatnich odwiedzin u nas, dla tego żeśmy, nie rozmyśliwszy się naówczas, odmówili pomocy temu biednemu emigrantowi... ale...

— Wcale o to urazy nie mam, każdy postępuje wedle swych przekonań.

— No tak, jest *recht*, rzekł Dawid, ale ja po-
tém się długo rozmyślałem, patrzałem, starałem się ten *interes* poznać głębiej. Ja wam powiem szczerze że wy mieliście rację, a my nie mieliśmy racyi.

Wyrzekł to coraz głos podnosząc, tryumfująco, i spojrzał na Jakóba pewien skutku, ale Jakób słuchał zimny, ani go to zdziwiło, ani poruszyło.

— No tak, dodał gość, tak... wy mieliście rację, my powinniśmy iść z krajem, my musimy być Polakami. My już tak uradziliśmy z ojcem... on sobie zostanie po staremu z Moskalami, ma swoje stosunki, jest dobrze z generałami, z urzędnikami — a ja pójdę na polską stronę.

Jakób milczał.

— Jak się wam podoba! rzekł po chwili.

— No, toć i wy przecie z nimi trzymacie? spytał Dawid.

— Ja jestem Polak, ale nie trzymam z nimi, odezwał się Jakób.

— No, to i ja tak samo... Ja wam powiem po szczerości: Ja już się z nimi zwąchałem... bywam u nich na zjazdach, na jarmarkach, poznałem samych tych starszych co to wszystko prowadzą... ja im będę pomagać.

Widząc że Jakób jeszcze milczy, Dawid począł coraz goręcej:

— To jest interes... i dobry interes... ja już mój majątek wyniosłem cały za granicę, złapać mnie Moskale nie złapią, naostatek, gdyby i tak, na to ojciec żeby mnie ratował. Ale nie! nie! tego nie będzie... chowaj Boże... A tu jest gruby interes. Oni będą mieć pieniądze, muszą

sprowadzić z zagranicy broń... można na tém dużo zarobić.

Jakób oburzony porwał się z krzesła.

— To są rzeczy do których się ja nie mięszam, rzekł żywo — wybaczcie.

— Dla czego? wszak mówicie że jesteście Polakiem, a ganiliście że my nimi nie chcieliśmy być?

— Słuchaj, mój panie Dawidzie, ale ja nie byłem Polakiem dla zarobku, ani dla rachuby, ani ze strachu, ale z przekonania.

— A! a! zawołał śmiejąc się Dawid, ja jestem teraz także taki wielki patryota... z całej duszy! ja śpiewam: Boże coś Polskę! a wa! Otóż myślałem że wy mnie w tym interesie pomódcz zechcecie. Powiem całą prawdę, oni mnie jeszcze nie zupełnie wierzą, bo ja do nich świeżo przystałem. Myślałem sobie jak was wezmę do spółki, będzie dobrze... Ja od was nie chcę ani grosza kapitału, tylko imienia waszego, a zysk... ja wolę wam dać trzecią część zysku, jak takiemu Karfunkłowi... albo...

Zamilkł postrzegłszy dopiero że Jakób wrztał cały... i porywał za dzwonek.

Służący wpadł przestraszony.

— Widzisz tego pana! zawołał.

— A widzę, rzekł służący zdumiony.

— Jeżeli tu przyjdzie raz drugi, to go za drzwi wyrzucisz!

Dawid rozplómicniony, zapierzony ale przelękły nieco zerwał się z krzeselka. Nicby go była może ta scena nie obeszła, gdyby świadkiem jój nie był służący, który stał uśmiechając się z otwartymi usty, nie wiedząc jeszcze czy mu wypada zaraz spełnić rozkaz pański, czy się wstrzymać do drugiego razu.

— Słysz Waćpan! słysz! odwracając się od progu do Jakóba krzyknął zakrztusiwszy się ze złości Dawid, ja mam wasze życie w ręku! ja się pomstzczę! ja tego nie daruję!!

I wściekły wyleciał z pokoju.

Zimnym potem oblany Jakób upadł na krzeselko, czując się chorym i byłby tak pozostał nie wiem jak długo bezwładnym i znękanym, gdyby w tejże chwili nie nadbiegła służąca ze Śto. Jurskiej ulicy od Liji z nagłą prośbą, aby natychmiast do niej przychodził. Domyślając się że i tam z Dawidem spotkać się może, Jakób co prędzej porwał za kapełusz, zbiegł, chwycił pierwszą dorożkę jaką spotkał i nie zważając już na nic, choć dzień był biały, pojechał wprost do mieszkania nieszczęśliwej kobiety.

Już dojeżdżał do bramy, gdy wypadkiem oko jego padło na postać która go mimowolnie uderzyła. Była to kobieta zakwiecona stojąca naprzeciw pod wrotami, jakby na czatach, która postrzegłszy Jakóba gwałtownie się rzuciła, sparła o mur chwytając go, jakby obawiała upaść i wnet opamiętawszy, znikła uciekając żywo. Ale nie było czasu zastanawiać się nad tém zjawiskiem, które mogło być wypadkowe. Jakóba zastanowiły ruchy, wzrost, coś co mu przypominało Tildę. Ale myśl ta przeleciała tylko przez głowę i znikła razem z zagadkową postacią.

Liję w jój mieszkaniu zastał Jakób zapłakaną i strwożoną, wybiegła naprzeciw niemu łamiąc ręce.

— A! panie! on tu jest! on tu już był u mnie, on się tu wdarł, śmiał spojrzeć na dziecię moje. On tu znowu przyjść może... groził... ratujcie mnie! Ja go znać, ja go widzieć nie chcę! wołała Lija.

— Bądźcie spokojni, rzekł Jakób, ja tu jestem i nie ustąpię. Ale wiecież z czém przybył? Może dał rozwód żonie? Może się chce ożenić?

— Ale ja nie chcę go! odparła Lija, ja nie chcę! Nie ma rozwodu, nie może dać Get' swęj żonie, bo nawet nie wie gdzie się ona znajduje...

A ja uczyniłam Isar iż żoną tego przez którego
łzy rodziców moich się lały, nie będę nigdy, choć-
bym wiecznie nędną sierotą być miała.

Dumą i ogniem gniewu zarumieniły się jój po-
liczki, była cudownie piękną.

— Dziecko moje niech liczą do *Asufim*, do Pig-
gum, do Szetukim, zawołała, a niech nie będzie
dzieckiem tego nędnika!

Jakób starał się próżno ją uspokoić.

— Żle mówicie, rzekł, i wasz Isar nie jest
dobry, dla dziecka potrzeba ojca, dla waszych sta-
rych rodziców pociechy, dla was uniewinnienia.

Kobieta zamilkła, w téj chwili wrzawa w przed-
pokoju przerwała jój mowę, Jakób rozpoznał głos
Dawida.

Lija uchwyciwszy dziecię z kolebki schroniła
się do drugiey izby, Jakób pozostał sam. Drzwi
rozwarły się gwałtownie wyparte, wpadł Dawid
z gniewem na twarzy, ale zobaczywszy przed sobą
niespodzianie Jakóba, osłupiał. Wkrótce po zdu-
mieniu wróciła złość jeszcze większa i z pięściami
zaciśnionemi przyskoczył mu prawie do piersi. Po-
ważna a chłodna postawa Jakóba i gruby kij który
podniósł powoli, wstrzymały go, ręce opadły, za-
czął niezrozumiale bełkotać.

— Czego tu pan chcesz? po co przychodzisz?
zawołał Jakób.

— Jak to? co pan tu robisz?

— Ja tu jestem w imieniu ojca, z prawem opiekuna.

— Ja przychodzę do mojego dziecka.

— Ani matka ani dziecko nie należą do was, dałżeś im imię swoje? przyniosłżeś im co oprócz hańby, nędzy i przekleństwa?

— To tak nie może być, przerwał Dawid mieszając się, ja chciałem dać list rozwodowy mojej żonie, ja byłbym się ożenił, co to jest! Ja ją znajdę, ja się rozwiodę! ja się ożenię. Dla czego macie mnie tu bronić przystępu? Ja muszę się z nią rozmówić!

— Jeżeli ona się na to zgodzi i w mojej obecności, odpowiedział Jakób stanowczo — inaczéj, nie.

— Dla czego się ona nie ma na to zgodzić? odparł żywo Dawid, ja mogę dla niej wszystko zrobić, albo nic, ona jest w mojem ręku!

Domawiał tych wyrazów gdy drugie drzwi otwarły się z trzaskiem, weszła Lija, ale ze skromnej, przestraszonej, płaczącej przeobrażona bolem, oburzeniem, prawie straszna. Wielkie uczucie nadało jéj powagę, blask, siłę niewzycięzoną; Dawid

spojrzawszy zadrżał pomieszany, Jakób począł się lękać zbyt gwałtownego wybuchu, bo w początku słowa wymówić nie mogła, tak piersi jój ścisnęło wezbrane cierpienie.

— Między mną a wami, Dawidzie, odezwała się nareszcie powoli, nie ma już nic wspólnego. Oświadczam wam przy tym świadku, że żoną waszą być nie chcę, i ojcem tego nieszczęśliwego dziecka nazywać się wam nie pozwalam. A wszystkie łzy moje, jęki, nędze i noce bezsenne i przekleństwo rodziców i płacz ojca i matki i wstyd rodziny i gniew Boży zrzucam na was i barki wasze. Niech was ścigają szatany, niech cię porwie Dumah, niech cię dręczą...

Oczy jój stanęły słupem, usta się zapieniły, wyciągnęła rękę która skostniała, zachwiała się i padła nagle krwią uderzona, bezprzytomna — ze śmiechem konwulsyjnym i krzykiem.

Dawid chciał zrazu zimno i szydersko przenieść ten krzyk boleści, ale pobladł, nogi się pod nim zatrzęsły, chwycił się za głowę i uciekł.

Ratowano omdlałą, służąca pobiegła po lekarza. Szczęściem znajomy Jakóba doktor mieszkał niedaleko i znaleziono go w domu, bo to była jego obiadowa godzina. Okazało się jednak że to nie

było proste omdlenie, ale nerwowy atak apoplektyczny, który się zdawał bardzo groźnym. Użyto wszelkich możliwych środków, ale nie rychło, nad wieczór, płacz dziecięcia dopiero przytomność w niej obudził. Wstała wyciągając ręce ku niemu, nie pomnając co się z nią stało, ale natychmiast siły opuściły ją znowu.

Lekarz był strwożony, Jakób późno w noc mógł dopiero powrócić do domu.

Rano zastukano do drzwi Jakóba... przebudził go głos Iwasia w przedpokoju dopominający się wpuszczenia pomimo wczesnej godziny, walczący ze służącym, który się mocno opierał. Dzwonek spór rozstrzygnął, i Iwaś wszedł z czołem chmurném, nie zdejmując czapki z głowy. Ubier jego był niezwykajny, miał na sobie długie bóty, odzież ciężką jakby myśliwą, burkę na ramionach. Na twarzy jego malowało się energiczne rozgorączkowanie.

— Jakkolwiek stojemy dziś w całkiem przeciwnych obozach, rzekł wszedłszy, nie zapomniałem żem wam winien mój powrót do kraju, a może nawet i życie... ocaliliście mnie od wielu nędzy. Chciałem wam pewnie raz ostatni podziękować i pewnie raz ostatni was pożegnać.

— Jakto pożegnać? spytał Jakób.

— Dziś, zaraz, wychodzę do lasu... odparł Iwaś uśmiechając się dziwnie.

— Idziecie?

— *Alea jacta est*, mówił Iwaś siadając, no tak... idziemy ginąć. Nie wiemy czy powstanie nasze trwać będzie dwa dni czy dwa lata, idziemy z kijami przeciwko uzbrojonemu wojsku, idziemy... w las! Bo las naszym obozem, twierdzą, szpichlerzem, magazynem; idziemy gnami urągowskiem jednych, przekleństwami drugich, łzami kilku istot kochanych... idziemy z rozpaczą, bez nadziei... ale, idziemy!

— Dla czegoż idziecie?

— Dla tego że tych ludzi co nam zaufali biorą i kuja w sołdackie szynele, że ich potrzeba ocalić lub z nimi zginać razem.

Jakób słuchał z głębokim smutkiem, przybity, błady.

— Widzicie że nie łudzę się, rzekł mu Iwaś, nie kłamię drugim ni sobie — wiem dobrze iż stawię głowę moją, więcej stawię, może imię pocziwe pod pręgierz przyszłości, na urągowsko zimnych sądów które przypną doń nazwę zuchwalca, szaleńca, dziecka... ale idę bo mi honor iść każe z ludźmi, których utrzymać dłużej nie możemy. Jestem w progu grobu, mówię do ciebie uroczyście jak z łoża śmiertelnego, Jakóbie, nie

zdradzaj kraju... nie występuj przeciwko tym co idą bronić go od sromoty...

— Ja? spytał Jakób, któż mnie o zdradę pomsądzić może?

— Są tacy, rzekł Iwaś, są tacy! głos ich może przemódtw w radzie, a może być potrzebnym przykład jaki głośny, mnie tam nie będzie aby cię obronić... możesz paść ofiarą.

— Dla czegoż ja właśnie? Zmieniłem zdanie? obiecywałem kiedy więcej?

— Masz nieprzyjaciół, rzekł Iwaś.

— Ja? nie wiem.

— Mówię ci że ich masz i niebezpiecznych... Zarzucają ci potajemne stosunki z Moskalami w domu twój narzeczonój.

— Ale ja nie mam narzeczonój!

— Przecież tu, na pierwszém piętrze.

— Nigdy narzeczoną moją nie była i nie będzie.

— Wszystko to jedno, ale bywasz w tym domu, bywasz u Henryka Seegla który jest źle notowany, głośno odzywasz się przeciwko nam... powstaniu... Rachują ci i to żeś odmówił podatku...

Jakób milcząc boleśnie się uśmiechał.

— Dziwna dola, rzekł, nieprzyjaciół tylko mam do koła! gdy ja w duszy nie jestem niczym. Wszy-

scy mnie odpychają... a ty, nawet ty, Iwaś, mnie nie rozumiesz!

— Zdaje mi się że cię rozumiem, spokojnie odparł młody chłopak, ale na co ci się to przyda? Ja cię szacuję, wysoko cenię twój charakter, broniłem cię i bronię... Ogół w tobie co innego widzi.

— Nie mówmyż o mnie, przerwał Jakób, niech będzie co chce... Nie możecież powstania tego powstrzymać?

— Nie możemy, stanowczo odparł Iwaś, ja ci także powiem jedno — nie mówmy o tém.

To rzekłszy wyciągnął doń rękę dla pożegnania gdy wpadł zdyszany Kruder, i naprzód postrzegłszy siedzącego Iwasia, pochwycił go za ramię.

— A! dobrze że cię złapałem nareszcie — słowo, zawołał, widzę już po stroju co się święci... Na Boga, na miłego Boga... to zawczasie! wstrzymajcie się, zaklinam... błagam... nie czyńcie stanowczego kroku nierozmyślnie.

Iwaś uśmiechał się pogardliwie.

— Tak! zapewne byście chcieli żebyśmy się wstrzymali póki Moskale wszystkich nie wybiorą?

— A tam wszyscy poginiecie....

— Poginiemy! ale to różnica! krew bywa płodną... wiemy co robimy....

— Usłuchajcież głosu rozumu....

— A wy przysłuchajcie się głosem rozpaczy... Widzieliście wy sceny nocnej branki? męczarnie tych których z łona rodzin chwymano? wiecie wy co to być żołdatem?

— Wiem, bo nim byłem, zawołał przybyły, tu o kraj nie o was idzie.... Wasz heroizm jest w istocie bohaterskim egoizmem... nic więcej. Na Boga, kochajcie lepiej ojczyznę, a mniej te wasze honory.... Rozumu!

— Skończyliśmy z rozumem, odpowiedział Iwaś, basta! rozum jest proskrybowany, rozumem naszym szął. To hasło! bywajcie zdrowi!

Gość załamał ręce.

Przybyły ręce załamał.

W chwili gdy za odchodzącym Iwasiem ścisnąwszy tylko dłoń Jakóba wyrывał się, próbować jeszcze czyby go odciągnąć nie mógł — na progu rozminęli się z Mannem, który wszedł ze zwykłą swą butą i hałasem. Dwie te postacie, szczególnie burka i ubiór Iwasia, który od dni kilku miał pewne znaczenie w Warszawie, uderzyły mocno nowego gościa; nosem pokręcił, czoło namarszczył

i padłszy na fotel po lekkim skinieniu głową długo pozostał milczący.

Jakób którego te troiste odwiedziny jeszcze w łóżku zastały, szybko się odział, smutny i przybity.

— Mam ci coś powiedzieć, począł nareszcie Mann, jestem przyjacielem twojego opiekuna, byłem i jestem tobie życzliwym, uniem cię cenić, choć ty mnie pono nie lubisz... przychodzą cię przestrzedz abyś się upamiętał. Zapowiadam ci że kłamać przedemną i zapierać się byłoby próżno.

— Ale, kochany panie, rzekł oburzony Jakób, ja ani przed panem ani przed nikim na świecie nie kłamię.... Nie wszystkim widzę potrzebę się zwierzać, ale nigdy nie powiem czego nie myślę.

— To bardzo pięknie, bardzo pięknie, a rzecz znacznie uprości, odpowiedział Mann dobywając cygaro, które starannie, szkiełko włożywszy w oko, rozpatrywać zaczął — bardzo dobrze. Mówię zatem otwarcie. Pan jesteś figurą dosyć wydatną, masz majątek, nie brak ci wykształcenia, przedstawiasz więc mimowolnie pewną wybitniejszą klasę Izraelitów... i zwracasz na siebie oczy.

W takim położeniu, w okolicznościach takich jak dzisiejsze, mówił dalej Mann, nie jesteś całkiem panem swoich czynności, każdy krok twój

każe się domyślać, że działasz w sensie tych ludzi, których reprezentujesz....

— Ja? spytał Jakób.

— No, mimowolnie, mówił Mann. Otoż powiem ci że skompromitujesz siebie i nas swoim postępowaniem....

Jakób ręce skrzyżowawszy na piersi, nieco sztydersko uśmiechnięty, cierpliwy choć mu się to wszystko w głowie pomieścić nie mogło i wydawało się chwilami jakby był na jakiejś złej komedyi, słuchał.

— Rząd na takich jak ty ludzi najbaczniejsze zwraca oko, z nich wnosi o nas wszystkich. Co znaczyła twa rozmowa niedawna u Wtorkowskiej z hr. Baworowem i pułkownikiem Sofronow, przy radzcy Pikulińskim, który ją rozniósł po mieście? co znaczą twe konszachty z takimi waryatami czerwonymi jak ci dwaj co ztąd wyszli dopiero? Ty się widocznie garniesz do rewolucyi, a to jest szaleństwo. Mniejsza zresztą o ciebie, jeśli ci się mar nie ginąć podoba, ale powtarzam, nas kompromitujesz... jesteś na widoku.... To tak być nie może.

— I cóż więc? spytał poczynając się już niecierpliwić Jakób.

— Ale zdaje mi się że to com powiedział do-

stateczném jest. Cóż chcesz więcej? wytłumacz się;
rozmowa z Baworowem....

— Czyście jój słuchali?

— No, nie, ale radzca powiada, że głosiłeś
zasady okropne.

— Znacie Pikulińskiego?

— No, znam, z pozwoleniem, osieł, rzekł Mann
ze zwykłym sobie grubijaństwem.

— A wierzycie w jego powieści?

— Mógłbym to wziąć na karb jego tchórz-
stwa, ależ Baworow ma cię także za człowieka
niebezpiecznego.... Zresztą na co tu innych dowo-
dów, nad te długie bóty, które minąłem w progu!

— Wiecież z czém ten w długich butach tu
przychodził?

— A! spiskować?

— Nie zgadliście, przynosił mi przestrogę abym
był ostrożny, bo reakcyjność moją życiem przyplą-
cić mogę. Pogodźcież proszę to co on mi mówił
z tém co wy mi przynosicie, będę wam bardzo
wdzięczen....

Mann podniósł głowę.

— Istotnie? zapytał.

— Słowem uczciwém wam ręcę....

— To tylko dowód, panie Jakóbie, że nie ma-

cie taktu, nie potrafiliście sobie zjednać żadnej strony, a obie umieliście narazić.

— Kochany panie, jest to umiejętność właściwa ludziom sumiernym, rzekł Jakób niespokojnie, potwarzami obrzucają ich wszyscy, zrozumieć nikt nie chce — dla czego? dla tego że stronom obu mówią prawdę gorzką, całą, nie oglądając się ani na ich fawory, ani na ich groźby.

Bądźcie pewni że jakkolwiek życzliwe wasze przestrogi oceniać umiem, nie zmienią one ani na włos postępowania mojego... będę tém czém mnie sumienie moje czyni, czém mi charakter mój być nakazuje. Gdybym ulegając wam czy im, stał się innym, byłbym kłamcą....

I skończył po hebrejsku:

„Szczęśliwy kto umiera jak się urodził, czystym i niewinnym.“ (Baba Mezzia. 107. a.)

Mann spojrzał na niego z dziwnym twarzy wyrazem, pół szyderskim, pół zdziwionym i jak zawsze dumnym; milczące to spojrzenie wypowiedało niemal: „Bądź spokojnym, umrzesz tak głupim, jakim jesteś.“

— No, więc rzecz skończona, dodał wzdychając, z wami po ludzku mówić, porozumieć się, opamiętać was nie można...

Ruszył ramionami.

— Ja wam mówię o życiu żywém, wy mi przywodzicie talmud. Więc gwałtem chcecie iść do cytadeli? To za sobą prowadzi podejrzenia na nas wszystkich którzy z tobą żyjemy i przyjaźnim się.

— Cóż ja na to poradzić mogę?

— Sam powtarzasz że rewolucjonistą nie jesteś?

— O! możecie mi wierzyć. . . .

— Jawnie więc to wypowiadaj, stój po stronie tych którzy walczą na drodze legalnej z rewolucją.

— Ale ci, co jak mówicie, walczą na drogach legalnych, są ludźmi wierzącymi razem w skuteczność szubienic, w niezawodność terroryzmu, przyjmują despotyzm jako prawowity i nieuchronny...

— Z dwojga złego, przerwał Mann.

— Bardzoście dobrze powiedzieli, oboje złem jest, zawołał Jakób, albo raczej oboje to jedném jest; despotyzm z góry, despotyzm z dołu, rewolucya carska lub rewolucya czerwona, zawsze to rewolucya... Ludzie z którymi ja dzielę przekonania stoją w pośrodku, ale jak zawsze, tych ludzi jest bardzo mało.

— I ci padają ofiarą zwykle, albo rewolucyi z góry, albo z dołu, dodał Mann.

— To prawda, odparł Jakób, ale miałożby to

być powodem ażebym ja, ze strachu upadku, zmienił zdanie? Wydrzyjże mi z piersi serce, z głowy przekonanie, lub uczynź mnie kłamcą.

— Kłamcą nie, ale politykiem lepszym rad-bym cię uczynić — bo szczerze nam ciebie żal — Wiesz co? nie potrafisz się tu ostać, wyjeżdżaj za granicę. . . .

Jakób popatrzał nań zdziwiony.

— Chcielibyście ażebym z dobrej woli, gdy drudzy giną, gdy kraj jest w najtrudniejszych okolicznościach, gdy za prawdę walczyć potrzeba na swoich śmieciach, uszedł z placu ochraniając drogą moją głowę?

— Ale słowo ci daję, odparł Mann śmiejąc się, że mi znowu tak bardzo o twą głowę nie idzie, jeśli ją masz do zbycia, mnie chodzi o nas. Jesteś żyd, jesteś bogaty i wykształcony, co ciebie spotka to się o nas obija. . . .

— Stojemy więc na dilemacie nierozwiązanym, odparł Jakób, nie mogę nie być sobą, a potrzeba bym sobą nie był... Wiecie co? *pour cause d'utilité publique*, każcie mi w łeb strzelić... to wszystko rozwiąże. . . .

— Niestety i to niemożliwe, zawołał Mann śmiejąc się, powiedzianoby że popełniono skrytobój-

stwo na was, ale na miłość Bożą, mówmy rozumnie,
tyś nie dziecko, milcz, zamknij się....

— Powiecie że spiskuję....

— Ogranicz się towarzystwem Moskali....

— Narażę się im prawdą....

— No, to nie gadaj!

— Nie potrafię....

Gość wstał z krzesła zniecierpliwiony.

— Niechże cię... porwą!

Pochwycił za laskę, kapelusz włożył na głowę i wyszedł trzasnąwszy drzwiami.

Dzień ten był dla Jakóba ze wszech miar ciężkim... przysłano po niego ze Śto. Jurskiej ulicy oznajmując o bardzo niebezpiecznym stanie chorój; pospieszył, ale po to tylko aby zastać płaczące dziecko, sierotę... Lija nie żyła.

Nieszczęśliwa istota zostawała na jego opiece, nie było jój powierzyć komu, niepodobna opuścić, naturalnie Jakób się zwrócił z prośbą do matki.

Za pierwszym słowem które wyrzekł, zarumieniła się skłopotana staruszka, przykro jój było pomsądzać syna, a mimowolnie nastęczało się podejrzenie.

Oszczędzając jój téj chwili niepewności i obawy, Jakób poprzysiągł najuroczyściej że dziecko było mu obcém zupełnie. Stara uwierzyła ale mimo to okazywała jakiś wstręt i obawę.

— Ja ci wierzę, odczuwała się, ale czy mnie uwierzą drudzy gdy to dziecko zobaczą? czy nie

zechcą ciebie posądzać? czy nie da to powodu do nowych potwarzy i plotek?

— Matko kochana, odpowiedział Jakób, mamże dla tego istotę niewinną pozbawić opieki? zdać ją na ręce najemne? mamże nie spełnić ludzkiego obowiązku z obawy ludzkich języków?

Stara spojrzała nań i zamilkła.

— Nie, mój Jakóbie, ofiara byłaby zbyt wielka, dziecko to matki nie znajdzie nigdzie, a opiekę troskliwą znaleźć może. Zostaw to mnie. Dobrego uczynku spełnić ci nie przeszkodzę, ale krzywdy tobie uczynić nie dam.

Późnym wieczorem, strudzony, znękany nieustannymi odwiedzinami, i bólem a smutkiem jaki niespodziana śmierć biednej Liji ściągnęła, machinalnie prawie powlókł się do Henrykowstwa.

Szarzało gdy tam przyszedł ciesząc się zawczasu myślą że chwilę w téj atmosferze cichego smutku odetchnie, po wrzawie i gorączce rannych godzin. Służący przywykli wpuszczając go zawsze otworzyli mu salon w którym jeszcze światła nie było. Umajony kwiatami, pusty, chłodny, niezamieszkały, wspinały ten przybytek urzędowej gościnności, wyglądał tęskno, czarno, jakby całunem okryty. Zdawało się że nawet wonne kwiaty które w wielkich gru-

pach przystrajały kąty jego więźły w téj zimnój zadusze. Powietrze przesiąkłe było ich zapachem przedśmiertnym, zmieszanym z wonią téj pustki.

Fortepian Tildy stał zamknięty, jój samój, chociaż go oznajmiono, długo doczekać się nie mógł.

Służący wszedł wprzód ze światłem które rozlewając się po ciemnych sprzętach, czepiając złocen, zwierciadeł i luster, nieco ożywiło martwy salon; ale czarniejsze zakątki zdawały się kryć w sobie jakieś tajemnice grobowe. Cały ten dom w istocie miał w sobie, mimo przepychu, coś przerażająco smutnego; nigdy nie rozległ się po nim wesoły głos dziecięcy, codzień obijały się o ściany śmiechy szyderskie, lub westchnienia męczarni skrytj. Do niczego tu nie przylgnęło, nie wypiętnowało się życie, usuwało się po niem jak po głazach; wszystko stało jak niegdyś ustawił tapicer, jak codzień ustawiali słudzy, znać było że nikt nie pokochał tego kąta, nikt w nim nie był szczęśliwym — ludzie tu tylko — przebywali.

Jak cień biały, w sukni długiej tyftykowej przepasanj sznurem, wysunęła się po cichu Tilda; ale od czasu gdy ją widział raz ostatni, zmieniona straszliwie. Oczy jój nabrały blasku chorobliwego, twarz wychudła jeszcze, odrętwiałość dawna zmie-

niła się prawie w osłupienie i podała mu nieśmiało rękę zimną, drżącą, wyschłą — na powitanie głosu jej zabrakło. Jakób przywykły do żywszego przyjęcia, zmięszął się czując od razu że i tu ścigać go musiało to co wszędzie — potwarz jakaś. Ale są chwile w życiu w których liczba spadających na raz jedno po drugich ciosów czynią już twardszym człowieka na to co go spotyka.

— Może przyszedłem nie w porę, rzekł Jakób witając ją, odejdę.

— Ale nic, odpowiedziała Tilda zmięszana nieco, owszem, nigdy pan bardziej w porę przyjść nie mogłeś, chciałam bardzo widzieć się i pomóc z wami.

— Ale tyś chora?

— Nie — a! nie! jestem zupełnie zdrowa! odpowiedziała zimno.

— Tyle mnie dziś spotkało różnych przykrych, śmiesznych, bolesnych, krwawych ciosów, że serce moje samo się upomniało, abym tu przyszedł po pociechę.

— Serce? a! to chyba ze starego nałogu!

— Jak to? miałażbyś i ty już mi nie wierzyć? spytał Jakób.

Tilda długo, badająco spojrzała na niego.

— Słuchaj, odezwała się, dosyć téj męki, dość tego co mi duszę rozdziera, nie mogę znieść wątpliwości, wolę prawdę choć gorzką. Widziałam w tobie człowieka prawdy — dla czego stałeś się mężem fałszu jak oni wszyscy?

— Ty! zwątpiałażbyś o mnie! krzyknął Jakób łamiąc ręce, tego mi jeszcze brakło!

— Zwątpiłam? nie — przekonałam się żeś kłamał! Zdradziłeś mnie która od ciebie nic nie żądałam tylko prawdy. Mógłś mi przecie powiedzieć szczerze jak siostrze: nie kocham ciebie, kocham inną, do tego trupa przykutym zostać nie mogę; potrzebuję życia. Byłabym ci powiedziała choć ze smutkiem w duszy: Idź — bądź szczęśliwy. I nie miałabym żalu do ciebie, ale żal po tobie.

— Ale cożem ja uczynił? kiedy skłamałem? zawołał Jakób.

— Jak to? ty śmiesz...

— Tildo, rzekł Jakób surowo i poważnie, sądz o mnie jak ci się podoba, ale nie odbieraj mi czci mojej; jestem człowiekiem słabym, ułomnym, lecz nie byłem nigdy dobrowolnie podłym, nigdy.

— Więc coż znaczą, co znaczą, ta kobieta... te tajemnice...?

Jakób stanął, załamał ręce i boleśnie westchnąwszy, opuścił głowę na piersi.

— Usiądź, rzekł, powiem ci wszystko.

I począł spokojnie opowiadanie, które dokończył sceną wczorajszą i dzisiejszą śmiercią Liji. Biednej kobiecie słuchającej go chciwie, ze drzeniem, łzy z oczów płynęły, ale dumną się czuła cnotą swojego ulubionego, która znowu jaśniała przed nią w całym dawnym blasku. Ta chwila szczęśliwa wracała jęj wiarę, życie, miłość — ostatni skarb na który porwała się potwarz. Gdy skończył byłaby mu się rzuciła do nóg, aby przebłagać za podejrzenie, obawa świadków ją wstrzymała.

— A! przebacz mi, wołała poruszona, ta baśń, ty to sam widzisz, tyle miała pozorów prawdy, tak uparcie wbijano mi ją w piersi, a jam tak do nieszczęścia przywykła, żem sądziła iż i to mnie jeszcze spotkać powinno.

— Dziwię się jednej tylko rzeczy, rzekł Jakób, że pierwszego dnia, pierwszej godziny gdy ci to powiedziano nie przysłaś mnie spytać, jakeś to była winna dla mnie uczynić... powiedz, nie mam słuszności?

— Przypląciłam téż to nieopisaną męczarnią, odpowiedziała Tilda, dni te liczę do najcięższych

w mojem życiu, skosztowałam nicości i śmierci. Ta wieść zabijała wszystko nawet przeszłość i wspomnienia... odbierała mi całego ciebie.

— Mnie jednak nawet na myśl przyjść nie mogło, bym spełniając dobry uczynek miał jeszcze zyskać tę zasługę męczeństwa zań.

— A! gdybym ja tę sierotę biedną wziąć mogła, którą ty wziąć chciałeś, odezwała się Tilda, a! jakbym była szczęśliwa... ale ja jestem panią a niewolnicą w tym domu, stroją mnie jak oblekają sprzęty ażeby świadczyły o pana dostatkach, szanują mnie bo się nazywam jego żoną, mam wszystko co zbytek mieć każe i duma jego wymaga, ale jestem... niewolnicą! Ścielą mi kwiaty pod nogi, aby je świat widział; nieraz pozazdrościłam ubóstwu pracy, nawet nędzy, wśród téj duszącej atmosfery woni i przepychu.

Od niejakiego czasu nawet prawie nie widzę ludzi, Henryk się zamyka ze swém towarzystwem moskiewskiem lub razem z niem spędza dnie całe u Wtorkowskich; do mnie nie przyjdzie nikt, chyba lekarz gdym mocniej chora, roczny urzędnik mego zdrowia, lub ubogi któremu nie mam co dać, bo nic nie mam, wszystko to pożyczane.

Westchnęła.

— Ale dziś, dodała podając mu rękę, dziś dla mnie dzień wesela, dzień odrodzenia, znowum spokojna... jest jeden człowiek na świecie który mi ludzi kochać i szanować każe, a wierzyć w dobro i cnotę.

Mówili tak z sobą długo. Słudzy w godzinie zwyczajnej podali herbatę, przyszła do niej zakatarzona zawsze Angielka tylko, pana Henryka nie było; mogli po cichu gwarzyć i o świecie zapomnieć. Tilda otworzyła zapylony fortepian i Chopinowskim polonezem (A-dur) skończyła się ta uroczystość serdeczna, pamiętny dzień zgody i pokoju.

Odchodząc późno, spejrzał Jakób na okna tego domu więziennego i z duszy, nie wiedzieć dla czego, wybiegło mu pożegnanie, jakby ich więcej widzieć nie miał.

Wiosna wcześniejsza tego roku niż zwykle przyszła zwodniczo dopomódz nadziejom, jak ona, rozkwitającym zbyt spiesźnie.

Warszawa przedstawiała dziwny widok miasta z którego wszystkimi szparami wylewała się ludność — w świat, w lasy, na bój, na śmierć. Moskale zdawali się na to patrzeć obojętnie, nie widzieć i nie chcieć przeszkadzać.

W Brülowskim pałacu powtarzano aforystycznie z krwią zimną:

— Wrzód nabrał — pęknąć musi...

Nie liczono tam krwi która z niego wypłynąć miała, ani boleści, nie chciano widzieć że wrzód powstał z choroby zaszczepionej oszalałym uciskiem.

W murach miasta życie na pozór wlokło się porządkiem zwyczajnym; wtajemniczeni tylko mogli na ulicach rozpoznać na śmierć przeznaczone ofiary. Cisza kłamliwa kryła rozgorączkowanie niezmierne; dowiadywano się pocichu o małych kupkach którym

udało się, mimo wojsk, zgromadzić, pobić gdzie i gnać Moskali, wpaść do miasteczka, zabrać gdzieś urząd, wywiesić na chwilę chorągiew.

Wchodząc do kościołów postrzegałeś tłumy dysponujące się na śmierć u ołtarzów — wszyscy je mogli policzyć — oplakać, nikt powstrzymać.

Z Moskali jeden Gromow rzucał się jeszcze by zapobiedz rewolucyi, ale napróżno modlił, zaklinał, biegał — jak wyrwane z tamą wody, płynęły niepochwyczone prądy... Świtała wychodzącym nadzieja wolności — lub śmierć.

Przerażenie panowało wśród ludzi co zimném okiem widzieli przyszłość — widmo zemsty — stare dzieje od 1794. roku powtarzające się, ze wszelkimi następstwami moskiewskiej zjadłości i barbarzyństwa... świtały znowu w dali. Gdy jedni uchodzili w lasy, drugich chwytała policya, nachodzono mieszkania, trzęsiono poddasza, skopywano lochy, czasem trafiano na ludzi ślady; czasem gdy było potrzeba, podrzucano coś i narzucano winę. Cytadela pełna, co kilka dni gnała zbywające ofiary na Sybir, kajdan trudno było nastarczyć. Jak cienie przesuwali się po ulicach ludzie co ani wyjść nie mieli siły, ani wychodzących powstrzymać.

A wśród téj zapowiedzi burzy, gaje puszczały

liście zielone, łąki okrywały się kwiatami, skowronki nuciły pieśni nad ziemią, którą krucy opanować mieli. Ostatnie godziny nadziei były jedna po drugiej... Moskwa wrzała gotując się na rzezie, na swe gody krwawe, na to zwycięstwo potężne w którym kilkakroć stotysięczne wojsko miało walczyć rok by przemóć drobne kupki ludzi bez broni, bez obozów, bez prochu i bez pieńędzy.

Nie wiem czy dzisiejszej pomsty zajadłej nie należałoby tłumaczyć tém upokorzeniem Rosyi — gdyby jój powolność nie była widocznie obrachowaną i umyślną. Ona także chciała aby ten wrzód pękł, ale życzyła sobie żeby nabrał jak najmocniej, by mogła potem razem z nim wyrzynać żywe mięso z tego ciała i pastwić się na męczenniku.

Ta pomsta od r. 1863. trwająca do dziś dnia, wzrasta, wzmaga się, rośnie, podsyca pozorami różnemi; z namiętnój w początkach staje się programmem i systemem; głosi się stałą, chlubi ze swój wytrwałości; świat asystuje eksekucyi krwawej obojętnością motłochu przypatrującego się gilotynie...

Ale w tych chwilach rozkwitłych wiosny poranków, niczyja myśl nie zstępowała jeszcze do głę-

bin, które już czarnemi przepaściami stały w oczach ruskich reformatorów i mężów stanu, dyssał nadziejami świat i kraj; chwilami wionęło chłodne, zwątpienie, to znów buchało płomień które miało odrodzić. Ale już w samych symptomatach współczucia zachodu znać było zużycie jakiej uległa Europa w ostatnich latach gnuśnego pokoju — żaden z tych narodów, niegdyś współników naszego nieszczęścia i ucisku, nie drgnął, nie poruszył się, sypano słowa tylko.

I dobrze było że choć słowa te jeszcze zmuszał wyrzec srom jakiś, bo wkrótce i im i wszelkiemu uczuciu szlachetniejszemu kłam miała zadać Europa... podnosząc w górę sztandar siły i klęając przed nim.

Znękany myślami i zwątpieniem które nań sprowadzało widzenie straszne przyszłości, Jakób długo w noc przesiedział w tym stanie dziwnej jakiejś apatii, który jest od najsroższej boleśniej-szym bólesci.

Wszystkie cele życia wymykały się przed nim, o szczęściu nie marzył, współwyznawcy odwracali się od niego ze wstrętem, dla kraju zrobić nic nie mógł... Wszystkie drogi którymi chciał iść, przedstawiały mu się zdeptane, powybijane, splu-

gawione i do niczego nie wiodące... Żyć tak jak drudzy żyją, *pedząc* życie, wedle zwykłego wyrażenia, aby się go pozbyć — bez przyszłości, bez nadziei, bez pracy, nie umiał. — Roboty do których mógł się być rzucić, już były przez innych dokonane.

W tém usposobieniu umysłu, moralnej śmierci, człowiek lub zamiera w istocie, albo w szale jakimś szuka nowego dla siebie pokarmu. Jakób czuł jak chłód zwątpienia do koła go ogarniał. Książka wypadła mu z rąk zdrętwiałych; bezmyślnie wpatrzył się w lampę i powoli tak sen ogarnął siedzącego na kanapie.

Gdy się przebudził lampa była zagasła, szary przedświt wdzierał się do pokoju przez niezastłonięte okna, mglisty poranek miękkimi zasłony bez barwy obwijał wszystko... na świecie było tak smutno jak w jego duszy.

Ucho wśród ciszy porannej pochwyciło stukanie do drzwi, potem chód ostrożny po wschodach i lekkie poruszenie dzwonka... Jakób sam poszedł otworzyć. Wcisnął się mężczyzna obwinięty płaszczem, w czapce nasuniętej na oczy, i cofnął się nieco zdziwiony poznawszy w otwierającym mu, samego gospodarza.

— Cóż to jest? czy wiesz już? spytał głos wychodzący z ust przybyłego, w którym poznał Kru-dera.

— Ja? o 'czemże mam wiedzieć?

— Dla czegoż o téj godzinie znajduję cię u-branym?

— Przypadek, znużony spędziłem noc nie roz-bierając się na kanapie.

— Tém lepiej więc, rzekł wchodząc gość ta-jemniczy, nie mamy czasu do stracenia, dochodzi godzina czwarta... najwięcej jeśli ci półtoréj lub dwie zostało....

— Nie rozumiem cię, odezwał się Jakób, Kru-der padł na krzesło ocierając pot z czoła.

— W dwóch słowach opowiem rzecz całą. Spo-dziewam się że mówię do mężczyzny i słów nie po-trzebuję ważyć, ani cię przygotowywać abyś się nie nastraszył.

— Niczego się nie boję, rzekł Jakób.

— Za dwie najdaléj godziny będziesz wzięty...

— Ja — za cóż?

— Ty, nie pytaj za co, dosyć jest dziś być podejrzanym o możliwość myślenia, aby być po-chwyconym. Ty dziś, ja jutro może... Na co się masz męczyć więzieniem lub wygnaniem.

Przynoszę ci pasport który wczoraj uzyskano dla ciebie bez twój wiedzy, bo policya pasportowa, jak się zdaje, z policyą cytaelową nie jest szczęściem, w zbyt ścisłych stosunkach... możesz i trzeba abyś natychmiast wyjechał.

— Ja? po co? dokąd?

— Dokąd ci się podoba, byle z Warszawy i z oczów...

— Ale nieprościej że będzie zostać i wytłumaczyć się?

Przybyły rozśmiał się.

— Możesz być niewinnym jak nowo narodzone dziecko — cóż ci to pomoże? Ponieważ mogłeś być obwinionym, wywozą cię do Rosyi, to jest jeszcze co cię najszcześliwszego spotkać może...

Jakób zamyślił się.

— A! niech wywożą! rzekł.

— Popytaj mnie, odparł Kruder, ja znam Rosyą, żołdacy i wygnania. To są najokropniejsze męczarnie — po cóż je masz znosić? bez potrzeby, na co się to zdało?

Jakób dumiał.

— Ale kraj opuścić w tej chwili, rzekł, byłoby niegodnóm; niedawno Mann, wyrzucając mi rewolucyjność moją, mówił mi, że jako żyd je-

stem widoczny, że każdy mój czyn spada w części na całą społeczność; w istocie miał może nieco słuszności, więc i ucieczka moja spadnie téż na Izraelitów. Dosyć nam już wyrzucano tchórzliwość, ostrożność, rachubę, egoizm; moje postępowanie usprawiedliwiałoby zarzuty podobne.

— Pozwól, rzekł Kruder, minuty wpływają, chwili do stracenia nie ma, potrzeba nie rozprawiać ale się decydować prędko i stanowczo. Możesz być użytecznym krajowi bądź co bądź, potrzeba byś na lepsze czasy ocalał. Więzienie złamie cię, znęka i sparaliżuje... Powstanie się wzmagają, jaki być może jego koniec nikt nie przewidzi, zdaje się że dyplomacya europejska wzięła je w swoją opiekę; rzadko ję się co udaje, ale ktoż wie? powtarzam ci, możesz nam być potrzebnym — zachowaj się dla kraju; masz intelligencyą, stosunki, majątek...

Jakób się smutnie uśmiechał.

— Intelligencyą sfałszowaną mistycyzmem jak mówią, przerwał gościowi, majątek... rzeczywiście mam; stosunki sprowadzają się do tego ostatecznie że z nikim nie jestem dobrze — a mnie nikt nie ufa... Na cóż się ja przydać mogę?

— Pessimista jesteś! no — decyduj się!

— Jużem się zdecydował, odparł Jakób, nie potrzebuję się namyślać długo, w téj chwili pożegniam matkę, polecę jój dom, biorę pieniądze i uchodzę ztąd aby mieć czas rozważyć chłodniej co pocznę. Nie będę tu czekał na żandarmów, bo oddać się im zawsze pora... pójdę z tobą... Ale znajdeż gdzie choć na kilka godzin przytułek bezpieczny?

— Znajdziemy, pójdziem razem...

Nie tracąc chwili Jakób zmienił ubranie, wziął pugilares, pobiegł do matki, która obyczajem wiejskim już była wstała; a w kwadrans powrócił do gościa, który zaczynał się niecierpliwić i razem z nim pocichu wyszli spiesźnie, nie wiedząc z razu dokąd idą, byle co prędzej wyjść i uniknąć nadciągnąć mającej policyi i żandarmów. Rzucili się zaraz w boczne przejścia, potem w zupełnie inną część miasta, po chwili znaleźli się w alejach.

Jakób myślał szukać z razu schronienia u Henryka, potem u Bartolda lub ojca Tildy, ale go wstrzymała uwaga, że ich tém niepokoju nabawić może i niepotrzebnie ściągnąć podejrzania.

— Pójdziesz ze mną do Kafarnaum? spytał w końcu uśmiechając się towarzyszy.

— Cóż to jest Kafarnaum?

— Jest to przezemnie tak nazwane mieszkanie, w którym zbierają się na rady... czerwoni!

— Jesteś więc z nimi?

— Ale nie! ja! zawołał Kruder, ja jestem wszędzie i nie jestem nigdzie... wchodzę, słucham, radzę, klóczę się, ale czekam. Do Kafarnaum mnie wpuszczają, chcesz? zaprowadzę.

— Nie, odpowiedział Jakób, jest to dla mnie jak być może najgorsze schronienie.

— Bądź spokojny! miejsce wcale rządowi nie podejrzane, rewizya nie przyjdzie, nikt się go nie domysli. W tym samym domu mieszka komisarz cyrkułowy.

Jakób się wahał.

— Ale bo w istocie jużbym nie wiedział gdzie cię podziąć, jeśli nie chcesz, co najlepiej, wziąć dorożkę, wyjechać za rogatki a od stacyi konie pocztowe lub kolej — i w świat.

— Jeszcze nie mogę, chodźmy więc do Kafarnaum.

Kruder zwrócił się w uliczkę małą, dzień już był biały, ale miasto jeszcze puste, mleczarki tylko i przekupki przesuwaly się tu i owdzie. Staneli wprędce przed domem na którego progu zwiżało się mnóstwo policyantów, zandarmów i miej-

skiej służby. Wschodami od dziedzińca weszli na pierwsze, drugie i dostali się naostatek na trzecie piętro. Dom był nowy i porządny, mieszkanie więc choć wysokie, miało bardzo przyzwoitą powierzchność. Zadzwonili, po chwili zaspana dziewczyna otworzyła i nie pytając kto i po co, ukazała im drzwi drugie. — Cicho i pusto było w przedpokoju, ale otwórzszy drzwi do obszernego saloniku, znaleźli cały w obłokach dymu i nieładzie zwiastującym że tu noc spędzano bezsennie. Na wielkim stole lampa i lichtarze niesprzątnięte jeszcze po sofach i kanapach kilku młodych ludzi znużonych, drzemających, nad stołem narada cicha i dwie osoby zajęte pisaniem. Pokój był bardzo obszerny ale dziwnie okopcony i zaniedbany. Niedawną jego świeżość, gorączkowe życie wprędce starło i zniszczyło.

Gdy wchodzili, piszący i naradzający się zaledwie podnieśli ku nim głowy; Kruder zbliżywszy się do jednego coś mu szepnął na ucho. Jakób poznał w nim często spotykanego młodego człowieka, który go uściskiem ręki przywitał.

— Bądź pan spokojny, tu pewnie nikt pana szukać nie będzie, a nam nie przeszkodziś wcale. Z uczciwymi ludźmi, dodał, nie robimy tajemnic;

u nas wszystkie konspiracye odbywały się i odbywają na rynkach, wszyscy wiedzą o wszystkiém, a dotąd nie było przykładu zdrady. Siadaj pan, chodź, słuchaj, bierz nawet udział w naszych naradach, nie przeciwko temu nie mamy. Potrzebujemy dziś wszelkich sił jakie się tylko skupić dadzą, rąk, głów, worków, dowcipów, zapału, nawet chytryści... zatem proszę się rozgościć jak u siebie.

Kruder swoim obyczajem nie mógł i tu długo zabawić; zajrzał w ten i ów kąt, zaglądnął do papierów, przeczytał przez ramię sekretarzującemu co tam było na porządku dziennym, szepnął parę słów temu i owemu z przechodzących, i już czapkę targał spiesząc do wyjścia.

Gorączkowo sam dla siebie policyantował, ciągle bijąc się z myślami czy pozostać na boku, być z nimi, przeciw nim... w środku? Już go piekło ocaliwszy Jakóba, coś począć nowego; wyszedł spiesźnie.

Jakób porzucony wśród ludzi mało mu znanych, w położeniu dwuznaczném, sam nie wiedział co zrobić z sobą; chodził, myślał, rozważał, nie mógł się na żaden krok stanowczy odważyć.

Tymczasem patrzył; po raz pierwszy przed jego

oczyna rozwijał się ten obraz gorączkowej czynności jednego z ognisk w których się ówczesne życie i ruch rewolucyjny skupiały.

Dla Jakóba było to zupełnie nowém i dziwném.

Co chwila otwierały się drzwi — wpadali ludzie najróżniejszych twarzy, strojów, wieku; kobiety, dzieci, żydzi, duchowni; każdy przynosił jakąś wieść złą lub dobrą, grosz uzbierany, przestrogę, odpowiedź; przychodził po rozkazy albo je wydawał; zabierał lub niósł papiery. Pomiedzy przybyłymi nierzadki był mundur wojskowy, nawet wyższych stopni; twarze które poorały trud, wygnanie, męczarnie długie; piersi pookrywane orderami w bojach na Kaukazie i na Wschodzie krwią zdobytemi. Ocierali się o nie nędzarze, wyrobnicy, rzemieślnicy, tłum uliczny, przekupki. Ruch i czynność była niezmierna, a nieład prawie im równy.

W chwili po Jakóbie i jego towarzyszu nadzedł z placu boju ranny silnie w nogę młody człowiek, który w kilku słowach opowiedział o srogiój walce w której ranę otrzymał i pospiesznie dopraszał się o lekarza, aby co rychlój zagojono nogę, bo pilno wracać mu było nazad, w bój nowy.

Czoło młodego człowieka jaśniało bohaterstwem, gorączka z rany mniejsza była od gorączki zapалу.

Za nim nadbiegł inny z wieścią że policya napadła tajemną drukarnią która kryła się gdzieś na strychu... Blady był jeszcze z trwogi, wszyscy załamali ręce.

— Cud Boży, wołał, cud Boży! Bóg nas widocznie ocalił, mówił młody chłopak drząc i płacząc, dom był osaczony; trzęsiono naprzód pierwsze i drugie piętro, żandarmów rozstawiono u drzwi wszystkich. Nie było czasu ani papierów spalić, ani liter i pras poniszczyć, śmiertelny przestрах ogarnął nas wszystkich; ukłękliśmy i zaczęliśmy odmawiać: „Kto się w opiekę...” potem „Pod Twoją obronę...” Po korytarzach, na strychu słychać było szczęk broni, rozbijanie się policyi, wołania, hałas, krzyki. Wiedziano że w domu tym była drukarnia, szperano po lochach, po kryjówkach, na poddaszu obok. Mieliśmy się za zgubionych oczekując tylko chwili gdy drzwi wysadzone upadną; a modlitwa nasza tém była gorętszą. Pięciu nas klęczało wśród izdebki, błagając jeszcze Boga o litość, o cud który zdawał się niepodobieństwem, ciche łzy toczyły się po wybladłych policzkach.

Obok przetrząsano już drugą izbę, z drugiej strony słychać było szczęk pałaszów i łajanie. Czas zdawał się nieprzeżycie długi, klęczeliśmy i mo-

dlili się, czekali, aż powoli ruch i wrzawa ustały. Nierychło odważyliśmy się wyrzeć, żandarmi i policya odeszła nic nie znalazłszy. Z sześciorga drzwi w rzędzie będących jedno nasze zapomniano!! pominięto! Bóg im oczy zasłonił*).

Chłopak opowiadając drżał i składał jeszcze ręce przejęty. Wszyscy słuchacze osłupieli zdrgnięci. Potrzeba było myśleć natychmiast o przeniesieniu drukarni gdzieindziej i wydano rozkazy.

Z téj czynności przyspieszonej, różnorodnej, nagłej, jedno tylko mógł wnieść Jakób, że w istocie nic porządnie uorganizowanego, przygotowanego nie było. Pieniądzy brakło, posyłano pożyczając, domagając się, prosząc o nie u ludzi dobrej woli.

Z placu bitwy co chwila przychodziły skargi bolesne na niedostatek broni, prochu, ambulansów, lekarstw i lekarzy. Tam pochwycono posłańca, owdzie niesumienny dostawca wepchnął przepłacone karabiny bez kurków, zardzewiałe, połamane, kupione gdzieś z wybrakowanego bruchtu arsenałów austriackich.

Niepowodzenie widoczne, trudności z którymi walczyć było potrzeba, nie zrażały jednak téj garści ludzi, niesłychaném, zuchwałém mężstwem do-

*) Historyczne.

kazujących cudów. Opieszałość Moskali która powinna była dać do myślenia, posługiwała tylko do szerzenia ruchu, który co chwila dziwniej, niebezpieczniej ufał w siebie. Z całej przestrzeni dawniej Polski, kupiły się tu doniesienia, listy, posłańce; ale prawie zewsząd przynosili z sobą zwątpienie, wymówki, prośby aby wybuch powstrzymano (za późne!). Prowincye po za rosyjskim zaborem stały opór bierny; więcej Galicya niż Poznańskie; oglądająca się nieufnie na intrygi rusińskie — choć tu przymknięte oczy rządu w biały dzień prawie posiłki zbierać dozwalały. Było to środkiem niestety, dla Austrii pozbycia się tanim kosztem rewolucyjnych żywiołów.

Zaślepienie przewodzców ruchu widziało w tém nawet, co zastraszać powinno, jak najlepsze wróżby przyszłości.

Zdziwił się Jakób gdy, między innymi, postrzegł tu przybywającego Gromowa, który znękany wypadkami, próbował jeszcze napróżno modlić się aby powstanie wstrzymywano.

Na to już uśmiechali się wszyscy.

— Przyspieszcie raczej wasze, odparł ktoś, pora... to jedno radzić wam możemy; podziałajcie na wojsko, starajcie się obudzić rozkolników.

— My nie możemy! zawołał ręce łamiąc Moskal, my, niestety, nie mamy materiału gotowego jak u was na zawołanie, łatwowiernego, rozgorączkowanego; myśmy nie przywykli do robienia rewolucyi. Nasze odbywały się pomiędzy łóżkiem a kominem, między koszarami gwardyi a pałacem... cicho i krwawo. Massy w nich nie miały udziału. Nasz kraj musi się uczyć wszystkiego: odwagi, spisku... Nam ludzi zebrać, natchnąć, wprawić potrzeba... Wszystkie próby nasze, nie zapomnijcie, kończyły się na rusztowaniach i kopalniach.

— Naród dojrzewa czynem — próbujcie, odpowiedziano Gromowowi.

— My nie możemy próbować! odparł Moskal, u nas jeśli się co zrobi a nie uda, wieki za to cały naród pokutować będzie musiał. Uderzym tylko wówczas gdy pewni będziemy zwycięstwa.

— No, to jest nigdy, zawołał Młot.

— Ale jakże, wy nie widzicie przepaści w którą lećcie? odpowiedział Gromow.

— W przepaść! w piekło! byle z tych rąk katowskich.

Przerwała rozmowę kobieta strwożona dająca znać że syna jej z papierami ujęto — płakała bie-

dna, ale zarazem przyniosła najważniejsze, które ocalić potrafiła.

Za nią wpadł dzieciak oszalały radością, udało mu się na rogach ulic poprzylepiać plakaty... goniła za nim policya, uszedł. — I śmiał się i brał za boki i był szczęśliwy, a dokoła znajomi i nieznajomi ściskali go wszyscy. Jakób stał, słuchał, patrzył i bolał nad straconemi tyłu poświęceniami i meztwem. Dla niego widoczném było że z tego kłębka powikłanych nici nic się wypłatać nie może, chyba cudem i to cudem, którego przypuścić prawie się zdało niepodobném.

Zawracało mu się w głowie słuchając i patrząc. Wychodzili jedni, wchodzili drudzy, roboty przyjmowano, przerywano, krzyżowały je doniesienia, postrachy, wieści coraz nowe a dziwniejsze. Powoływano ludzi od rodzin, od zajęć, od spokojnej zaciszy i stawali gotowymi nieść życie, jechać, iść na drugi koniec świata. —

Kobiety zaszywały depesze w krynoliny i gorsety, mężczyźni z pomocą szewców w podeszwy butów wciskali papiery, w kije zakuwano pieczęcie. Wszystko to odbywało się wśród ciżby, hałasu, wrzawy i największego nieładu.

Ku południowi wreszcie samym tym widokiem

Jakób był tak zmęczony że wyjść postanowił, czekał tylko aby mu tu znać dano czy w istocie szukano go w domu i czy mu groziło więzienie. Krunder który przyrzekł donieść o tém, nadszedł mimochodem z wiadomością, iż w godzinę po ich wyjściu nadciągnęła policya, a nie znalazłszy Jakóba strzęsała dom, papiery, popsuła kanapy, poodrywała podłogi, porozwalala piece i ostatecznie zabrała tylko kieszonkowy pistolet porzucony na stoliku... Policjanci rozstawieni mieli polecenie nagałdać czy się Jakób nie zjawi.

Nie pozostawało więc do wyboru tylko cytadela lub ucieczka! Ale dokąd?

Przyszło mu na myśl miasteczko w którem mieszkał stary Jankiel, potrzebował prócz tego widzieć się z nim i oznajomić mu o śmierci córki. Mógłby się tam być skryć bezpiecznie, gdyby nie Dawidowie.....

Bądź co bądź, jednak postanowił pojechać i wysliźnawszy się nad wieczór z Kafarnaum, puścił wprost między swych współwyznawców i znajomych sobie żydków ubogich na Nowiniarską ulicę, gdyż tam najprędzej mógł znaleźć środki wymknienia się z miasta.

Miał on pomiędzy nimi i przyjaciół i dalekich

krewnych i życzliwych, szczególnież wśród ubogich handlerzy, których często radą i pieniędzmi wspomagał... a żywił zawsze dobrém słowem i starał się kierować na dobrą drogę. Nieraz gdy te brudne i ciasne kąty ze ścisnioném sercem obchodził, gdy wnikał w tajniki tych nędz i upadku moralnego współbraci, przychodziło mu na myśl temu ubóstwu wyłącznie się poświęcić...

Był téż gorliwym zwolennikiem szkółek żydowskich pozakładanych naówczas tak gorączkowo a tak późno... Pierwsze ich postępy rozradowywały jego serce, ale w pośpiechu i zapale pracy około nich, widział symptom nieszczęśliwy przyszłego upadku...

Czuł on że na wszystkie nędze jedyném lekarstwem była oświata, że ona tylko mogła zbogacić, ubezpieczyć, spoić społeczność i od złego wpływu ją obwarować, od niszczących wyziewów niewoli i demoralizacyi.

Pomiędzy innemi przyjaciółmi jego mieszkał tu, miły mu szczególnie dla wesołego humoru, stary Rebe Szmul, żydek którego maleńki handelek starzyzny, raz w chwili zupełnego upadku, Jakób dźwignął był własnym groszem.

Szmul należał do tych znanych miejskich wło-

częgów, którzy obwołując — Hendel! Hendel! — z kilku surdutami i kamizelkami na plecach, cały dzień na skwarze, na słońcu, na zimnie, popychani, wypędzani, obchodzą podwórza, spinają się na czwarte piętra i poddasza z kądem na nich nędza zawoła, gdzie czeka ich niedostatek — a zarabiają ledwie tyle by na szabbas kupić ryby dzwonko i mieć kawałek chleba białego.

Piawski dobrze go odwzorował w swoim Kraju Warszawskim, gdzie wielu zaginionych typów szukać dziś trzeba.

Rebe Szmul obdarzony był liczną rodziną, pięć córek miał dorosłych, z których dwie zaledwie udało mu się — wyssawszy się, wydać jako tako za mąż, trzy przy nim siedziały w domu; więc z dwojgiem starych pięcioro gęb do nakarmienia — w mieście!!

Na wszystkich potrzeba było zarobić chodząc od rana do nocy staremi nogami z przeszlęm gardłem. — Prawdę rzekłszy, na łachmanach, które kupiwszy jeszcze na nie nabywcy szukać było potrzeba... ileż to zarobić można? Rebe Szmul na lepsze, niezbyt wynoszone odzienie miał nabywców w małych sklepikach, gdzie je odświeżano, prano i odnowiwszy za zupełnie nowe sprzedawano; ale

ileż to razy stary niedopatrzwszy się dziury, oszukał, ile razy to na co najwięcej rachował, najdłużej mu potem leżało, bo było najdroższe.

Szumł zaschły, zawiędły, wysoki, stary ale nie zestarzały, bo — jak powiadał — na to nie miał czasu; w handlu tym, który przez lat trzydzieści go zajmował, nabył niezmierną znajomości ludzi i wielkiego dla nędzy, bied, ułomności ludzkich współczucia i wyrozumienia. Mimo doskwierającej mu osobiście biedy, wesół był zawsze, bo wierzył w opatrność Bożą. — W gruncie był to, po swojemu, dość uczciwy człowiek; nieraz gdy łzę zobaczył na oku biedaka, grosz mu postąpił, pewien że mu go Bóg odda.

Mimo wielkiego niedostatku i tego życia z dnia na dzień, co nigdy nawet na pogrzeb zebrać nie da, Szumł się uśmiechał. Należało to do atrybucyi jego rzemiosła; smętna twarz nie obudza zaufania, nie przyciąga ludzi, smutnym potrzeba dodać otuchy, rozstających się z odzieżą — często ostatnią — udobruchać promykiem zaraźliwej wesołości.

Więc, choć w duszy często sucho było i pusto, Szumł sobie podżartowywał, a żarty te, zrazu przymusowe, przeszły powoli w naturę. Na wargach

jego krążył już uśmiech zawsze; z nim on powracał do domu, nim leczył żonę, nim córki pocieszał, nim sam siebie durzył, choć nieraz wśród tych drwinek westchnął tak, jakby go kto kamieniem w piersi uderzył.

Nic tak nie naucza jak włóczęga, spotkanie coraz nowych ludzi i twarzy; przez nie najważniejszego człowiek nabiera doświadczenia, bo widząc wielu a rozmaitych, uczy się rozeznawać co im wspólne jest wszystkim, co prawdziwe w człowieku, co udane. Wszędzie w formach różnych spotyka prawie jedno — ludzi charakter dobywa sobie z dziwnych jego objawów — poznaje człowieka... Wie potem, że pod najkunsztowniej narzuconą zasłoną wszędzie stary Adam siedzi, którego z pod maskowego stroju wyciągnąć można.

Nikt weselój nad Szmula, choć przy łojowej świeczce, w izdebce ciasnej, nie obchodził świętego szabbasu, nikt głośniej nie śpiewał kantyku Salomona, nie pożywał białego kugla smaczniej i z większym apetytem.

Ale wiodło mu się, mimo pomocy Jakóba, bardzo lichy. Chodził jeszcze rażno, krzyczał dosyć głośno, wiedział w których kamienicach trafiają się skórki zajęcze za najtańsze pieniądze; młodszy go

się radzili, a on sam z ciężkością sobie mógł dać radę. Przemyślał nieraz nad zmianą handlu, nad założeniem małego sklepiku, próbował szuwaks, siarniczki, drobne towary dołączyć do starzyny, ale się nie wiodło.

Nie zrażał się wszakże; — trzymał oddawna ćwiartkę na loteryi i był pewnym że ta furtka otworzona szczęściu, ułatwienie uczynione panu Bogu, prędzej później zbogacić go musi.

Wymawiała mu to jego dzieciństwo pani Szmulowa, ale dozwalając jęj gderać, bilet odnawiał... Prawdę rzekłszy, to co ten świstek papieru kosztował, zdałoby się było bardzo w domu, ale cóż? pan Bóg nie miałby furtki do wnijścia.

Szmul mieszkał od bardzo dawna przy Nowiarskiej ulicy, w jakim kącie, dziurze, śmietniku, wypowiedzieć trudno. Kamienica w której kilkadziesiąt równie ubogich jak jego rodzin się mieściło, wyglądała jak nie pierwszej czystości ul. Właściciel nigdy jęj nie restaurował, a lokatorowie nie oczyszczali tylko o ile do tego byli przymuszeni.

Od przodu dom nie miał nad kilka okien, ale w głąb ciągnął się długo, zabudowany był w prostokąt, a do koła podwórze otaczały galerie dre-

wniane, które mało kiedy schnącą białelizną i łachmanami nie były od góry do dołu obwieszane.

Rynny szerokie drewniane ze wszystkich pięter sprowadzały tu scieki pomyi, rzadko przy pomocy ulewnego deszczu zbiegających do suchego rynsztoka, częściej leniwo zatrzymujących się w drodze. W pośrodku dziedzińca była wprawdzie pompa, ale jaką dawała wodę, domyśleć się łatwo; posądzano ją nieraz o skryte konszachty z rynsztokami. — Na tém przyciemnioném podwórzu odbywały się gospodarskie roboty, trochę szerszego wymagające miejsca lub niosące śmiecie za sobą; tu skubano drób, tu prano białeliznę, tu suszono wilgotne piernaty, tu się dzieci myły i naczynie kuchenne oczyszczało; a im wyżej podniosłeś głowę ku górnym piętróm, tém lichsze łachmany strzępiły się na poręczach wschodów i poddaszy, na porozciąganych w różnych kierunkach sznurach.

Wyziwy kuchni, pralni, dymy, smażenia, wszystko to zatknięte w dziedzińcu dawało mu atmosferę właściwą, *sui generis*, do której przywyknąć musiały piersi i nosy mieszkańców. Nie należała ona do najprzyjemniejszych. Lokatorowie tego domu wszyscy dobrzy, starzy znajomi, składali jakby jedną wielką rodzinę.

Arystokratyczniej nieco nosiło się pierwsze piętro, zajęte przez kupców którzy mieli sklepiki na dole, ale począwszy od drugiego panowała równość i dosyć dobra harmonia. Wszystko to tam się porodziło, porosło, pożeniło i umierać spodziewało. Szmul mieszkał biedaczysko na trzeciem piętrze od tyłu, w trzech ciemnych izdebkach, które jęmość z trzema córkami starała się jako tako utrzymać; ale przy różnorodném gospodarstwie przychodziło to dosyć trudno. Pierwsza izba zakrawała nawet na pokój bawialny, była w niej stara kanapa niegdyś czarném włosieniem pokryta, trzy krzesła różnego pochodzenia, szafa za szkłem, której tajemnice wewnętrzne osłaniała stara, przed wieki zielona firanka, szabasowe świeczniki mosiężne, a w rogu półka na książki. Niekiedy i tu Szmul rozrzucał swe zdobycze, ale głównym na nie składem był alkierz zajmowany przez córki. Tamto dziewczęta je cerowały, wyciągały, czyściły, naprawiały i tu trafiła się raz dziwna historia, którą Szmul opowiadać lubił, jako sprawę Opatrzności.

Było temu lat z dziesięć; położenie handlerza nadzwyczaj stało się trudném przez uczyniony mu zawód w wypłacie i nieszczęsny wypadek kupna odzieży, która się okazała kradzioną i nietylko ode-

brana była, ale kosztu i biedy przysporzyła na długo. Przychodził ostatni termin wypłaty komornego, zbliżały się i święta wielkanocne, w domu nie było złamanego szeląga. Szmul zwykle wesół, chodził jak martwy, przybity, milczący. Pukał do wszystkich drzwi, u których kredyt mógł znaleźć, nie wskórał nic u nikogo. Rozpacz, mimo wiary niezłomnej w Opatrzność, poczyniała obejmować starego. W kieszeni kilka błąkało się trojaków tylko. Zrana Szmul wyszedł w ulicę wedle obyczaju... poszcześnie mu się do tyła że sprzedał starą kapotę i dostał kilka złotych; miał już z niemi do domu pospieszyć gdy na drodze spotkał żołdata gwałtem chcącego mu weprzeć stary, odrapany kaftanik, niegdyś jedwabny. Stary wcale go sobie nabywać nie życzył, ale żołnierz tak naglił, tak się napierał i oddawał tak tanio, iż się nieborak spokusił. Obejrzawszy później nabycie zafrasował się, bo oprócz odrobiny waty i łachmana jedwabiu, kaftan nic wart nie był. Wróciwszy do domu, gniewny sam na siebie, kazał go zaraz spruć starszej córce. Rozele wzięła się do téj roboty przy świecy, a Szmul modlił się w drugiej izbie, gdy nagle krzyk, ale krzyk wesoly usłyszał, krzyk podziwienia nadzwyczajnego...

Przy kaftanie trzymały się mocno trzy dosyć spore guzy, które zawadzały przy pruciu. Rozele odcięła z nich jeden... zaszyty w skórę i jedwab wypadł... półimperiał... Szmul, Szmulowa, cała rodzina zbiegła na ten cud patrzeć... zostawały jeszcze dwa guziki, w każdym z nich znalazła się sztuka złota... tak że razem wzięwszy przeszło sto złotych dał ten nieoszacowany kaftanik, zapłacony czterdzieści groszy, którego właściciela niepodobieństwem było dopytać... Łatwo się domyśleć było że żołnierz musiał go ukraść lub zrabować.

Szmul dumał długo nad tym łachmanem, który był brzemienny jakąś historą... wygnań, więzień, nędzy, nieszczęścia... Porąc starannie Rozela odkryła papiery zaszyte w kołnierzu z niezrozumiałymi notatkami....

Szmul potrzeby swe opędził znalezionemi pieniędzmi, dziękując Opatrzności, ale tę zdobycz uważając za pożyczkę w niedoli, zwrócił kapitałik z małym procentem ratami więźniom wychodzącym na wygnanie, rozdając go w sposobie jałmużny.

Maluje to serce pocziwego człowieka, który nieszczęściu i nędzy nie chciał być dłużnym.

Zachowane szczątki téj odzieży pokazywał Szmul poufałym swym, lubiąc tę przygodę opowiadać.

W pośrodku między bawialnią a alkierzem była izba sypialna państwa Szmulów, dość szczupła i niezbyt wygodna. W całym mieszkaniu nie brakło oznak zwykłych w domach starych Izraelitów, świeczników, błogosławieństw u drzwi, portretów sławnych rabbinów, obrazków w smaku i stylu assyryjskim. Z szafeczki zapełnionej księgami wyglądało uroczyste ubranie szabbasowe, rzeźnienie do modlitwy i przybory święteczne, bo Szmul był bardzo religijnym i pobożnym; a ściśle form nakazanych przestrzegał. Nie miał wiele czasu do rozmyślania nad zakonem, oprócz szabbatu i dni świętecznych, ale go w sercu nosił.

Z rana zwykle wzięwszy na ramię trochę rupieci Szmul z nieodstępnym starym parasolem, niegdyś sinym, dziś niepewnej maści, szczególnie dla ochrony towaru używanym przezeń, wychodził na miasto i nie powracał aż późnym wieczorem. — Kieszek wódki, kawałek chleba, cebula, śledź, żywy nieboraka; a rad był, gdy wróciwszy, znalazł trochę ciepłej strawy. Humorystyczne opowiadanie przy posiłku przygód dziennych pani Szmulowej, zawsze wesołe i ochocze, weszło tak w codzienny obyczaj, że staruszka stawiała przy stole do słu-

chania jak z obowiązku; potem podjadłszy nieco, pomodliwszy się, stary szedł na spoczynek.

Lubiono go powszechnie, szczególnież za tę wesołość, ceniono rozum choć nie dał rezultatów praktycznych, bo rozumny Szmul ów nic się nie dorobił, nie będąc ani marnotrawnym, ani zepsutym. Gdy się temu dziwiono, miał zwyczaj mawiać:

— Rozum jest to taka rzecz jak nożyce, gdy nie ma co krajać, nie pomoże choćby były najostrzejsze. — Sukno pod nie to już sam pan Bóg daje... Dola w ręku tego, którego imienia wymówić się nie godzi!!

I gładził brodę i uśmiechał się.

Wieczór był, ranna mgła zmieniała się powoli w deszczyk drobny, który obiecywał przez trzydniówkę kropić, bo nad zachodem rozpoczął, gdy Jakób nie bez przykrości wdrapał się na wschodki i galeryą prowadzącą do mieszkania Szmula. Nie zważał że stary ze swym towarem i parasolem szedł w ślad za nim, nie poznając go. Wracał właśnie do domu. Dopiero przy drzwiach się spotkali, a gdy Jakób rękę przyłożył do imienia Bózego, przybitego u nich, i ucałował ją obyczajem dawnym, po téj pobożności poznał go dopiero stary.

— Salem Alechem!

— Alechem Salem.

— A waj! cóż to za goście! krzyknął Szmul rzucając co najprędzej starzyznę na krzesło... o tej godzinie! Rabi Jakóbie, cóż to tu was przypędziło?

— Juściż bieda; rzekł Jakób.

Stary ręce załamał.

— Wam? bieda? jaka?... Bieda w której Szmul przydać się może... a waj! Cóż to takiego jest? co to jest?

— No, no, nie trwoż się zbytnio stary, pomocy wprawdzie potrzebuję, ale sądzę że ci to łatwo przyjdzie.

— Choćby i trudno, odparł Szmul, ja gotów na wszystko, byłem potrafił.

Z za drzwi od drugiej izby pokazała się najprzód głowa w czépcu ogolona starój Szmulowój, potém za nią trzy młode i świeże, trojga aż do zbytku figlarnie uśmiechających się twarzyczek trzech dziewcząt ciekawych. Sześcioro tych czarnych oczów utopione były w Jakóbie.

Szmulowa poznawszy gościa, poczęła ścierać pył z poręczów kanapy, ze stołu i prosiła siedzieć. Dla wyręczenia niby matki wpadła Rozele, średnia, najpiękniejsza i najśmielsza z córek starego Szmula, dosyć, mimo ubóstwa, starannie i chędogo ubrana.

— No, czemuż ja wam stary niedołęga służyć mogę, zapytał Szmul, gdyby się taka rzecz na świecie znalazła, którąby stary Szmul mógł, a wy nie mogli... coby to był za cud! A waj!

Podniósł jarmułkę z głowy i nazad ją włożył cmokając.

— Siadajcież, dodał — co wam trzeba? aż drzę żeby nie pieniędzy, bo tego u Szmula dawno nie bywało... daj Boże na szabbas... wystarczyć!

Westchnął.

— Ale bądź spokojny stary, pomówiemy później, szepnął Jakób nie chcąc przy kobietach rozpoczynać. Siadaj no, twoim starym nogom należy na-przód odpoczynek.

— To jest wielka prawda! odparł Szmul, wiele ja dziś wschodów zlażę tego nie policzę. Roboty miałem tyle co nigdy; moc ludzi wyprzedaje się teraz prawie do koszuli... biedaki! a ilu by to ich co ciepłego kupiło, gdybym ja miał zapas i oni też... Handel idzie, a co z tego? kiedy tyle gąb nakarmić potrzeba... a waj!

— Cicho! nie narzekaj, rzekł Jakób, lepiej żeby było pięcioro gąb do jednego worka, niż pięć worków a żadnej pocziwój gęby.

— Dziś był dzień, począł Szmul, nie potrze-

bowalem wołać — Hendel! — targano na wszystkie strony... sprzedawali za bezcen... ta młodzież. A! co się zowie porządne rzeczy, nie mogłem nastarczyć grosza... aż musiałem na zastaw u Mortchela pożyczyć... A interesa będą doskonałe, jeżeli choć połowa tych powróci co teraz wychodzą.

Westchnął stary.

— No — cicho, zbliżając się do niego rzekł Jakób, ot i ja z miasteczka wymknąć się muszę, aby mnie nie schwytano... U mnie dziś rano była policja i żandarmy... czekałoby mnie więzienie.

Stary się pochwycił za głowę.

— U was! Co? co? czyż i wy Rabi Jakóbie pójdziecie z nierozumnymi Pana Boga kusić?

— Nie, ale zamknięty siedzieć nie chcę.

— Za co?

— Czyż pytać trzeba!

— No, to prawda... ja na to patrzę wiele już lat, a jeszcze przywyknąć nie mogłem... Tu nigdy człowiek nie jest bezpiecznym, a cóż dziś?? a waj!

— Znasz ty kogo coby mnie bezpiecznie dowiózł do pierwszej pocztowej stacyi?

— Czy znam?? tu na naszym piętze, w tej kamienicy jest taki... Nazywa się Mordko... On... no, wszak każdy żyć z czegoś musi? on szwarcuje,

on do tego przywykły... Towar, ludzi, papiery... co chcąc, codzień biedak głowę stawia aby brzuch nakarmił.

— Jesteś jego pewnym?

— A! a! tysiące mu powierzają.

— A potrafi?

— A! rzekł Szmul, on na rogatkach ma wszystkich w kieszeni. To jest człowiek sprytny jak ogień, chociaż mu to z oczów nie patrzy... Spojrzeć na niego tak zdaleka, trzech groszy by za niego nie dał, gadać nie umie, chodzić nie umie, żadnym językiem nic nie powie, głuchy, trochę ślepy... ale co to za człowiek!! On sobie potrafił taką zrobić twarz, mowę, figurę od biedy, że ile razy go wezmą, to go puszcza — mówiąc że strasznie głupi. Ale to jest... *cymes!*... Ja po niego pójde.

— Idź, rzekł Jakób.

Szmulowa usłyszawszy że mąż wyszedł, stawiała się aby gościa zabawić, córki wyglądały przeze drzwi... na tego wielkiego człowieka... A Rozele, która była piękna bardzo, mówiła sobie wzdychając: — Miły Boże! gdyby ten bogacz mnie sobie podobał... coby to było za szczęście!... Ale darmo! a przecież mówią że piękna... tylko nie dla takich jak on Parnesów... a! nie!

W kilka minut Szmul wszedł, wiodąc za sobą w istocie niepozorne stworzenie, Mordka, który kłaniał się nisko, witał, bełkotał coś, a przede wszystkim oczyma Jakóba od stóp do głów opatrzył, jakby z niego spisywał inwentarz.

— Już on wszystko wie, rzekł Szmul, jemu mówić więcej nie trzeba.

— Można dziś? spytał Jakób.

— Nie, po nocy to najgorzej, powoli mową łamaną odparł Mordko — po nocy to i ten niepewny co pewny!! Jutro... pójdziemy razem.

— Ale ja w domu nocować nie mogę, tu także nie ma miejsca... a po hotelach nocami trzęsą.

— To co? ja was zaprowadzę tam gdzie nigdy nie trzęsą, gdzie gdyby *trzęsali* to wy możecie sobie spać spokojnie. Stancya taka bezpieczna! a waj!

— A reszta? a jutro? jesteś pewnym?

— To jest mała rzecz, rzekł Mordko ruszając ramionami i krzywiąc się niby na uśmiech. Przez rogatki ja mogę wyprowadzić całą Warszawę i nikt mnie nie spyta!

Jak zciemni się, ja przyjdę i poprowadzę was na nocleg!

Sklonił się i wymknął Mordko, Szmul stał zamysłony przed Jakóbem.

— A! a! rzekł po chwili — no! powiedzcie co to będzie? bywało kiedy co podobnego na świecie?... My z nimi, ze wszystkimi w zgodzie, brat a brat... Rabbin z księdzem chodzi! gwałt! my obywatele! a waj! Co oni myślą robić? Bić się? To źle, to jest bardzo głupi interes!... Żeby oni byli mieli rozum! a poczęli Moskale masłem smarować, a jeść po troszę, byliby go do téj pory zjedli całego. Ale oni wojnę lubią... a z wojny nie będzie, oni poprzepadają; broń Boże, aby i my z nimi nie poszli na cuhunder... Ot dola nasza! dodał — już wszystko nam pan Bóg zabrał co było swojego... a teraz i pożyczane zabierze... kraj nam zburzą i miasto.

— No, Bóg wie co czyni, odparł Jakób, i zrobi co zechce.

— Tyle pociechy co w nim! odczuwał się Szmul. Prawdę rzec, czarno wygląda przed nami... Człowiek zarabia jak na odzieży którą po umarłym sprzedają... a co z tego? Warszawa nie będzie Warszawą gdy tu zapanują Moskale.

— A jeśli ich wypędzą?

Szmul się uśmiechnął.

— Z panem Bogiem o tém nie mówiłem, rzekł,

ale mnie się widzi, że to jakoś nie może być. — Sto lat jak się to zaczęło... coraz gorzej im, jak pieniądze do bogatego, tak siła do mocnego płynie. Im pomagają wszyscy, Polakom nikt... Świat się garnie do tego, czego się lęka. Wyście czytali księgi nasze to wiecie, i myśmy tak samo powstałi wielkroć, a za każdym razem upadali coraz niżej.

Stary posmutniał.

— Bardzo mnie troska, rzekł, ta wasza ucieczka... kiedy wy powrócicie? co się z wami stanie? Szkoda was!

Kiwał głową.

— A! nie dla siebie ja was żałuję, ale dla całego narodu naszego, bom ja widział wielu a nie znalazłem takiego jak wy człowieka, coby i świat znał i prawo szanował, a nie zaparł się pana Boga swojego. Co nam po tych żydach, którzy się wstydzą *Cyces*, co je za młodu nosili, do których przyszedłszy nie znajdziecie imienia Bożego u drzwi, coby *Ofanim* i *Therafim* odpędzało... To są *Poszjesroel*... to są *Kejlef*... Jednegośmy was mieli, a i to nam zabierze nieszczęście.

— Jeśli istotnie potrzebnym dla was jestem, odezwał się Jakób, bądźcie pewni, że Bóg Izraela

zachowa mnie na usługach... a jeřlim próżny... skruszy i zdepcze...

— Boże uchwaj! zawołał Szmul, tego nie będzie, sercé moje czuje że wy się wyratujecie, ale duęo goryczy napijemy się wszyscy.

Wszedł Mordko dając znać że czas iść było i powlekli się uliczkami małemi aż do ślepego hoteliku, w którego ciemnej izdebce Jakób znuęony kilkogodzinny znalazł spoczynek.

Podróż po kraju niełatwą była w téj chwili, gdy rozpoczynająca się walka powstańcza rzuciła w pole kozactwo rade łupieży, a żołdakom w ogóle otworzyła bezkarnie wrota... na wszelakie bezprawia... Wolniejsi może nieco od napaści byli Izraelici, choć ostrożnemi być musieli, bo na nich szczyło łakomstwo... domyślając się przy każdym żydzie choć trochę pieniędzy. Szczęśliwie jakoś, mimo rozstawionych po gościńcu placówek udało się Jakóbowi dostać do pierwszej stacyi, gdzie pożegnawszy swojego milczącego przewodnika ruszył pocztową bryczką do miasteczka... Kraj był pusty, smutniejszy niż kiedy; cienie przełękłych wieśniaków snuły się po nim, oglądając na obie strony, bo od obu cierpieć mogły, a zwyciężkiej służyć za narzędzie do nękania i postrachu.

Na drodze do miejsciny małej, położonej na ustroniu, nie spotkał wszakże Jakób prawie nikogo, oprócz kilku pędzących w różnych kierunkach bry-

czek, na których przemknęły mu się zasepione, okryte kurzawą twarze. Nad wieczorem przybysz do warszawskiego zajazdu, znieść tam kazał swoją torbę podróżną, która całe jego mienie składała i poszedł do starego Jankiela.

Niepilno mu tam było ze złą wieścią, ale musiał się wyrwać z samotności która mu ciążyła i rad był się o tém co w kraju się działo dowiedzieć. Pewien był zresztą że stary o córkę tak rychło go nie zapyta. Dom stał jak go był widział pierwszą razą, nic się w nim powierzchownie nie zmieniło, tylko piętno jakiegoś smutku było na nim widoczne. Wesołego, żywego ruchu jaki tu dawniej panował nie dostrzegł, snuli się powolnie, jakby przybici słudzy i komisanci. Wiele też przypisać było potrzeba trwodze panującej, którą walka rozpoczęta wywierała na wszystkich. Starsi pamiętali już niejedno czasu wojny obchodzenie się Moskali, gwałty ich i nadużycia; wiedzieli że i z drugiej strony wojna ofiar wymagała, o które musiano się upomnieć; każda więc bryczka, każde głośniejsze huknięcie, odgłos trąbki pocztowej, wzbudzał ciekawość i obawę.

Już w gospodzie dowiedział się że obu Dawidów nie było w domu, stary się gdzieś ukrywał,

a młody rzucił w facyendy i uchodził za zagorzałego patryotę, tak że się go w miasteczku lękano.

Starego Jankiela zastał na górze samego, zgarbionego nad wielką księgą. Jedno spojrzenie nań przekonywało, jak wiele od czasu niewidzenia przcierpiał; wychudł, zżółkł, postarzał. Nie widząc kto wchodzi, nie podnosząc oczów stary dał znak ręką aby mu nie przerywano modliwy; a po kilku minutach dopiero podniósł źrenice składając książkę i obaczywszy Jakóba — wykrzyknął powitanie prawie wesole, podając mu rękę drżącą.

— Juściż nie umyślnie do mnie przybyłeś? zapytał z obawą, jakby chciał przypuszczenie jakiegoś nieszczęścia uchylić od razu.

— Nie, zawołał Jakób, powiem wam otwarcie, byłem zagrożony, sam nie wiem za co, więzieniem; czułem się niewinnym, ale czyż broni niewinność? radzono mi uchodzić, przybyłem do was... dopóki burza nie minie.

— No, burza nie tak prędko minie, odparł stary, dopiero się chmury zbierają... ale bądź i dziś i zawsze pozdrowiony całem sercem w moim domu — a mów co chcesz bym uczynił...

— Na teraz nic nie potrzebuję... stanąłem gospodą w zajeździe...

Jankiel tylko ręką machnął, podszedł ku drzwiom i ze wschodów zawołał po imieniu żydka z dołu, który nadbiegł natychmiast.

— Znieść rzeczy tego pana z zajazdu warszawskiego, na górę do pokoju naprzeciw mnie... rzekł nie pytając nawet Jakóba; i powróciwszy dodał:

— Stać wam w gospodzie nie pozwolę, zresztą naraziłoby to was na niemile spotkania; wojskowych, urzędników, różnego stworzenia włóczy się co niemiara, czepiają się do podróżnych... u mnie zawsze bezpiecznie.

Jakób podziękował milcząco.

— Ale, choćbym was pragnął zatrzymać jak najdłużej, ani u mnie, ani tu w miasteczku nie usiedzicie. Gotuje się zamęt wielki który potrwa, Moskwa dopuszcza pożarowi się rozejść aby gasząc go szerzej rabować mogła. Ale Bóg miłosierny... Ja już podobnych chwil pamiętam wiele... 1809—1812, 1831. — Co teraz będzie, Bóg wie!!

Obejrzał się do koła i podszedł ku gościowi z jakąś trwogą, ale na ustach pytanie mu zastygło — otworzyć ich nie mógł. Spojrzał błagająco i westchnął.

— Żona mi chora, córka chora, dom jak w żałobie, ja stary sam, ot, jak widziałeś nad Zako-

nem, uczę się z niego cierpieć. — Tych... tych... (wskazał dom Dawidów), już nie ma. Stary uszedł do miasta, młodszy Bóg wie dokąd i po co... mówią że gorąco trzyma z tymi co wojnę robią...

Jakób potakująco głową kiwnął.

— Nie winszuję im tego nabytku! dodał stary pogardliwie, wielu tam oni takich mieć będą... ale biada téj sprawie co się musi nieczystymi posługiwać rękami. Człowiek tonący nie patrzy kto mu dłoń podaje, brudna ona czy czysta, aż ocalwszy życie dostanie trądu i z niego umiera...

Westchnął ciężko.

— Tak bywało, rzekł, tak będzie, do najczystszej sprawy lecą ludzie brudni, jedni by się w niej obmyli, drudzy aby ją sobą zwalali. Człowiek stateczny patrzy co poczyną i waży... a kto nic do stracenia nie ma ten idzie byle za kim... Węć będą bohaterowie... i obok Macchabeuszów plewa ludzka...

Zamilkł chwilę.

— A potem, dodał, smaganie Boże i chłosta... a później jeszcze wielkie Boże miłosierdzie i pokój, ale już nad mogiłami naszymi...

A *Kabronim* (grabarze) mieć będą roboty wiele i nie pogrzebią wszystkich, bo umarłych na duszy,

będzie chodzić ciżba po mogiłach żywo pogrzebionych. . . .

Skończył stary szeptem; rozmawiali tak długo smutnie o sprawach tych dni, gdy w pustej miejscinie, gdzie każdy wóz włościański przejeżdżający słycać było hałaśliwie na nierównym bruku — zahuczało dziwnie; Jankiel nastawił ucha.

— To jakby konni razem i wozy? zawołał, a tłum? co to może być?

Szarzało, razem wyrzeli oknem w ulicę... Na rynku widać było w istocie jakąś ciżbę konną, garść kozactwa które po pikach łatwo poznali, kilka powózek i trochę rozpatrujących się ludzi. Kilka głośniejszych buchnęło wykrzyków, potem milczenie.

Ze słów które tu niewyraźnie dolatywały można się było domyśleć Moskali; Jankiel wysłał zaraz na zwiady, a sam stojąc w oknie, pogrążony w myślach dumał.

Posłany dla pochwycenia języka, powrócił rychło ale z małą zdobyczą, nieśmiało się bardzo przybliżać, słyszał tylko że przybyli Moskale, poprzedzali większą ilość wojska która nadciągnąć miała i że eskorta kozaków przywiozła rannego pochwyconego w boju dowódcę jakiegoś oddziału

ku, który przez dziesięćkroć większą siłę osaczony w lesie i bagnach, broniąc się do upadłego, całkowicie został rozbity. Naczelnika tego ciężko pokaleczonego wieźli z sobą Moskale na słomie, która cała krwią jego była zboczona — zapowiadając iż go tu nazajutrz powiesić miano.

Tak głosili żołnierze którzy już wszystkie gospody pozajmowali; Jankiel był przygotowany że i u niego któremuś ze starszych kwaterę naznacza, a wiedział z doświadczenia czém to groziło. — Natychmiast poszedł córkę ukryć przy chorągwie matce, pieniądze do znanych tylko sobie posprzątał kryjówek, kilkaset rubli od przypadku zostawiwszy. Srebra już były wcześniej sprzątnięte.... Czekał co Pan Bóg naznaczy.... Przytomny i chłodny, zszedłszy sam na dół, ostrzegł czeladź aby Jakóba inaczej jak jego zięciem nie nazywano, co i jemu wprzód oznajmił, a potem siadł spokojny oczekując już tylko napadu.

W miasteczku poczynano być coraz gwarniej, nowe oddziały wojska napelniały je, tym nakazano stanąć obozem w rynku, oficerowie tylko porozmieszczali się w sąsiednich gospodach. Nareszcie gdy już noc nadeszła wpadł dowodzący oddziałem pułkownik, na górę do Jankiela.

Nie była to wcale postać dzika, na pierwszy rzut oka poznać w nim było można cywilizowanego człowieka, ale obudzał strach niemniejszy, bo często ci pozornie cywilizowani, bywają najgorsi. W wojsku i narodzie moskiewskim cywilizacya powierzchowna dowodzi tylko ostatecznego zepsucia. Ci ludzie w salonie są najprzyjemniejsi w świecie, przy władzy najokrutniejsi, i rozpasani, jakby sobie nagrodzić chcieli tę chwilową przyzwoitości niewolę. — Pułkownik miał nawet cudzoziemsko brzmiące nazwisko, zwał się Tendemann.... Różnie prawiono o jego pochodzeniu, on sam wcale o niém nie mawiał.

Oblicze dowodzącego było blade, razem strwożone i gniewne.

Znać na nim było i podbudzenie gorączkowe które bój rodzi i niepokój jaki daje spoczywająca na ramionach odpowiedzialność wielka. Nie był to już człowiek, ale Moskał w całym znaczeniu wyrazu....

Wszedł naturalnie nikogo nie witając, ani się troszcząc kogo zastanie, szło mu tylko o wygodną kwatere, patrzył mieszkania nie ludzi.... Na drodze do izby w której chora leżała żona jego, Jankiel pokornie zastąpił mu drogę.

— Jaśnie Wielmożny Panie, tam żona moja... chora.

Pułkownik go potrącił, wstąpił na próg, obejrzał milczący jedną i drugą izbę... i zwrócił się nazad po wschodach na dół nie mówiąc ni słowa. Tu kazał sobie otworzyć bióro, a że pokój ten zdał mu się najporządniejszym, w nim pozostał.

Żołdactwo rozbiegło się natychmiast krzykliwe domagając się samowaru, ognia, światła, wody i nie wiem czego jeszcze... Na dole poczęło wrzeć jak w kotle. W chwili jednej pokój napełnił się oficerami, a że wszyscy powracali z wyprawy, z boju, hałas opowiadania, tłumaczenia, rozkazy, polajania zakipiały razem. Z góry słysząc było jakby wycie burzy i gromy...

Jakób ze starym siedzieli przysłuchując się tylko.

Z opowiadań, które im czeladź przynosiła, potwierdzało się pierwsze opowiadanie; Moskwa przez dni kilka uganiała się za formującym oddziałem, wreszcie wysledziwszy, osaczyła go w nocy, a nad brzaskiem na nieprzygotowanych napadła. Bronili się wszakże bohatersko, dopóki im stało ładunków; dowódzca po pas w błocie w które ich kozacy wpędzili, strzelał i rąbał dopóki ciężko ranny nie został w końcu ujętym.

Kilku innych jeńców dobito zaraz na placu; głównego wedle rozkazów miano nazajutrz w miasteczku powiesić... Posłano też co żywiej po pana burmistrza aby do dnia gotowa była w rynku szubienica i widzowie.

A że pułkownik znać obawiał się aby mu w jaki sposób więzień, choć ruszyć się niemogący nie uszedł; kazał go w drugim obok domu osadzić i strażą otoczyć do koła.

O tym jeńcu nic się dowiedzieć pewnego nie było można, Moskale dziwnie przekręcali jego nazwisko, a prawdziwe nawet, to jest przybrane na bój — niewieleby też nauczyło.

Ze strony Moskwy zginęło kilkudziesięciu żołnierzy, jeden oficer był lekko ranny i cieszył się już zapijając puncz z kolegami że pewnie dostanie — Georgia, albo przynajmniej Annę na szpadę, albo — ktoś to mógł przewidzieć... Georgia pragnął nadzwyczajnie!

Wesele z otrzymanego zwycięstwa nie tak było wielkie jakby się spodziewać można; z pierwszej utarczki z nieprzygotowanymi wnosili wszyscy iż bój niejeden jeszcze czeka ich zawzięty; trwożyły ich te kupki zbierające nie wiedzieć jak, snujące nie-

postrzeżone, łączące i rozsypujące po kraju który dla Moskali mało był znajomym a więc groźnym.

Pułkownik chodził więcej rozgorączkowany niż wesół, dyktował raport który miał wypisać, liczył straty i przeklinał. Spierano się o liczbę ludzi których podać miano za zabitych, ale koniec końcem ów zawsze powtarzający się oficer ranny i jeden żołnierz poległy poszli do urzędowego sprawozdania, resztę trupów zostawiono do dalszego rozporządzenia. Jest to niezłą rachubą mieć zawsze trochę nieboszczyków w zapasie.

Raport wzmiankował o ujęciu głównego dowódcy i o mającem się spełnić nazajutrz powieszeniu go dla przykładu... na rynku miasteczka. Ta wieść o szubienicy i dekrete doraźnym mocno dotknęła Jakóba; czuł obowiązek ludzki, jeśli nie ratowania nieszczęśliwego, to osłodzenia mu chwil ostatnich.

Gdy na dole przycichło nieco począł rozmyślać coraz goręcej, czyliby mu się co dla skazanego zrobić nie udało; zwierzył się téj myśli staremu. — Jankiel głową poruszył smutnie.

— Jak tam chcecie, rzekł, ale to się na nic nie przyda — a zwrócić może na was niepotrzebnie uwagę.... Mnie nic oni nie robią, wiek trochę a zresztą broni mnie to żem widoczniej ży-

dem... wy... zostańcie, ja pójdę poprobuję do pułkownika....

Jakób żałował już swój myśli, gdy Jankiel zapiąwszy czarny żupan, wzięwszy czapkę zszedł powoli na dół i zameldował się przez żołnierza jako gospodarz domu.

Pułkownik odpoczywał, ale wpuścić go kazał, leżał na kanapie wyciągnięty z cygarem w ustach, czoło miał chmurne.... Jankiel stanął u progu z pokłonem.

— Czego chcesz? spytał pułkownik.

— Nic... dowiedzieć się tylko czy tu czego nie potrzeba....

— Nic nie potrzebuję, gdyby było potrzeba sambym wziął, nie prosząc... Czas wojenny! wiesz.

— Wiem, panie pułkowniku....

— Nie było tu słyhu o buntownikach?

— Żadnego....

— Nie przechodzili tędy?

— Nie....

— O! wy tak wszyscy mówicie, bo trzymacie z nimi... żydzi téż! znamy was! kanalie!

— Byliśmy zawsze wiernymi monarsze.

— A czemuż nie łapiecie i nie dostawiacie buntowników?

— To nie nasza żydowska rzecz, panie pułkowniku, żyd jest człowiek spokojny, on się wojną brzydzi....

Pułkownik wstał z kanapy, począł chodzić.... Jankiel się mu skłonił i rzekł ciszej.

— Panie pułkowniku, rzekł, w naszej religii jest taki obyczaj, że gdy kogo w tém miejscu gdzie my mieszkamy tracić mają... my go nakarmić powinniśmy....

— Co? co? podchwycił wojskowy, gdzie? jaki obyczaj? Co gadasz? Nie ma takiego zwyczaju... kłamiesz.... Co ci do tego więźnia, co?

Przystąpił groźny.

— Jak śmiesz mi kłamać? wiesz że tego zwyczaju nie ma.

W istocie nie było zwyczaju, Jankiel popełniał pobożne kłamstwo, ale z kąd o tém mógł tak stanowczo wiedzieć pan Tendemann? Jankiel popatrzał nań długo i bacznie.

— Dla czego ty tak patrzysz na mnie? ofuknął się groźno wojskowy. Co co jest?

— Ja? tak! ja sobie myślę... jaki pan jesteś uczony iż wiedzieć możesz że takiego zwyczaju nie ma u żydów.... To pan pewnie nie czytał co mówi Rabbi Jehoszuah o niewolnikach....

Pułkownik zbladły stał naprzeciw starca, zdawało się jakby jakaś wewnętrzna odbywała się w nim walka; usta mu drżały, oczy zachodziły mgłą, oglądał się do koła, głos starca zdawał się na nim dziwne robić wrażenie. Chciał być złym, a coś go wewnątrz hamowało. Jankiel dostrzegł w nim to pasowanie się z sobą, ale sam jeszcze nie wiedział, czém je miał tłumaczyć.

Po chwili tego milczenia i walki, pułkownik potarł czoło, wstrząsnął się, niewiadomo czy tchnął całą pierśią czy mu ją westchnienie poruszyło gwałtownie — milczący począł się przechadzać.

Jankiel trochę zdziwiony stał ciągle przy drzwiach.

— No, czegoż stoisz? na co czekasz? odezwał się łagodniej nieco Tendemann, idź! idź!... niewolnik na śmierć przeznaczony nie obchodzi cię, godziny jego policzone....

— Panie, rzekł stary.

— Idź, mówię ci idź pókiś cały! zawołał pułkownik groźniej.

Ale w tém zbliżył się przechodząc do niego i cicho szepnął po niemiecku.

— Idź — ja przyjdę na górę....

Ostatnie słowa zmieszały Jankiela, który po-

kłoniwszy się odszedł, sam już nie wiedząc co o tém miał trzymać.

W téj niemczyźnie jak w twarzy, choć ukryty, był pewien akcent, jakieś brzmienie, coś co się kazało domyślać... żyda! Ale możnaż było w pułkowniku przypuścić Izraelitę? Myśl tę odepchnął stary, chociaż ściagała go uparcie i z nim razem weszła na wschody. Odprawił, nic mu o niéj nie wspomniawszy, Jakóba do jego mieszkania, sam czekał rozkołysany i niepewny. Wypadek cały jakoś bardzo się dziwnie przedstawiał.

Dobre pół godziny upłynęło na oczekiwaniu, wreszcie kroki dały się słyszeć na wschodach, które umyślnie oświecono lichtarzem i wszedł na górę, blady jak chusta, pułkownik... Oczyma ciekawie, łakomie rozglądał się po żydowskiem mieszkaniu. Można było posądzić że go tu coś ciągnęło, że miały dlań jakiś urok sprzęty, księgi, napisy, tak dziwnie oczyma je pożerał.

Byli sami, bojaźliwie jeszcze obejrzał się wojskowy i postąpiwszy na środek izby — rzekł podając rękę drżącą Jankielowi:

— Salem Alechem...

Stary o mało nie padł z zadziwienia, odpowiadając mu głosem wzruszonym.

— Alechem Salem.

I nastąpiła długa; straszna, grobowa chwila milczenia. Niepotrzeba już było dalszych tłumaczeń, pułkownik Tendemann był oczywiście żydem.... Ojciec jego czy on dla służby przyjęli powierzchownie wiarę prawosławną, ale pod nią nietknięta została stara mojżeszowa. Utopieni wśród goimów, obrani z pamiątek, usiłując pozbyć się wszystkiego co mogło pochodzenie ich przypominać, zachowali na tle duszy, iskrę niedogasłą przywiązania do swojej wiary i narodowości... tliła ona pod popiołami. Pułkownik usiadł widocznie poruszony; oczy jego się zwilżyły... Jankiel stał przed nim pogrążony w zadumie.

Miał przed sobą jednego z tych licznych odstępców jakich żydzi miliony dali wszystkim krajom w świecie — ale jeszcze zachowującego w głębi duszy uczucie przywiązania do izraelskiej swjej matki. Na twarzy jego widać było żal, tęsknotę, gorczyce przeżuwanych pamiątek... zgryzoty apostazyi. Możny, silny, przyjęty do świata zwycięzców, pułkownik płakał prawie że się rozstał i rozbratał z tą rodziną prastarą, nieszczęśliwą, do której krwią należał.

Długo zapewne tajone uczucie, w tej chwili za

zetknięciem się ze wspomnieniami buchnęło tak że go już powstrzymać nie mógł.

Nie mówił nic, nie tłumaczył się, wskazał tylko Jankielowi na drzwi a sam pobiegł do stołu gdzie leżała rozłożona księga i stanął przed nią jak wryty.

Od wielu już lat oczy jego nie spotkały się z temi głoskami, z tym językiem praojców. Od czasu jak stary ojciec potajemnie, zamknięty w izbie uczył go sam, płacząc, zakonu... od śmierci rodzica, wyszedłszy w świat nie trzymał w ręku ksiąg, nie słyszał dźwięków rodzinnego języka... był go spragnionym, chciwym, miał dlań urok dziwny, tajemniczy, porywający. Z razu charakter te jak płomieniste węże zwijały się przed jego oczyma, nic nie rozumiał, potem powoli jedno słowo wprowadziło go na tor, źrenice się otworzyły, dusza zasklepiona otwarła, czytał, rozumiał, zapomniał o wszystkiem w świecie, o dzisiejszym boju, o jutrzejszym męczeństwie, o kraju, o sobie, o miejscu w którym się znajdował...

Z tych oczów oschłych co się odoczyły płakać, łzy ciekły na księgę kropliste, żalu, radości, zgryzoty, boleści czy pociechy...

Ręce położył na stole, głowa opadła mu na piersi, czytał, połykał, nie żył życiem pożegna-

ném, przerwaném nagle, przeniesion był w świat inny, i czuł że doń należy.

Traf jakiś chciał, by księga rozłożoną była na modlitwie za umarłych:

„Ojcze miłosierdzia panujący na wysokościach; wspomnij w wielkości miłosierdzia Twego, owych pobożnych, rzetelnych i nienagannych w świętych zborach, którzy życie oddali na poświęcenie Imienia Twojego, którzy miłowani za życia, po śmierci nawet się nie rozłączyli, którzy byli prędzi jak orły i silniejsi jak lwy w wykonywaniu woli Pana. Oby Bóg nasz wspomniał ich na dobre z innymi sprawiedliwymi tego świata i wywarł Swą zemstę na nieprzyjaciółach naszych za przelaną krew sług Jego....“

Jankiel patrzył na czytającego zdumiony i płakał także wzruszony, ale dusza jego była nieco uspokojoną... Wielki cud stał się w oczach starca, drżał cały na potęgę Bożą, która z opoki serca źródło żywe wyprowadzić umie...

Pułkownik stał... skończył modlitwę i pochwycił drugą księgę i czytał znowu... jakby umyślnie dlań rozłożoną kartę (księga 11. Exodus. 34.):

— „Strzeżcie wszystkiego co tobie dziś rozka-

zuję, ja sam wyrzucę przed obliczém twojem Amorejczyka i Chananejczyka i Hetejczyka....

„Strzeż abyś nigdy z obywatelami ziemie onój nie miał przyjacielstwa, któreby tobie było do upadku.

„Ale ołtarze ich zepsuj, bałwany połam i gaje porąbaj...

„Nie kłaniaj się Bogu cudzemu, pan zapalczywy imie jego... Bóg zawistny jest...

„Nie czyn przymierza z ludźmi onych krajów, ani żony z córek ich weźmiesz synom twoim.“

Dziko uśmiechnęły się usta złamanego wspomnieniami człowieka, gdy nareszcie padł na krzesło bezsilny... Naówczas starzec powoli przybliżył się do niego i rzekł cicho:

— Pociesz się... Bał Teszubom Bóg odpuszcza i żałujących przyjmuje...

— Alboż ja wiem dziś, odezwał się cicho po niemiecku wojskowy... nędzny *meszumat*, czego bym więcéj żałował? tego com porzucił czy tego do czegom przyrósł? Na poły rozdzieliłem się i rozdarłem, rozdwoił się człowiek we mnie, i tu i tam ciągną wspomnienia, nałogi, obowiązki... Nie winien jestem żem wszedł na tę drogę, ojciec ją obrał dla siebie i dla mnie, dziś już do nich na-

leżę... A za starym moim narodem płacę... płacę dopóki dziki mnie szal nie ogarnie...

A drzę by kto pod tą skórą przyobleczoną, nową, nie poznał we mnie wyklętego żyda... a-bym litością dla brata się nie zdradził, miłosierdziem dla potępionego nie potępił... Dzieci moje już nawet wiedzieć nie będą, że w nich płynie krew kapłanów Izraela... niech nie wiedzą aby nie czuły, że są dziećmi zdrady.

— Bracie, odezwał się poufalej stary, korzystam z twoich łez i boleści a zapytuję was co z tym nieszczęśliwym zrobić chcecie?

— Z jakim? — z sobą?

— Z osądzonym...

— Nie mówcie o nim... nie ja, rozkazy wyższe go skazały... Zginie, dzień świtający będzie dlań ostatnim, inaczej być nie może... A biedny człowiek!

— Tak, dobrzeście rzekli, biedny człowiek... może matkę ma, rodzica, siostrę, żonę... Gdybyście z nim choć pomówić, dowiedzieć się dozwolili.

Pułkownik spojrzał chmurno...

— Po co nam to? co między nami a tym narodem wspólnego? Nie pamiętacież jak się z nami obchodził?

— Pamiętamy tylko, żeśmy się na jednej rozdzieli ziemi, rzekł Jankiel, a nieśmiertelny prawodawca nakazał nawet zwierzęciu ulżyć ciężaru, cóż człowiekowi, choćby poganinem był?

— Nie, nie, zawołał pułkownik, nie, ja jestem pod dozorem tysiąca oczów niechętnych, ja nie mogę nic — mnie także otaczają szpiegi. Przekupcie sobie żołnierzy wódką, groszem, to łatwiej — niech pójdzie kto chce do niego... ten motłoch za pieniądze zrobi wszystko...

I ze wzgardą rzucił ręką.

— Pozwolicie? ja pošlę mojego krewnego! Nic mu się nie stanie!

— Ja nie pozwalam! ja nie wiem! ja o niczém wiedzieć nie chcę!!

Jankiel zamyślił się długo, wyszedł na chwilę i powrócił do pułkownika. Ale już Jakób z dodanym mu żydkiem Herszkiem którego przezwano *Kręcielem*, próbował zbliżyć się do jeńca. Wdział na siebie suknię żydowską zwyczajną, Herszko w kieszeń wziął parę butelek rumu i wódki... Poszli.

Była noc późna, żołnierze spali, warta chodziła, tylko na ławie przed domem czuwał feldfelbel, ziewał, palił papierosy i kłął. Szczęściem trafiło się, o co nie trudno, że był pijanica nałogowy.

Fiedor Michajłowicz Szelmeńko spostrzegłszy dwóch żydów przechodzących i zatrzymujących się nieco przeciw niego, domyślił się że jakiś interes mieć muszą i że w interesie tym znajdzie rubla lub wódkę na dnie. Wszyscy spali, nie był od tego żeby czegoś nie zrobić... cichutko.

— Dobry wieczór, panie oficer, rzekł Kręciel. Wiedział on bardzo dobrze że feldfebel nie był oficerem, ale od czegoż rozum?

— Poszedł won... swoją drogą!

— A! jak panu tu nudno musi być siedzieć.

— Nu, pewnie nie wesoło...

— A na co pan siedzi?

— A co tobie..... do tego?

— O wa! z ciekawości...

Zbliżył się z kieszeni wydatnie ukazując szyjkę od butelki... Szelmeńko się oblizał i splunął.

— Dawaj tu to, żydzie niewiarno... krzyknął z cicha wyciągając rękę.

— A pan wie co to jest? spytał Kręciel, to jest rum... czysty rum *de Goja*... Jamaika... S. S. półtora rubla butelka! hę?

— Dawaj! niewiarno!

Rum był przemyślnie, odkorkowany, powąchał i ulegając pokusie łyknął.

— No — a teraz czego ty łajdaku chcesz? spytał.

— Panie oficer... ja tu jestem i z drugim żydkiem... Nam powiedzieli, a może to i bajka jest, że ten więzień co jego państwo trzymają, nazywa się szlachcic Bajkowski.... On wielkie pieniądze winien temu żydkowi... jemu się z nim trzeba widzieć koniecznie.

— Łajdaki, buntowszczyki! zawołał feldfebel, poszli won! nikomu nie wolno!

Kręciel zbliżył się i wsunął trzyrublowy papierek.

Ciszej już powtórzył...

— Nikomu nie wolno!... ale sciskał i pieniądz i fiaskę... nikomu!! słyszysz...

A po chwili szepnął:

— Chodź za mną!

— To nie ja, rzekł Kręciel, to ten drugi żydek.

— Wszystko jedno, niewiary! To mówiąc napiły nieco feldfebel poszedł z Jakóbem do drzwi, posłuchał pod nimi, otworzył je, wepchnął go i sam przed progiem stanął.

W izbie do której Jakób się dostał, było dosyć ciemno, paliła się wprawdzie wysoko uczepiona świeczka łojowa w latarni stojącej — ale ta

mało bardzo dawała światła. Z razu nic rozeznaczyć nie było można, kupa słomy leżała w pośrodku, a na niej coś ciemnego.

Miarkując że czas jest krótki i że to widzenie się z człowiekiem skazanym na śmierć, może dla niego być ważnem, Jakób zbliżył się do miejsca z którego ciężki oddech gorączkowy zdawał się dobywać, jakby konania powolnego; poruszył rękę opadłą, która wystawała...

Trącony lekko, pochwycił się nagle, i porwał z boleści za zranioną nogę, ale wnet opadł na słomę... tylko głowę trzymając podniesioną... Procyk padający na nią dał Jakóbowi zdziwionemu, poznać w więźniu — Iwasia...

Z włosami rozsypanemi w nieładzie, ze spalonymi usty i obłąkanemi oczyma... Iwaś zdał mu się nieprzytomny, był nim w istocie.

— Już czas? zapytał żywo, idziemy? nieprzyjaciel? gdzie nieprzyjaciel? Wstawać... I począł rozglądać się i przypatrywać Jakóbowi, którego czy poznać czy przypomnieć nie mógł. — Z trwożą i litością po oczach, ruchu, mowie, Jakób coraz mocniej się przekonywał że rana, gorączka, wzruszenie czy moralne cierpienie gwałtowne — zupełnie obłąkały Iwasia...

— Tak! idziemy! zawołał, natychmiast, ale ja sobie skaleczyłem nogę... ruszyć mi się trudno. He! to nic! pójdę ja dla tego aby na Moskala! No! wiara na nogi! i na konie... Dzień świta.

Obejrzał się trwożnie, Jakób mu szeptał.

— Iwaś! Iwaś! czyżes ty mnie nie poznał?

— He? spytał obłąkany, he? ktoś ty taki, powstaniec czy Moskal? czy szpieg psia jucha? Głos znajomy, czekaj no... Genua... Aqua Sola... Włoszka... Paryż... Bulwary, wszystko to się poplątało... Łuków... Kazimierz... Ja nie wiem ktoś ty taki.

— Jakób! Jakób!!

— A! Jakób patryarcha! no! rozumiem! Wiesz że przecie poszedłeś do powstania... A, jak mnie ta noga boli, boli...

— Iwasiu, zbierz pamięć, oprzytomnij! Mów, może co dla ciebie uczynić mogę...

— Ty, dla mnie? Możesz dać broń! daj broń, broń, broń! i ręk i ręk! i działo — jedno działo.

— Mój drogi, tyś zapomniiał... ty rannym jesteś, w więzieniu, w ręku Moskali, twe chwile policzone...

— Prawda... tak, przypominam sobie... Tak... wiem, biliśmy się, pobili nas... w lesie... Byłem

mocno ranny... Ale gdzież ja jestem, tu tak ciemno... Szpital? więzienie czy już grób... Czemuż mnie nie przysypią ziemią porządniej.

Jakóbowi serce się krajało.

— Ja cię ocalić nie mogę, rzekł, jesteś w więzieniu... skazany... ale mów cobym mógł dla ciebie uczynić? Mów, może co powiedzieć komu...

Głosu mu brakło. Iwaś zdawał się dumać oparty na łokciu.

— Wiem! wiem! rzekł. Tak jest... sny miałem przykre... Jutro mnie powieszają, słyszałem, gadali Kozacy, ale to mi wszystko jedno. A cóż mi to szkodzi? powrócę na świat w psiej skórce, będę ich gryzł... Towiański zaręcza za matampsykozę... to pewna rzecz... bo Towiański jest panem Bogiem w Zurichu... Dobrze że choć tam jest jaki taki pan Bóg, bo na świecie żadnego nie ma... Gdzieś się podział, niewiadomo, mówią że ze strachu przed Moskalami skrył się...

Jakób stał drżący i słuchał... prawie płacząc.

— Iwasiu mój, rzekł, ostatnie twe rozkazy spełnię świecie — niestety! tylko to mogę.

— Moje rozkazy, przerwał Iwaś, moje rozkazy: Do boju, wiara! do boju! na śmierć lub życie, oto moje rozkazy!

Ale już po boju... Czy bili się dobrze nasi? Ha? poginęli? wszyscy? wszyscy? a czemuż i ja tam od razu nie padłem... szubienica... Tak, mówiono mi już o niej, nowy, piękny stryczek konopny... powiadają że to śmierć lekka, chociaż nieco dławiąca, jak mocny tytuń turcecki. Ciebie nie wieszali nigdy patryarcho Jakóbie? ani nawet gdyś był w pierwszej skórze, wedle Towiańskiego? Nie. Ja także pierwszy raz będę powieszony, nie mam najmniejszego doświadczenia w téj mierze... Ale sprezentuję się przyzwoicie.

— Iwasiu, ty masz może krewnych, przyjaciół, braci... mów...

— Ale nie mam nikogo, nikogo, matka dawno umarła, a ta była ostatnia, jam był mały — nie było nawet za co krzyża postawić... Naznosiłem kamyków i pokładłem w krzyż na jéj mogile.. Ojca nie znałem, umarł jeszcze przed nią — rodzeństwa nie miałem, dalsi się wyparli, byłem nadto ubogi... Nikogo! Dużo braci a ani jednego brata... Nikogo! powiedzcie tym co zostaną jedno słowo moje, wiara — do boju!

— Nic więcej? nikomu?

— Nikomu... powoli odzyskując nieco przytomności mówił z cicha Iwaś, nikomu. Tak, bo po

cóż? Ja nie mam nikogo na świecie. Ale prawda! Słuchaj, na Grzybowie, wiesz ty tam starą szarą kamieniczkę, brudną, lichą, na czwartém piętrze, w małej izdebce, siedzi dziewczę zapłakane, patrzy może przez okienko... дума może, to Maryśka... biedna praczka... tak! praczka tylko, ale niegdyś za innego życia była niezawodnie królowną, chociaż o tém zapomniała... Ona mnie może kochała... powiedz jej żem o niej przed zgonem pomyślał... Ona mi z ostatnich swoich dwóch koszul dwie na drogę uszyła... Prawda, palce ma pokłóte ale duszę czystą, pocziwą, serce anielskie... Albo może nie mów nic lepiej, niech zapomni, pocieszy się z moskiewskim oficerem... biedna dziewczyna...

Zamilkł.

— Iwasiu, odezwał się Jakób, co chwila mnie ztąd wypędzić mogą, widzimy się raz ostani w życiu, zbierz myśli, opamiętaj się, masz może co do przekazania, do spełnienia, do polecenia.

Iwaś jęknął.

— Mam, rzekł, zemstę!! Zemstę! ale komuż ją oddasz? Piekącą jest jak żar, jakie ją ręce utrzymają?... Pusto, głucho, cmentarz wielki, bezludzie ogromne, na świeżo usypanej ziemi tańczą, a skrzypek nasz wiejski, nasz! nasz! przygrywa

niedźwiedziom do tanów... a pan Bóg przez okienko patrzy z niebios, wąsa pokręca i klaszcze w dłonie!...

— Iwasiu! zaklinam cię, zbierz przytomność...

— Co zebrać? ludzi nie ma? nieprzytomni!! kupka tylko, garść. Spodziewałem się tysięcy, a przyszło kilkudziesięciu, ale cóżem ja winien? bić się musiałem, biliśmy się mężnie aż do śmierci, no, i poginęliśmy do nogi... wieczne odpocznienie. Towiański zaręcza że przywdziejemy nową skórę byle nie moskiewską... bo jużbym wołał nie żyć.

Napróżno było chcieć co z niego wywołać, ilekroć odzywała się myśl zdrowsza, ból mocniej mu doskwierał, pisał, wiał się, tracił przytomność a oczy straszne, obłąkane wodził po izdebce ciemnej... Nawykły do milczenia suknią i słomą zapychał usta aby nie krzyknąć. — Widok téj męczarni był rozdzierający.

— Może chcesz księdza? zapytał Jakób, sam religijny, więc rozumiejący przedśmiertną potrzebę duszy zbliżenia się do Boga, do którego wrócić miała.

— Mówisz o księdzu? rzekł Iwaś, był ksiądz w oddziale, tegi frater, ale kulka go ugodziła w samą łysinę i — bryknął. Cóż ja zresztą z księ-

dzem mówić będę, nie spowiadałem się dawno, dawno, od czasu jak mi matuś ręce do pacierza składała... Bo po cóż, kiedy pan Bóg do Petersburga z wizytą wyjechał i nie ma go w domu... Cóż mi ksiądz powie? Po śmierci już nic nie potrzebuję, a umarłem tam w lesie przy swoich... toć przecie wiesz... Przywieźli tu tylko trupa... tego sobie powieszają i pochowają... że żywego nie... no! to ci ręczę...

Powiedz Maryśce żem jój koszulę miał na sobie i jój chustynkę na szyi... i medalik co mi go oddała... z Częstochowską... ale i Matka Boska nic nie pomogła... zabili mnie...

Przyszło na myśl Jakóbowi otrzeźwić go czémkolwiek, przypomniał sobie że miał w kieszeni flaskę wódki kolońskiej i potarł mu nią skronie... zwilżył usta, oblał czoło... ale to nic nie pomogło.

— Widzę że perfumujesz mnie, rzekł ze śmiechem dzikim, ale ja nie pójdę na wieczór... bo frak w zastawie... i waszych elegantów nie cierpią co w zębach dłubią nie jadłszy... na co mnie to? Nie myślę tańczyć chyba z kozakiem i kozaka...

To domawiając padł na słomę i coraz gorzej majaczył. Wyrywały mu się słowa piosenki i wy-

krzyki wojenne i obłamki starych pacierzy i przekleństwa, wszystko pomieszane, zgniecione w coś strasznie dzikiego i urągającego.

Jakób klęcząc podtrzymywał rozpaloną jego głowę, gdy feldfebel wszedł i za ramię go pochwyciwszy, wstrząsnął.

— No! poszedł won, stupaj! zawołał, dosyć tego rozhoworu.

— Janku mój, rzekł Jakób raz jeszcze niezważając na targanie żołnierza, ostatnie pożegnanie, słowo ostatnie... uściśnij mnie...

Obłąkany się podniósł nieco, ręce jego machinalnie obwily się na szyi Jakóba i łkając, rzekł nagle zupełnie przytomnie, chłodno, ale z uczuciem nieokreślonym.

— Ojczyzna!!

Potém opadł na słomę śmiejąc się i płacząc gorączkowo, a feldfebel chwyciwszy za barki Jakóba, wprost go wyrzucił za drzwi.

Tu czekał już na niego Kręciel, chcieli odchodzić, żołnierz męczył ich jeszcze dopóki coś nie wydarł i naostatek puścił...

Milczący powrócił Jakób do domu Jankiela, ale gdyby nie usłużny przewodnik nie byłby nawet trafił, tak było ciemno i pozamykano wszę-

dzie. Noc była późna, milczenie głębokie, tylko w izbie Jankiela starego cicha jeszcze trwała, tajemnicza rozmowa... Przestrzegł żydek stojący na straży Jakóba, aby nie wchodził.

Nierychło, gdy na wschodach usłyszał chód zstępującego powoli człowieka, i wybierał się do starego, sam Jankiel do niego wszedł. Starzec był blady, poruszony, zamyślony głęboko.

— Byłeś u skazanego? zapytał.

— Byłem, odparł Jakób, trafiłem dziwnie, jest to ten sam młody człowiek, przyjaciel mój, którego pomogliście mi ocalić.

Jankiel dłonie załamał.

— Ale, dodał Jakób, już nieprzytomny prawie, obłąkany, dogorywający, gorączka go trawi, szął opanował, prawie mnie nie poznał, mówił od rzeczy... rozdarł mi serce. Chciałem odebrać polecenie jakie od niego, biedny sierota nic mi powiedzieć nie umiał. Ostatniem słowem jego było:

— Ojczyzna!

Zamilkli oba. Jankiel nie zwierzył się wcale ze swęj długiej rozmowy z pułkownikiem. Siedli zmęczeni, jak ludzie co słowa sobie do powiedzenia nie mają a jednak rozejść się nie mogą.

Noc była ciemna, czarna, cicha... krzyki straży

tylko rozlegały się po miasteczku, niekiedy przytłumiony szcęk broni, z rynku dochodziły głosy i stukania, z których domysleć się było łatwo że stawiono szubienicę... kilka godzin jeszcze było do dnia, a stukot ten trwał ciągle.

— Chodź, rzekł wreszcie Jankiel, nie godzi się zasypiać w takiej godzinie, sen chyba dziecięce może skleić powieki... mężowie modlić się powinni... Weźmij księgę i przypomnij dzieje Izraela, abyś wiedział że nie pierwszy raz prawica Boża przez dzicz, przez nierozumną tłuszcę chłosta grzesznych.

Tak dobrowolnie do brzasku, pół czytając, na pół znużeni snem, przy dopalających się świecach dotrwali do zarania... Szary dzień wkładał się przez okna, a jeszcze stukot jednostajny siekier słyszać było... nareszcie ustał zupełnie...

Szubienica stała gotową...

Przez okno na rozjaśniającem się niebie wschodu sterczącą widać było wśród rynku wysoką szubienicę, ten widomy znak panowania moskiewskiego nad tą ziemią.

* * *

Wszędzie gdzie przeszli stanęły za nimi szubienice, gdzie stąpili zostawili za sobą mogiły, więzienia, zgłiszcz.

Inne narody wznoszą gmachy, świątynie, budują wodociągi, po nich stoją ruiny potężne jak oni, dzieła jak ich gieniusz wielkie — oni po sobie rzucają okruchy kajdan skrwawionych, turmy, mogiły i szubienice...

Albowiem są nie *biczem Bożym* nawet jak Hunowie Atylli, ale *szyderstwem Bożem* nad ziemią; narzędziem urągowiska Opatrzności z win ludzkich i grzechów naszych...

Mądrość naszą opanowują dzikiem barbarzyństwem swoim, dumę naszą i próżność łamią... u stóp włóczęgów bez imienia; cywilizacją naszą druzgoczą swém nieokrziesaniem; my wyżsi, więksi, świętsi stokroć nad nich skazani jesteśmy na to aby nas deptała noga rozpasanej tłuszczy co światła nie widziała... Albowiem, albowiem mocen jest Bóg — a gdy naród do wielkich przeznaczeń namąści a nie spełni ich — to go w taką kałużę jak nas rzuci z urągowiskiem.

Ale co będzie z narzędziem pomsty Bożej? ze ślepym biczem co nas smaga i w krwi się naszój nurza? Niech odpowiedzą aniołowie w niebiesiech... bo o tém nikt nie wie na ziemi... Wie tylko człowiek że śmiecie narodów wymiata wszechmoc Boska precz w przepaść zapomnienia.

* * *

Nadedniem hałas powstał w domu, słyhać było krzyki, łajania, groźby i przekleństwa. Żydek na górę wpadł przerażony oznajmując że w nocy więzień ranny umarł i wszczęła się o to wrzawa wielka, bo szubienica stała, a nie mogła zostać próżną... domagała się ofiary.

Nim rozwidniało należycie, wisiał téż trup Iwasia na drzewie... grozie moskiewskiej stało się zadosyć.

Lud wiejski i kupka mieszczan widziała trupa, a w nim godło zwycięztwa moskiewskiego.

Tego dnia gdy Jakób z rana ostrzeżony umknął ze swojego mieszkania, z południa pan Henryk wrócił do domu na śniadanie. Było w obyczajach ich że się zwykle o téj porze z żoną widywali, choć czasem na bardzo krótką chwilę. Wieczór nie zawsze się spotykali z sobą, a rankiem Henryk wyjeżdżał nim żona wstała...

Tilda od ostatniej rozmowy z Jakóbem spokojniejsza, zdawała się nawet tego dnia zdrowszą, rumieniec miała na twarzy.

— Prawdziwie jestem dziś zgryziony, odezwał się Henryk siadając do śniadania, zdaje mi się że moje zmartwienie i ciebie obejdzie.

Tilda podniosła głowę.

— Wiesz, dziś rano, jak się dowiaduję, sprawdziło się to co Mann od dawna przepowiadał... Jakób już miał być aresztowany...

Tilda żywo zwróciła się ku niemu.

— A! wzięto go! wzięto! podchwyciła bledniejąc.

— O! o! jakże cię to poruszyło! odparł śmiejąc się.

— Wcale się z tém nie taję... bardzo... ale mówże...

— Zdaje mi się że ktoś go musiał ostrzedz w porę... była tylko rewizya ścisła w domu, Jakób uszedł szczęśliwie.

— Dokąd?

— Nie wiem...

— No, oddycham, odezwała się Tilda, nic nie wiesz więcej o nim?

— Nic, sędzę że mając pasport, wyjedzie za granicę... Dziwny człowiek, nigdy nie zrozumieć go nie mógł.

Tilda uśmiechnęła się boleśnie, Henryk się prawie obraził.

— Znajdujesz to naturalnem? spytał.

— Bardzo, rzekła Tilda spokojnie, nie było i nie będzie na świecie dwóch sprzeczniejszych charakterów nad wasze, cóż dziwnego żeście się wzajem zrozumieć nie mogli?

Henryk namarszczył brew.

— *C'est très flatteur pour moi.* Mógłbym z tych wyrazów wyciągnąć wnioski niemiłe dla mnie, rzekł gorzko. Jeżeli ten tak spreczny ze mną człowiek

zasłużył u ciebie na całą sympatyą, cóż moim udziałem być może?

— Dajmy pokój tym tłumaczeniom, odpowiedziała Tilda zimno, uczucia moje dla ciebie znasz i więcej nad nie ani ci trzeba, aniś się starał pozyskać... *Restons en là.*

— Domyślam się reszty...

Zamilkli na chwilę.

Henryk wstał, spojrzawszy na zegarek uklonił się i wyszedł, potem nagle odedrzwi zawrócił.

— Moja droga, rzekł urażony widocznie. Gdy ci się już zbytnio to życie ze mną uprzykrzy — powiedz mi — nie chciałbym być przyczyną ani narzekań, ani mąk ukrytych...

Tilda spojrzała nań poważnie, powlokła wzrokiem, złożyła ręce, stała w milczeniu.

— Czy toby być miało oznaką, że ty cierpisz ze mną? zapytała.

Henryk się zmięszał.

— Naturalnie, rzekł po chwili, samo ciągłe wpatrywanie się w ten posąg cichéj boleści jakim ty jesteś, nie może mi być przyjemnem i szczęścia nie daje. Ale przyznasz mi że znoszę to rycersko.

— Masz mi co do zarzucenia? spytała.

— Smutek twój, chmurne oblicze, tyś widocznie nieszczęśliwa...

— Masz więc do mnie urazę, że samo to iż mam honor być twą małżonką nie czyni mnie najszczęśliwszą? Cóż począć, mój drogi, ja się odmienić nie mogę, ty innym też być nie potrafisz, ale związani jesteśmy ślubem przed obliczem Bożem, a z nim przyjęliśmy obowiązek picia z jednego kielicha, co weń los należy... nektary czy gorycze...

Henryk ruszył ramionami, popatrzał na nią, była marmurowo spokojną, łagodną, rzucił drzwiami i wyszedł.

Powóz czekał na niego przed gankiem, pojechał wprost do Wtorkowskiej. Panna była jeszcze samą, ale już gotową na przyjęcie gości, wystrojona, wonna, piękną i w humorze jaki się wdziewa do salonu... Podała poufale rękę Henrykowi.

— Wiesz pani nowinę?

— O! tych nie brak, jaką?

— Jakób musiał uciekać...

— Jak chcesz pan bym nie wiedziała, gdyby nie nasze stosunki z Sofronowem, z Hrabią, byłabym się przelekła śmiertelnie... Obstąpiono dom, trzęsiono, szukano... przebudziłam się ze snu, wśród

szczęku broni i biegania policyi po wschodach. Biedny pan Jakób wyjdzie na bohatera...

— Wszyscy mu ten koniec przepowiadali... *le voilà presque proscrit.*

Ruszyli ramionami oboje.

— Tyle razy starałem się go nawrócić, ale jest tak ekscentryczny! Przy Moskalach zawsze mówił co mu na myśl przyszło... Oni tego nie lubią, oni wymagają aby nawet przekonania ludzi korzyły się przed ich potęgą. Ja Jakóba żałuję, ale z nim nigdy jutra nie można było obrachować.

Zaczęli przychodzić i inni goście, Mann który padł na fotel buchając zmęczeniem; później kilku umiarkowanych i kilku z zamkowego towarzystwa.

— Wszyscy na ucho rozpowiadali sobie o Jakóbie.

— Przyznam się wam, rzekł Mann poufnie do swoich, że prawie się cieszę iż nas od niego uwolniono. Była to figura kompromitująca, a nie wiedzieć do jakiego licząca się obozu. Nie można się nim było posłużyć, nie słuchał nikogo, mówił, paplał do zbytku.

— Ale nie był on wcale rewolucjonistą! odezwał się ktoś z boku.

— To czemże był? zapytał Mann, ja nie wiem, rządowym nie był także, ani też naszym... Był sam

sobą, tacy ludzie zawsze padają ofiarą swego głupiego indywidualizmu... No! spodziewam się że mu tam nic złego się nie stanie.

— Żeby go tylko nie pchnięto do powstania.

— Nie spodziewam się, odpowiedział Mann, nie jest to człowiek czynu, prędzej myśli i słowa.

Na te wyrazy zbliżył się świeżo przybyły ojciec Tildy, pomieszany i niespokojny.

— Wiecie co o Jakóbie?

— Uszedł.

— A! to i ja przecież wiem, ale dokąd? Wystawcie sobie jak przykre mnie przejście z tego powodu spotkało... Wpadła do mnie rano jego matka... stara żydowica w muszkach i załóżce... śmiechy w domu, nieprzyjemność. Jeszcze trzeba wypadku aby na tę godzinę przybył adjutant księcia i spotkał ją w sali... Ja co się bronię jak mogę od tego żydowstwa... wystawiony byłem na taką awanją... burzę się cały. Lament w domu, płacz... ledwie się jęj pozbył! Nikt nie wie dokąd się udał? Matka zaręcza że za granicę nie chciał...

— Wkrótce zapewne, wtrącił z przekąsem Henryk, posłyszemy o bohaterskich jego czynach. Wiadać że laury Berka, którego tak pięknie naryso-

wał Kossak, spać mu nie dawały — chciał się zapewne dosłużyć drugiej takiej monumentalnej litografii.

— Najgorsza rzecz, rzekł Mann, że bądź co bądź, rzuca to cień na nas wszystkich, zmusza do płaszczenia się, do dawania dowodów lojalności, w chwili gdy te oznaki stają się coraz niewygodniejszymi. Licho go wyniosło... diabeł go tam denuncyował! Czegoż się od niego bali?

W téj chwili piękna Muza spytała Sofronowa, który właśnie wchodził, o Jakóba, ten udał tak ogromne, tak dobrze odegrane zdziwienie, iż naturalnie domyślać się było potrzeba, że doskonale był o wszystkim uwiadomiony.

Rozpytywał, ubolewał, obiecywał się dowiedzieć, słuchał, z zakłopotaniem widocznem. Mann po minie jego odgadł iż denuncyacya ze znanego mu źródła wypłynąć musiała.

— W terażniejszych czasach, dodał Sofronow, potrzeba być bardzo ostrożnym w mowie. Pan Jakób, o ile go znałem, nie zawsze tego pravidła przestrzegał, sądzę jednak że w każdym razie nie mu tak strasznego grozić nie mogło... najwięcej jeżeli czasowe usunięcie w głąb Rossyi... *mais on n'en meurt pas.*

Na tém skończyły się rozprawy, około godziny trzeciej wizyty przedobiednie ustały a Muza ziewając miała przejść do eksercycyi na fortepianie, gdy pani Wtorkowska weszła do pokoju poważna, milcząca, uroczyście obleczonea swém macierzyństwem; stanęła naprzeciw córki i wstrzymała już siadającą do grania.

— Słuchajże, proszę ja ciebie, musimy z sobą pomówić.

— No, mówmy.

— A tak, mówmy... Otoż Jakób podobno nie powróci, jego w rachubę brać darmo.

— Ja go dawno wymazałam z rejestru.

— Potrzebaż się naradzić...

— Byłyśmy zgodne...

— Ale jakże stojemy?

— Zawsze jednakowo... Henryk, który jest gorętszy niż kiedykolwiek... na pierwszym miejscu, za nim idzie Sofronow.

— Właśnie o tym Moskalu mówić ci chciałam... cóż z nim będzie?

— Człowiek doskonale odpolerowany po wierchu, spodem *on sent un peu le tartare*, majątek jakoś wątpliwy; charakter nadto miły w towarzystwie

aby w domu nie miał być ostry... Ja go nie bardzo lubię... Zwierzę zimne...

— Ale go nie zrażasz?

— A! niestety! my biedne musimy wszystkich oszczędzać.

— Ale bo o Henryku nie ma co mówić, rozwodu nie weźmie, a ona głupia, na złość nam, nie umrze. Nie ma suchot, jako żywo, pytałam ich doktora... zaręcza... ale znudzona, roznerwowana! Będzie ciągnąć Bóg wie wiele lat....

— Z Henrykiem, cicho, uśmiechając się poczęła Emusia — ja jestem w najlepszych stosunkach, on dla mnie nie ma tajemnic... Postanowił układać się o rozwód... Ale czy mama uwierzy, że ona słyszę, nie chce.... Byłam pewna że kochając Jakóba będzie najszczęśliwsza, doprowadziłam do tego bardzo zrecznie, na nic się nie zdało. Jakieś ma osobliwsze wyobrażenia o świętości niewiasty, o przysiędze, o małżeństwie, słowem powiadam mamie, nie chce rozwodu... *Des idées contre nature*.... Próbowałam jęć w dali ukazać szczęście, bo wiem z pewnością że się kochają — Angielka mi opowiadała dziwne rzeczy o nich... bo ich podpatrywała... Ale to jest jakaś miłość papierowa... niezrozumiała, mistyczna.

Zakochani co gdy mogliby się połączyć odpychają szczęście.... *Sont-ils bêtes?* Tilda mi się spowiadała z takich teorii żem o mało nie pękła od śmiechu... z nim znowu to i mówić o tém nie można.... Cóż na to radzić? Henryk mnie kocha, ale za mało ma determinacyi, boi się teścia...

— Już moje dziecko, kiedy z nim tak daleko zaszłaś, rzekła Wtorkowska, trzeba go nakłonić, niech raz wie czego chce, my czekać tak nie możemy....

— Ale bo ci Moskale, doprawdy! ten Sofronow czy Baworow, wypłacali mi sztukę zmuszając Jakóba do ucieczki! Po co go było straszyć... teraz nie wiem co się z nim stanie, a był nam tu potrzebny... Henryk, już do tego doszedł że z daleka przez trzecie osoby... kwestyi rozwodu z ojcem dotykał... ktoś tam go starał się wybać, Samuel nie byłby przeciwny rozwodowi....

Wtorkowska aż splasnęła w ręce.

— Co ty mówisz?

— Tak jest... ale on za warunek kładzie żeby Tilda zaraz szła za mąż.... Domyśla się jęj miłości dla Jakóba.... Inaczéj nie dopuści... a tu nam Jakóba sprzątnęli!

Matka i córka wzdychały.

— Mnie się zdaje, dodała Muza, że ja to jeszcze wszystko połatam, ułożę i wyjdę za Henryka.... Innych nie jestem pewną i... nie bardzo bym rada.

— Ale cóż to dla ciebie taki — wdowiec, bo to zawsze jak wdowiec! westchnęła matka.

— A! moja mamó, każdy z nich, odpowiedziała Muza krzywiąc się, dziesięć razy wdowcem jest... nim się raz ożeni....

— To, to prawda! Ale tu trzeba spieszyć! wołała stara.

— Ja już wiem o co idzie, zawołała Muza, pewnie mamie pieniędzy potrzeba... ja u Henryka pożyczę... a proszę mi dać czas.

Matka widząc córkę tak praktyczną, tak zresztą o przyszłość spokojną, uczyła się także uspokojoną.

....icze, 1863 Lipca ...

Tak niespodziewanie musiałem opuścić Warszawę, żem nawet nie mógł przyjąć przededrzwia wasze i pamięci się polecić. Byłem dniem wprzód spokojny, nie domyślając się nawet że mi co zagrażać może, z rana dano mi znać że czeka mnie więzienie, badanie, naturalnie w ostatku, co najmniej, wygnanie, choćby żadnej winy nie było, bo do téj się nie poczuwam. Poradzono mi ująć aby tych następstw uniknąć, miałem wstręt do ucieczki która zawsze upokarza człowieka, bo jakiegoś poczucia, przyznania się do winy, domyślać się każe — ale dziś, gdy rozpoznania sprawy spodziewać się niepodobna przy roznamiętnieniu obecném; prosty instynkt wskazywał potrzebę schronienia się. Tak uczyniłem z razu, nie przewidując jeszcze jak mną pokierują losy; człowiek nigdy sam siebie pewnym być nie może. Miałem potrzebę widzieć się ze starym ojcem téj nieszczęśliwej, która błąd swój taką

męczarnią i życiem przypłaciła, trzeba było żeby ręka przyjacielska gorzki ten napój mu podała. Pojechałem do niego. Droga do miasteczka, przeszła bez wypadku — co dziwne — ale nie unikałem niespodzianek bolesnych u celu podróży. Ledwie tu przybyłem, miasteczko zajęli Moskałowie powracający z wycieczki i wiodący z sobą jeńca skazanego na powieszenie. Pierwszy tu raz spotykałem się z owocami powstania.

„Nie mogę wypowiedzieć jak mnie przeraził ten stan rozprzężenia społecznego który wojna za sobą prowadzi. Przywykłem do życia normalnego społeczności cywilizowanych — nagle się znaleźć w położeniu w którym żadne prawo człowieka nie broni, gdzie własność, życie, cześć są na łasce silniejszego a niewykształconego żołdaka; okropnie. Byłem jakby cudem przeniesiony w te wieki w których o wszystkim siła i pięść rozstrzygała, здавало mi się że śniłem. Ale zamiast bohaterów tych wieków w których świat walczył o każdą ziemi stopę, zamiast mężów szlachetnych i boju heroicznego, widziałem tłumy wyjące pijano, którym dzikość prawie bydlęcy nadawała charakter. Zwycięzcy naigrawali się ze zwyciężonych w sposób nieszlachetny, pogański, rozzdzierający serce. O kilka

kroków odemnie siedział ten dla którego stawiono szubienicę. Cudem dostałem się do niego, wystaw sobie przerażenie moje, gdy w nim poznałem przyjaciela Iwasia, towarzysza włoskiej podróży. Na Aqua Sola w Genui był on ze mną.

„Ale znalazłem go w takim stanie, że mnie prawie nie poznawał, w gorączce, mówiącego od rzeczy. Napróżno starałem się go ocucić, opamiętać, biedny cierpiał straszliwie, a nim ostatnie uderzenie siekiery dokończyło szubienicy — nie żył. Bóg chciał by na słomie więzienną dokonał krótkiego żywota. Dla przykładu powieszono trupa.

„Otoż od czego się zaczęła podróż moja. Nazajutrz ranne dnia brzaski odkryły złowrogie ruśztowanie wzniesione naprzeciw kościoła, a na niem białym całunem obwiniętą postać tego który był przyjacielem mojego serca.

„Wyszli wkrótce Moskale, zostawując po sobie tylko tę szubienicę na pamiątkę. Około południa nadciągnął oddział powstańców z drugiej strony. Wyszedłem na jego spotkanie; było coś okropnego, przerażającego w tym pochodzie na śmierć ludzi, którzy wyznaczeni byli na ofiary... weszli cicho, kupką małą, z chorągwią naprędce zszytą, z krysomem namalowanym na niej orłem osadzonym na

ladajakim drzewcu, dzieci starój Polski uzbrojone
lichu lub niezbrojne wcale — większa część miała
tylko dzidy lub kosy, osmalane kije żelazcami za-
kończone. Na twarzach ich widać było heroizm po-
święcenia, blady, bez nadziei. Mówiąc z ludźmi da-
wali ją drugim, ale jój dla siebie nie mieli. Jak
gladiatorowie w cyrku mogli witać tłumy: *Morituri
vos salutant!* Nikt tylko odgadnąć nie mógł jaki
rodzaj męczarni miał ich ze świata zgładzić.

„Z szubienicy zdjęte już zastali ciało zabitego
Iwasia, ale rusztowanie stało w pośród rynku, gdy
oddziałek nadciągnął do miasteczka. Jadący przo-
dem dowódzca zdjął przed niem czapkę jak przed
krzyżem, wszyscy uchyliłi głów — milczenie było
uroczyste, jakby odmawiali modlitwę.

„Mieszkańcy popłoszeni z za drzwi, z pół uchy-
lonych okien, z za węglów spoglądali, nie śmiejąc
zbliżyć się do oddziału; choć do tego biednego orła
białego biło im serce, a oczy ujrzawszy go płą-
kały zarazem radością i trwogą.

„Smutne jakieś przeczucia otaczały tych ludzi,
ciężły nad nimi, ale męztwo nie opuszczało. W gar-
ści téj żołnierzy dobrowolnych znać było że szli
z przekonania, z uczucia, z pojęcia wielkiego choć
ciężkiego obowiązku.

„Tłum co się cisnął za głównymi dowódcami był tym tłumem który wszędzie garnie się za energią i siłą, pociągnięty ich urokiem — wielkość i powaga zdobiły kilka szczególnie obliczów. Widać w nich było męczenników niosących głowy swe i krew dla idei swobody, obluzganych potwarzą, skazanych na urągowiska ale nieustraszonych. Mamże się przyznać że widok ten napełnił mnie zarazem politowaniem, czcią i współczuciem?

„Może jeden z pierwszych, gdy wszyscy patrzący się wahali, podszedłem do dowodzącego. Poznałem go z twarzy z daleka, był to przyjaciel Iwasia, którego często widywałem w Warszawie, młody człowiek niepohamowanego zapału. Zobaczywszy mnie zdziwił się mocno.

— Co tu pan robisz? spytał. — Jestem od wczoraj, wypadkiem. — Co znaczy ta szubienica? — Wczoraj przybyli tu Moskale, odpowiedziałem smutnie, wystawiono ją dla konającego Iwasia, ale on zmarł w nocy i ciało jego tylko dziś obwieszono. — Janek zginął, zawołał dowódca, o mój Boże! jeden z najgorętszych naszych braci, ktoż go zastąpi? Słyszałem że wczoraj ich rozbito, myślałem że ocalał. Ostatni podobno widziałem się z nim i mówiłem, ale był w gorączce, nieprzytomny. Jedną

więcej ofiarą do rocznika krwi, rzekł potrząsając głową, ale ofiary konieczne! nie tracimy ani nadziei ani odwagi. Moskale więcej od nas są postrwożeni... A! gdyby broń była... Przerwano nam wkrótce rozmowę, oddział chwilowo tylko dla zaopatrzenia się przybył do miasteczka i natychmiast wyruszyć musiał; kilkunastu mieszczańskich chłopów i czeladzi przyłączyło się do niego, ten i ów wyniósł starą broń, zakopane od 1831 r. żeleźce, szablicę zardzewiałą. Wszystko to dawano ukradkiem, sąsiad oglądał się na sąsiada aby go potem nie doniósł, żywność wynoszono kryjomo, grosz ofiarowywano przez trzecie ręce, znaczniejsi mieszczańscy płacząc pochowali się. Po za łzami, entuzjazmem czuć było postrach, przewidywanie następstw.

„Patrzałem na tę scenę ze wzruszeniem i wystawiałem sobie jedno z ostatnich powstań izraelskich przeciwko potędze Rzymu. Wszystko tam tak samo być musiało, losy to naszej ojczyzny stariej powtarzały się w żywym obrazie, toż samo prześladowanie, bohaterstwo, ofiary, postrachy, także blade męczenników twarze, taż miłość ziemi, wiary, swobody.

„Nic mnie nie wiązało, nic nie wstrzymywało, nie miałem jak nie mam przyszłości, odepchnęli

mnie wszyscy, idea z którą szedłem do współbraci nie przyjęła się, może ją kto inny szczęśliwszy podejmie; łzy mi napelniły oczy, poruszyła się pierś. I ot jak powiedziałem sobie: pójdę z nimi; mogęż piękniejszą umrzeć śmiercią? święciéj zginąć jak spłacając dług krwi za braci moich?

„W innéj chwili mego życia możebym był się zawahał, teraz taką czczość w niém czuję, taki brak celu! takie zniechęcenie, że na pierwszą myśl tę odżyłem, krew popłynęła chyléj.

„Nie miejcie mi tego za złe, ani dziwujcie się temu że z góry nie wierząc w to powstanie, w ten odzew do siły; odmówiwszy grosza na ten cel, poświęciłem mu siebie i życie. Nigdy nie mógł podsycać rewolucyi przed jéj wybuchem, ale gdy nie-
szczęśliwy naród powstał, ujął za broń, gdy poczuł że potrzebuje nową kartę rozpacz y w dziejach krwią zapisać — obowiązkiem mym było stanąć tu za braci Izraelitów razem w szeregu i rzec: Oto jestem ja — żyd.

„Nie potępiajcie mnie, chcecie zrozumieć.

„Nie wierzyłem w powodzenie téj walki, jestem pewny i dziś zwycięstwa Moskali, nie dla ich liczby może, ale dla tego że naród nie cały wstrząsł swe kajdany, nie cały czuje jako jeden człowiek, roz-

dwojony jest, rozbity, zobojeźniały i, jak my, zarzewiał niewolą.

„Pomimo to, idę — dla tego żem żyd, dla tego abym dał świadectwo że połączenie się nasze nie było słowem ale czynem, że znaleźli się tacy co obok dających życie, przynoszą też swój żywot na ofiarę.

„Co się stanie zresztą, nie przewiduję, nie wiem, tegom pewny że śmierć musi mnie czekać w końcu, bo jęj szukać jest moim obowiązkiem; cud chyba ocalić może.

„List ten więc, przyjaciółko mojej młodości, jest jakby ostatnią wolą i prośbą ostatnią.

„Zaklinam cię naprzód miěj staranie i pamięć o matce mój, której do rozporządzenia zostawiam wszystko co miałem, dla sióstr, brata, rodziny. Przekaż moją myśl, posłannictwo moje, braciom moym w Izraelu; powiedz im że z innemi ludy iść powinni ku światłu i postępować, nie rzucając tablic prawa starych, które nam dał nieśmiertelny nasz prawodawca. Niech się otrząsną z tego co drugim zarzucają i wyżsi nad wiek będą, jeżeli chcą przodować ludzkości — do czego niegdyś byli przeznaczeni.

„Nie dumą świeżo wyzwolonych niewolników,

nie goryczą i nienawiścią do ludzi, ale łagodnością i wyrozumiałością wyprzedzać drugich powinni. Niech będą lepsi od innych aby potężniejszymi byli.

„Świat dziś już czuje postrach panowania naszego, a myśmy jeszcze do niego nie dorośli, bośmy z siłą nową przejęli wszystkie wady kast mających przewagę i czujących swą władzę. Pozbądźmy się ich, abyśmy się nie stali tem czem były dumne arystokracje rodu, feodaliści i panowie z Bożej łaski. Niech Boża łaska uczyni nas braćmi narodów i sługami, panujmy sobie tylko i namiętnościom naszym.

„Nad wszystko zaś nie wyrzekajmy się prawa i obyczaju, nie zapierajmy się narodu, nie odziewajmy się fałszem.

„Samiśmy upokorzenia naszego winni, siebie się wstydząc. Ci z których praojcami Bóg rozmaślał widomie, wysoko czoło między narodami nosić mogą. Ale to czoło promienne być powinno jak czoło Mojżeszowe, — nie dumą ale światłem, — i serce promienne dobrocią.

„Otrząsnijmy się ze zgniłych atheizmów dzisiejszych, wróćmy do jedyne go Boga naszego; wlejmy wiarę do pustych piersi które dziś zapełnia zimna chciwość i samolubstwo.

„Mimowolnie uniosło mnie pióro i chęć odda-

nia ci tego co mam, co czuję w sobie najlepszym — idei mojej. Ale ty ją już znasz i dosnuć potrafisz.

„Żegnam cię, losy nasze są w ręku Boga. Mamże z pokorą wyznać ci w końcu że mój heroizm dzisiejszy tobie w znacznej winienem części? Gdybyś mi była zostawiła choć nadzieję nadziei szczęścia — możebym pożałował życia i nauczył wyżej je cenić. Przypomnij ten wieczór w którym odpowiedziałś mi że niewiasta jedno ma serce, raz jeden tylko ślubować może. Od téj chwili i od godziny gdy moi współbracia otwarcie wypowiedzieli mi że nie dzielają przekonań moich, uczułem się niepotrzebnym nikomu.

„Nie żałuj mnie, nie trwoż się o mnie, umrzeć potrafię godnie, bez jęku. Cóż warto życie, gdy Bóg mu odejmie cele?

„Jutro wychodzimy ztąd. Kupiłem konia, rynsztunek, broń i idę służyć jako prosty szeregowiec, bo dowódców mamy aż do zbytku. Może za mną pójdzie który z moich współwyznawców; bo tu się krew nasza pomieszać powinna, aby nasz sojusz był trwały.

„Żegnaj mi, Bóg wielki, wiesz że dusza nie umiera, a czyste dusze w jedną lecą stronę... może się tam gdzie spotkamy.“

Rano pomiędzy innemi korespondencyami z poczty przyniesiono i ten list adresowany do Tildy. Pan Henryk opatrzył go bacznie, charakteru nie poznał, powierzchowność niezwykajna, papier, pieczętka uderzyły go, sam z nim poszedł do żony.

Tilda siedziała w swoim pokoju, czytała roz-targniona jakąś podróż, gdy mąż stanął przed nią i milczący wyciągnął ku niej rękę z tym listem.

— Co to jest za list? zapytał.

Ona się zarumieniła, poznała pismo, otworzyła żywo przebiegając oczyma.

— List jest od Jakóba, odezwała się śmiało i spokojnie — z pożegnaniem do nas wszystkich.

— Cóż się z nim dzieje?

— Nie wiem, czekaj.

Przebiegła znowu oczyma i krzyknęła.

— A! poszedł do powstania!

Henryk zaciąwszy usta, ruszając ramionami, chmurny zaczął się po pokoju przechadzać.

— Tego tylko brakowało, rzekł, ale można się było spodziewać. Wyrządza nam krzywdę niezmierną, rzuca na nas wszystkich podejrzenie że w sekrecie sprzyjamy temu szaleństwu, że do niego pomagamy! Ale czyż pewna?

Tilda odczytała mu kilka wierszy, nie zostawiających wątpliwości — głos jój drżał, a wzruszenie było widoczne, mąż z gniewem widząc ją całą listem zajętą, zapłakaną, odszedł chmurny.

Wieść o tém po cichu przezeń podana, od ucha do ucha rozeszła się wkrótce po całym mieście. Niektórzy jój nie wierzyli, inni się radowali lub smucili, w ogóle jednak Jakób który nie miał gorących przyjaciół, mało po sobie żalu zostawił.

Wieczorem, wedle zwyczaju, Sofronow przyszedł do Muzy, z miną tryumfującą.

— A widzicie, rzekł, wymawialiście nam żeśmy dopuścili tego pana, który tu stał na górze, podejrzewać o spiski, o toż ten pan, wiemy to z pocztę na której list jego czytano, poszedł już do powstania.

— Ale cóż znowu? zawołała Muza, pan żartujesz, on był najprzeciwniejszy rewolucyi.

— Ale gdy się stała, uczuł się obowiązany zaciągnąć pod jój sztandary. Tak pani moja jest

ze wszystkimi Polakami, widok chorągwi z orzełkiem jest dla nich nieprzezwyciężonego uroku.

Cóż pani na to?

— Nie wierzę, odparła Muza, *jusqu'a plus ample information*.

Jakby na wezwanie przyniósł ją Henryk przychodzący z kwaśną miną, nie przyznając się wszakże przed Sofronowem do listu, który pan pułkownik z rana miał w ręku, gdyż ważniejsze korespondencye sam przepatrywał.

Jeden może ojciec Tildy wiadomość tę przyjął z boleścią; zwykle niezbyt czuły, przywiązał się był wszakże do wychowanka; może też widząc co dzień niepodobniejszém szczęście córki, trochę na Jakóba rachował. Nie powiedziałwszy nic nikomu, zamknął wrażenie w sobie, ale tegoż dnia dobrawszy chwilę gdy Henryka w domu nie było, pojechał do córki.

Służący u drzwi z razu mu oznajmił, że była chorą i nikogo przyjmować nie kazała, ale ojciec w imię swych praw poszedł wprost do sypialni. Zastał ją z rozpuszczonym włosom, załzawioną, pieszącą, rozgorączkowaną, niepodobną wcale do tej marmurowej, posępnój a spokojnej Tildy, jaką była zwyczajnie.

Ujrzawszy ojca zawstydzila się dziecinnie, zmieszala. Wychowanie, życie nigdy ją nie zbliżyło do niego, nie miała w nim ufności, nie zwykła była otwartém doń mówić sercem, więc i lzy i obawę i swą rozpacz pragnęła utaić.

Ojciec usiadł milczący i posepny.

— Widzę że wiesz, rzekł po namyśle, co się stało z Jakóbem. Nie jestem ja zwykle sentymentalnym do zbytku, no — ale mi go żal. Przywiązałem się trochę do niego jak do dzieła rąk moich, jak do przybranego dziecięcia. Głowa szalona, poleciał na zgubę. Żal mi go, powtarzam ci, i rad bym go ratować.

— Lecz czyż można? jestże sposób jaki? ja nie widzę.

Ojciec chodził, namyślał się głęboko i kosztowało go snąć wiele, po raz pierwszy w życiu szczerzej się z dzieckiem rozmówić.

Stanął i wlepił w nią oczy.

— Nie ma dla mnie tajemnic, rzekł, choć nie o wszystkim mówić lubię, o wielu rzeczach nie chcę wiedzieć, a rozum każe milczeć, nie tykać ich; ale przychodzi chwila gdy rany śmiało dotknąć potrzeba. Dziś lub nigdy. Tyś go kochała i kochasz — on ciebie kochał. Myślałem z razu że to

miłość dziecinna, niespodzianie znalazłem ją trwałą, poważną, stałą, taką w jaką wierzyć nie zwykłem. Ty z Henrykiem nie jesteś szczęśliwą.

— Ale nieszczęśliwą nazwać się nie mogę, odpowiedziała Tilda.

— Lepiej ja to wszystko rozumiem, niż ty sądzisz, mówił dalej ojciec, Henryk istotnie człowiek nie dla ciebie, tyś rozmarzona entuzjastka, on pośpolity i praktyczny człowiek.

— Ale dobry człowiek.

— Przyzwoity, poprawił ojciec. Od niejakiego czasu tylko nadto się daje Wtorkowskim bałamuć. Jest tam po szyję w głupim romansie z tą przechrzcianką która go oszukuje, odziera i durzy. Nienawidzę go za to. Jednym słowem ci powiem, chcesz ratować Jakóba? ty jedna możesz tylko. Ja biorę na siebie twój rozwód z Henrykiem, on mu teraz będzie rad; wydam cię za Jakóba, możesz być po ludzku szczęśliwą. Jedno twe słowo zdolne jest go ocalić. Wyjedziecie za granicę, do Włoch, a za lat kilka gdy się to zagoi co oni tu zrobili, wróćcie. Przebaczenie wyjednamy, ja mam moje zasługi.

Tilda przysłała spłakana i pocałowała ojca w rękę.

— Ojcie drogi, rzekła, dzięki ci, nigdy jeszcze nie widziałam cię takim jak dzisiaj — ojcem! tak serdecznym dziecka przyjacielem, tak czułym dla Jakóba opiekunem; ale nie gniewaj się, nie mów żem szalona — a! to być nie może!

— Dla czego? spytał ojciec, dla czego?

Tilda zarumieniła się kryjąc oczy.

— Ja go tak kocham, rzekła, ty może nie zrozumiesz mnie, że taką jak dziś jestem, znużoną, złamaną istotą, napiętnowaną uściskiem tego człowieka — nie śmiałabym mu rzucić się w objęcia...

— W istocie jest to coś tak wyrafinowanego... że nie rozumiem cię, Tildo moja, rzekł stary. On ciebie kocha, ty jego... to są przesadzone sentymentalizmy niezdrowe... dzieciństwa! Serca się wazsze rozumieją, godzą dusze... czegoż u licha chcecie więcej!

Tilda westchnęła.

— Nie o takim marzyłam szczęściu.

— No, skargi to próżne, trzeba się ograniczyć tém co jest... Zgadzasz się, mów!

— Przeczytaj list jego, odpowiedziała podając mu go i przysuwając lampę, a potem odpowiem.

Samuel wziął papier i począł z uwagą czytać,

ona wyszła pocichu do nieoświeconego salonu z chustką na oczach, dumać i płakać. Gdyby się była umiała modlić?? Jakże czuła w téj chwili potrzebę tego zbliżenia się do Boga, które promień niebieskiego natchnienia ściaga na duszę! Ale ją wychowano bez Boga — ona ukradkiem tylko, od niedawna, poznała księgę psalmów z której niewiasty izraelskie czytać zwykły i księgę modlitw, którą jój Jakób był przyniósł.

Ale modliła się duszą. Z załamaniem dłońmi chodziła długo tak po sali ciemnej, myślała, walczyła z sobą. Godziż się go odwozić od ofiary? Jakże to będzie to szczęście które ja mu przynieść mogę??

Nagle wejrzała w górę... głos jakiś wewnętrzny jój szeptał.

— Tyś jego dziecięciem. — Niech wyrokuję ojciec...

Biedna nie śmiała zawsze wyrzec tych słów, które pragnęła by ktoś stanowczo wypowiedział za nią. Wstydziała się sama przed sobą słabości której uległa, serce jój biło gwałtownie.

— Ten list, zawołał stając w progu sypialni ojciec, potwierdza mnie w mojem przekonaniu... ty go możesz ocalić, tylko ty! A ocalić go przed

samym sobą, potrzeba, należy, dodał, bądź co bądź, niepraktyczny, dziwak, marzyciel ma jednak coś w sobie co go szanować każe, ma więcéj coś niż my wszyscy — głęboką wiarę i trwałe zasady...

— Ojczy, czyńże ze mną co ci się podoba, drżącym głosem pod zasłoną ciemności w której stała zawstydzona, rzekła pocichu Tilda, ja się oddaję tobie, jań dziecko twoje...

I rzuciła się do nóg jego.

W Samuelu drgnęło coś — jakby serce... miał jeszcze resztkę serca, ożyło.

— No, więc reszta będzie moją sprawą, rzekł żywo, pisz list natychmiast, chcę go mieć gotowym... pisz że będziesz wolną.. Niech postawi za siebie pięćdziesięciu czy stu żołnierzy, a sam wyrwie się z tego zamętu, ratując życie...

Mówił to szybko, gorąco, tak jak nigdy nie zwykł był mawiać, sam siebie nie poznawał, ale uczucie które nim poruszyło, dało mu téż szczęście jakieś, którego nigdy nie kosztował.

Wpuściwszy córkę do pokoju i nakazawszy jéj pisać natychmiast do Jakóba, sam na miejscu jéj, począł się przechadzać zadumany po ciemnym salonie...

Nigdy jeszcze Tilda nie widziała ojca tak rozpromienionym, zajęтым, rozgorączkowanym.

Odchodząc i całując ją w czoło, szepnął jój na ucho.

— Ani słowa o tém przed Henrykiem, całą sprawę ja prowadzę, żeby ci wzruszeń i cierpień niepotrzebnych oszczędzić, spuść się na mnie...

Wyszedłszy od córki, kazał pan Samuel jechać wprost do Wtorkowskich.

Wieczór był w całym blasku, Muza grała, Moskale obstąpiwszy fortepian trochę przy jego dźwiękach o powstaniu zapominali... Przybyły wcisnął się zręcznie, cicho do salonu i przywitawszy na uboczu zawsze zasapaną mamę, która assystowała czczym córki tryumfom dość znużona i niespokojna, szepnął jój poufale na ucho, niezwykle do zbytich ceremonii.

— Jak tylko będzie można... mam z panią na osobności do pomówienia w ważnym *dla was* interesie.

Stara wstrząsnęła się aż cała, obejrzała po gościach, a że była żywa, ciekawa i bardzo zbiedzona tém położeniem którego końca wyglądała na próżno, natychmiast szarpnęła go za rękaw.

— No to chodź do mego pokoju!

To mówiąc szepnęła coś córce na ucho, ta rzuciła okiem na gościa, coś już odgadła, powitała go uśmiechem ujmującym... Wtorkowska przebiła się potem przez gości skinąwszy na pana Samuela aby szedł za nią.

Byli w sypialni samój pani.

— Możemy mówić otwarcie? spytał przybyły.

-- Zmiluj się pan, proszę ja pana, jak najotwarciej.

— Nikt nie podsłucha?

— Uchowaj Boże, podnosząc ręce podchwyciła Wtorkowska, mów pan, mów... co się podoba.

— Moja dobrodziejko, począł gość, ja jestem człowiek prosty, kłamać nie umiem, komedyi grać odwykłem, u mnie każda rzecz jest interesem i jak interes się obrabia, jak najkrócej. Otóż, nietajno mi że Jejmość dobrodziejka jesteś kompletnie zrujnowaną...

— Cichoż!

— Cicho, ale tak jest, nie macie nic oprócz długów... Cała wasza nadzieja na wydaniu córki... O partya dla niej bogatą, stosowną, nie tak to łatwo. Wiem kogo macie na pierwszym planie.

Wtorkowska zalana gwałtownie potokiem wyra-

zów do których surowej nagości nie była przywykłą, zmieszana, osłupiała, słuchała.

— Ja przychodzę do Jejmości, mówił Nielitościwy gość, w dobrej intencji, z najlepszymi zamiarami, proszę mi wierzyć, ale otwarcie być musimy...

— Ale, proszę ja pana mego, co to pan wygadujesz...

— Wiem co mówię, i powiem wam na kogo głównie rachujecie.

— Ale my mamy kilku! poczęła przychodząc nieco do siebie Wtorkowska.

— Naprzykład?

— Hrabia Baworow.

— Moskal, goły... a choć z żoną nie żyje ale żonaty... U nich rozwodu nie ma... żona jego do klasztoru iść nie myśli, bo w Paryżu jój jest dobrze. A bez ślubu, zdaje się, córki pani Wtorkowska nie da?

— Ale, proszę ja ciebie, co pleciesz?

— Daléj? spytał Samuel.

— No, pułkownik Sofronow, ten jest okropnie zakochany...

— Tak jak oni się kochają! Ale Sofronow ditto goły, żyje z pensyi i z tego co kradnie. Ma dusz

wprawdzie kilkaset, ale na nich tyle długu że starczyłoby na 2,000. Miły, grzeczny, ale familią ma dumną, partya nieszczególna. Dalej, moja do-brodziejko?

— Radzca Pikuliński.

— Ale cóż to mi znowu pleciecie! zakrzyknął Samuel, czyż i to ma być pretendent! Ni z pierza ni z mięsa... stary, z pozwoleniem jak bót głupi...

— A kochany mój, proszę ja ciebie, prze-rwała Wtorkowska uniesiona zbytnią szczerością, na męża? cóż to szkodzi!

— Jest słusność pewna, rzekł gość, na męża to nawet przymiot czasami — ale najgorzej że Pi-kuliński na wiosce wartującej dwakroć, ma oprócz Towarzystwa półtorakroć długu prywatnego, co czy-ni mniej zera...

Pensya... niewielka...

Któż więcej? spowiadał Samuel.

Wtorkowska wyczerpawszy zapasy ciężko west-chnęła, dalej bowiem nie miała już kogo liczyć prócz pary młokosów vice-referendarzy rady stanu, nie mających nic oprócz tytułików, mundurzyków, protekcyjek i pensyjek, a o panu Henryku teściowi przynajmniej mówić nie wypadało.

— Dla czego pani ze mną nie jesteś zupełnie szczerą, rzekł gość, kiedy ja do pani z ojcowskiem usposobieniem przychodzę?...

— Ale bo, proszę ja mego pana, zkadże znowu ta jego czułość się bierze? zapytała stara oburzona nieco niegrzeczną natarczywością, nigdyśmy się tak bardzo nie kochali!

— To prawda i zapytanie jest logiczne, rzekł pan Samuel niezmiészany, powiem ci Jejmościuniu, że może ja mam w tém własny interes, który się godzi i z jej interesem... dla tego przychodzę z taką gotowością na usługi...

Wtorkowska patrzyła nań milcząca.

— Czemu pani, *à cocur ouvert*, nie wykrztusisz już inienia tego człowieka na którego i wy i córka rachujecie najwięcej, rzekł stary, czemu nie przyznacie się żeście mi zbałamuciły zięcia??

Wtorkowska wstrząsła się, zmięszała, ale zaczęła rękami machać, bełkotać i widocznie zbiła z tropu.

— Ale cóż to... proszę ja pana mego, ale cóż to gadać... pleść, nie wiedzieć co! ja nie wiem... bywa, no to cóż?... ale... zlituj się... proszę ja pana mego... drzwi zamknąć nie mogę.

— Jejmościuniu, jejmościuniu, ze mną trzeba

być otwarcie, *les bons comptes font les bons amis*, cóż wy myślicie z Henrykiem? mówił śmiejąc się stary. He? rachowaliście na suchoty Tildy, Jejmość nawet wypytywałaś doktora, ale ona ich nie ma! to darmo! a Henryk wam przypada doskonale boście go doprowadziły do takiego oszalenia z namiętności że gotów w przepaść skoczyć. Otóż, słuchaj Jejmość, córka moja nie może z nim być szczęśliwą... ja go wam odstępuję, bierzcie go sobie, ale doprowadźcież do tego, aby on sam rozvodu zażądał pierwszy. Tilda go nie proponuje, ja ją muszę ratować, macie mnie za przymierzeńca, daję wam Henryka na pastwę, róbcie sobie z nim co chcecie, byłem się ja od niego uwolnił... Otóż mój interes, *netto!*

Wtorkowska osłupiała z razu, potem zaczęła drzeć z radości i puściła się naostatek ścisnąć i całować przybyłego który uścisków niewiast dojrzałych nie będąc łakomy... aż się cofnął przed wylewem wdzięczności.

— Stój, Jejmościenniu, zawołał, przed laty dwudziestu to zapomnienie się byłoby mi bardzo miłym z jój strony, ale dziś spóźniliśmy się! Mówmy zatem na zimno... co myślicie?

— Mój dobrodzieju, poczęła żywo Wtorkowska

ocierając obfitą transpiracją którą wywołało wzruszenie, ja bez Muzy nic nie obmyślę... Za chwilę się goście rozejdą... czekaj tu... ona przyjdzie sama.

— Zgoda! ale zapalę cygaro.

— Ale dziesięć kiedy chcesz, zawołała w zapale Wtorkowska wybiegając i zostawując go w swęj sypialni zamkniętego.

W salonie jeszcze bawili goście, ale matka dała jakiś znak niepostrzeżony córce przesuwając się mimo nięj, Muzę w kilka minut potém głowa boleć zaczęła, skarżyła się na znużenie, grzeczni adoratorowie pobrali za kapelusze, w dziesięć minut rozeszli się wszyscy — salon był pusty.

Niepodobna wyrazić z jak gorączkowym pospiechem, matka natychmiast poczęła wtajemniczać Mużę w treść rozmowy swęj z gościem oczekującym w sypialni — zdziwienie córki gdy się o tém dowiedziała.

Stanęła cała rozpromieniona, uścisnęła matkę, zebrała myśli i śmiało weszła do pokoju. Na progu trochę ją fałszywy wstyd ogarnął, zastanowiła się, zrobiła twarz chłodną i osmutniałą i — wkroczyła poważnie.

Gość ją z rubasnością poufałą pozdrowił.

— No, rzekł, już mama pani mówić musiała o co idzie, mówmy otwarcie i po przyjacielsku.

— A! to rzecz tak bolesna! tak delikatna... tak!

— Dla mnie nic a nic nie bolesna... wesola owszem, rzekł Samuel, wątpię téż by i dla pani miała być bolesną. Delikatna w istocie, traktujmy ją delikatnie.

— Ja tak kocham Tildę!

— Dasz jéj pani prawdziwy dowód przyjaźni zabierając wcale niewygodnego męża... który panią kocha i dla niéj będzie lepszym...

Muza się zmieszała, zamikła! czuła potrzebę odegrywania wielkiej wstydlivosti.

— Kochana pani, rzekł Samuel, jeśli grać ze mną będziecie tę komedię wstydlivosti, sentymentów, nic nie zrobimy a ja sobie pójdę z niczém. Otwarcie i śmiało. *Qui veut la fin, veut les moyens.* Zastrasz pani Henryka Sofronowem, ja puszcę także wieść że się oświadczył, udawaj że się z tém kryjesz... doprowadzisz go do rozpacz. Naówczas nóż na gardło — mów o rozwodzie. Następczycie mu Manna na pośrednika do mnie.

— Ale to doskonale, proszę pana mego, to doskonale! zawołała matka.

— Zostawże mi pan to wszystko, odpowiedziała

Muza rumieniąc się nieco, plan dobry, jestem pewna, dodała z uśmiechem, że go wykonam nieźle i nie zawstydzę autora...

Dygnęła mu weselęj.

— Co do mnie, rzekł Samuel, wdzięczen bym wam był, gdybyście z tém wykonaniem się nie ociagały.

— Zrobim cò można.

— Jestem pewien, dodał grzecznie gość, że gdy pani zechce tylko, cudu możesz dokazać.... I zalotnie uścisnął rączkę podaną. Jeśli moja pomoc może się przydać na co, proszę mną rozporządzać.

Uklonił się i wyszedł. Matka odprowadziwszy go kilka kroków, wróciła i rzuciła się córce na szyję, płacząc, śmiejąc się, szalejąc. Muza nieco wstrzemięźliwsza w okazach radości, niemniej wszakże była rozpromieniona.... Część nocy spędziły na kartowaniu planów na jutro....

Niedaléj jak nazajutrz po mieście chodziła pogłoska że panna Wtorkowska pewnie wychodzi za Sofronowa, Henryk spotkał się z plotką i ruszył ramionami z razu, ale gdy się powtarzać zaczęła, szczegółami opatrzona... nie wytrzymał, poleciał do panny.

Muza przeciwko zwyczajowi przyjęła go zimno, smutnie, z pewnemi restrykcjami w mowie, jakby za język się kąsać była zmuszona.

Henryk postrzegł że coś w istocie mu zagrażało, a był tak roznamiętniony, oszalały, że o wszystkiem gotów był dla niej zapomnieć.

Rozmowa drażliwa jakaś, niesforna doprowadziła prawie do poróżnienia i kłótni; Henryk porwał za kapelusz, dano mu wyjść, ale się wrócił od progu, cisnął kapeluszem o ziemię, załamał ręce, był w rozpacz...

Na tę scenę gwałtowną weszła matka jak *Deus ex machina*, z morałami, z wymówkami, z gniewem za obelgę wyrządzoną domowi, córce, jój... Słowem wyrosła z tego cała scena niezmiernie patetyczna...

Żałujemy bardzo że nie wchodzi ona w ramy naszej powieści, ale czytelnik domyśli się łatwo że odegrana była z naturalnością wielką *e con brio*.

Henryk rozdrażniony do najwyższego stopnia, gdy mu dano do wyboru albo wyrzec się Muzy lub stać natychmiast o rozwód z żoną, dał słowo uroczyste iż nie tracąc chwili potrzebne kroki poczyni.

Nastąpiło pojednanie, rozczerzenie, oświadczenia, nieco łez niewidzialnych ale chustką batystową otar-

tych w porę, po wyjściu zaś matki, pocałunki i rada na ucho, aby oszczędzając sobie przykrości, Henryk użył przyjaciela Manna.

Wprost do niego udał się oszalały biedak, Mann zdawał się już przygotowanym, dał naukę moralną, wyłajał, z błotem zmieszał, ale sprawy się podjął.

Złamany, zmęczony, zbity Henryk powrócił do domu i rzucił się na krzesło czując prawie chorym.

Był u kresu swych pragnień gorących i tu — dziwnym fenomenem psychicznym, ogarniał go jakiś żal, przestrah, boleść; prawie się wstydził i przerażał tém co uczynił.

Ideał nowy, gdy o nim marzył i wystawiał go sobie na miejscu Tildy w swym domu, stawał mu przed oczyma groźny i straszny. Z nim razem pod dach namiętna wchodziła walka. Żał mu było cichój Tildy, o którą był spokojnym, którą musiał szanować, dla której teraz w przeddzień rozstania czuł jakieś przywiązanie, przyjaźń... uszanowanie. Nie kochał jój, a żałował.

Ale zawracać się nie czas już było.

A szczęście tak teraz wydawało się straszne... z tą córką, z tą matką, z tym szumem i blaskiem, któremi je otoczyć było potrzeba, z tą niewolą co się obiecywała razem z niemi...

Gdy w domu Wtorkowskiej radość panowała i tryumf śpiewano, Henryk w swoim gabinecie krył się zły i sam na siebie gniewny. Całą noc prawie przesiedział w krześle osłupiały, marząc. Lazury niebios zachodziły dlań chmurami czarnymi. Była tak płochą! tak zręczną! tak niepochwyconą i tak razem ze swemi wadami zachwycającą. Ostatnie pocieszało.

Nazajutrz rozstrzygały się losy wśród ciszy i tajemnicy. Tilda wyszła do śniadania drżąca i pomieszana, z obawą jakiejś sceny, ale Henryk zimny, skłopotany, nic nie mówił. Patrzył tylko często na zegarek i wkrótce wymknął się pod pozorem giełdy, interesów.

Na obiad przyjechał Mann, w gabinecie poszeptali coś z sobą tylko po cichu. Wszystko było już skończone, ojciec się zgadzał. Potrzeba było mówić wyraźnie z tą która jeszcze była jego żoną, choć węzły co łączyły już w duszy ich zerwane zostały... Na to się nie mógł zebrać pan Henryk odkładając na później, ona też milczała. Przy obiedzie było parę osób obcych, a pod sam jego koniec nadjechał pan Samuel, w zwykłym humorze, nic nie dając znać po sobie. Pora była piękna, ruszono się od deseru do ogrodu, ojciec wziął

córkę pod rękę i wyszedł z nią powoli na przechadzkę.

Kazał jęj wiaść kapelusz od słońca. Gdy się zbliżyli do furtki która wychodziła na aleje, pan Samuel ją otworzył, powóz stał przed nią.

— Przejedziemy się może! rzekł spokojnie, w alejach chłód miły.

Mało mówili z sobą.

Po półgodzinnęj przejażdżce, powóz ich zawiózł do pałacyku ojca, stanęli; Samuel całując ją w czoło, rzekł:

— Obejmujesz dawny swój pokój, tam już nie wrócisz, zostań ze mną.

Otoż jak w sposób bardzo prosty wszystko się skończyło, Henryk się nie pokazał więcej, Tilda swobodna, weselsza rozgospodarowała się ze swą Angielką w domu ojca, przypominając młodsze lata. Czekala wieści od Jakóba. Ale głucho było i cicho.

W kraju tymczasem wrzała walka, rozżarzała się straszliwie, trwała na przekór wszystkim przypuszczeniom i domysłom.

Wysłano nie jeden ale kilka listów różnemi drogami do Jakóba, ale czy je odebrał, co się z nim działo, nie wiedzano; odpowiedzi nie było żadnej; wszyscy dowódcy oddziałów a nawet prości żoł-

nierze przybrali nazwiska nowe; trudno się było dowiedzieć, rozpoznać w téj mieszaninie najdziwniejszych imion. Tilda smutniała, schła; każde krwawe starcie, klęska, zabójstwo, odbijało się w jéj duszy; każdy opis utarczki ją przerażał — ale w duszy głos jakiś mówił: Bóg go ocali.

Teraz już wierzyła w Boga.

Codzień spotykając ojca, szukała w oczach jego pociechy, nie znajdowała w nich przynajmniej powodu do nowéj trwogi. Tak przeszedł czas długi, aż do późnéj jesieni, wśród milczenia, nadziei, postrachów.

Kraj krwią oblany wił się w boleściach konania, gdy raz o niezwyklej godzinie wbiegł ojciec do pokoju córki, blady, smutny, ale z twarzą spokojną.

— Wybieraj się w drogę, rzekł po chwili, jedziemy dziś wieczorem — Jakób twój ranny leży w Krakowie. Rana nie jest niebezpieczną... oto masz list od niego.

Tilda krzyknęła i zemdląła, ale ją ocuciła radość, a w wieczór siadali na kolój, odbywszy pasportowe formalności i pociąg pędził ku staréj stolicy.

Epilog.

Było to nie dalej, jak w roku 1865. Dosyć liczne towarzystwo pań i panów powracające, jak się zdawało, z oglądania sławnych ogrodów Villa Pallavicini pod Genuą, zebrało się w sali znanego nam już Albergo della Grotta.

Ale tym razem zgromadzenie wyglądało cał inaczej niż przed kilku laty. Na pierwszy rzut oka poznać w niém było można ludzi dostatnich; żadnego z tych biedaków co to z głodu mdleć umieją, których fiziognomia sama niemiłe na kieszeni czyni wrażenie.

Włochy, które niedawno jeszcze heroicznego boju rozbitków wysyłały zebrać o schronienie, chleb, gościnę, odpoczynek i swobodę, pod nieba wszystkich krajów — Włochy których emigracyą świat przyjmował ze współczuciem dłonią bratnią, potrafiły dobiwszy się niepodległości tak urządzić, że

w nich teraz żaden prawie nieszczęśliwy wygnaniec schronienia, przytułku szukać nie mógł. Włochy wyszły na państwo porządne, prawowite, brzydzące się rewolucyami, a jeszcze bardziej rewolucjonistami lub posądzanymi że kiedyśby nimi *data occasione* stać się mogli.

Sami więc ludzie porządni, za pasportami legalnemi, nie potrzebujący gościny, mający swoje ojczyzny w kieszeni, znajdowali się na teraz w Albergo della Grotta, a gospodarz spoglądając na nich radował się rozumowi swojego rządu, który z monarchami wszystkimi już był w tak przyjaznych stosunkach, a tałatajstwu i włóczęgom granicę swoją od Szwajcaryi zamknął hermetycznie na klucz.

W tym kątku odosobnionym groty, gdzie mruczy cicho fontanna, do którego pospolity tłum docisnąć się nie ma prawa, nakryte było do stołu z wielką troskliwością, dla bardzo jakichś dostojnych podróżnych; gospodarz instynktowo, pewien będąc że się nie omyli, zwał samego pana Il Signor Conte, mówił o pani: Contessina.

Dla tego stolika dobyto flaszki najlepszego wina, postarano się o najpiękniejsze owoce, o najcieńszą

bieliznę i nieposzlakowane grabki świecące dziewczym stali polorem.

- Ale oprócz tego stołu honorowego inne też zajmowały kupki gości i pojedynczy przybysze, wcale przyzwoitej powierzchowności.

Wszystko te wyglądało zamożno, zamaszysto, dostatnio... same biesiadników głosy dźwięczne, śpiewne, harmonijne, i śmiechy perłowe dowodziły, że ci ludzie do wyborowych należeli, którym na świecie dobrze się dziać zwykło.

Z takimi też tylko i oberzystom dobrze!

Signor Gaëtano Firpo zacierał ręce i poprawił czapkę błogosławiąc czasy których dożył.

Dzień był skwarny, opatrywanie cudów villi Palavicini bardzo nużące, nie sposób po niem odpocząć gdzieindziej wygodniej jak w grocie.

Włochy przedstawiały się w całym blasku oczom podróżnych, morze grało swą symfonią nieśmiertelną, opowiadającą dzieje świata i dzieje ludzi, drzewa szumiały wtorując mu pocichu, pachniały laury, złościły się pomarańcze wśród liści ciemnych, a powietrze odświeżał powiew od wody, niosący z sobą woń orzeźwiającą słonych fali.

Czuć było wszędzie wesele, a jeśli kto tam jeszcze pomyślał o téj *povera Venezia*, która w go-

dach nie miała udziału, to pocichu i z rezygnacją z latami coraz rosnącą i umacniającą się.

W owej misternie oddzielonej części groty nad sadzawką, stolik nakryty oczekiwał jeszcze gości, którzy na górze nieco się z pyłu włoskiego otrzeć poszli. Przy innych stolikach już było dosyć pełno.

Przy jednym siedział osamotniony mężczyzna pięknej ale znużonej i pochmurnej twarzy, w którym nawet dobrym znajomym trudno teraz było poznać pana Henryka, co przed laty kilku tak wesoło przebiegał tutejsze gościńce z trzpiotową Gigante.

On to był sam, ale *quantum mutatus ab illo!* Spieszym uspokoić trwożliwych czytelników że bynajmniej nie stracił majątku, nie zubożał wcale — postradał tylko humor, ochotę do życia i ów zapał młodzieńczy z jakim niedawno spijał szumiący nektar żywota. — Patrzył on na Włochy nie widząc ich, ziewał, był blady, zamyślony, znękan — i sam jeden... Pismo święte powiedziało: *Vae soli*, było też mu jakoś bardzo biednie i bardzo smutno.

Drugim przy oddzielnym stoliku był dawniej nam znany cygan Stamlo Gako, jeszcze bardziej znudzony, żółciejszy i czarniejszy niż był, otylszy, ociężalszy, drzemający.

Trzecim naostatek znalazł się tu Gromow, którego chwilowo widzieliśmy w Warszawie z Lucią Colomi, chmurny jak inni, ale z zaciętością jakąś gniewną na twarzy, dumnie podnoszący czoło jakby się chciał urągać z niedoli. — Pięknej Włoszki już przy nim nie było; sam jeden, bawił się krusząc chleb w ręku, kosztując owoców które gniótł i przez okno wyrzucał — żaden mu się smakować nie zdawał.

Ci panowie siedzieli wszyscy spokojnie poobracani do siebie w cywilizowany sposób, to jest nie twarzami, gdy w dziedziniec zatoczył się powóz tyle obiecujący, że sam gospodarz, służba, wszystko aż do kuchcików wybiegło na jego przyjęcie.

Powóz najęty był w Genui, najwspanialszy z tych któremi hotel francuzki rozporządzał; znano po woźnicy w grocie, że woził tylko excellence i tych co po excellencku płacą.

W powozie tym siedziała kobieta w tak szeroko rozpostartej białej sukni, że gdy z jednej strony fałdy jęj wychodziły aż na skrzydła powozu, z drugiej okrywały całkiem chudego, suchego, przywędłego mężczyznę, który u jęj boku szczupło, przez kryzolinę wyznaczone mu miejsce zajmował.

Byli to oczywiście mąż z żoną; żona w całym,

wspaniałym rozkwicie młodości, wdzięków, elegancji, z poczuciem swojego bóstwa, jasna, tryumfująca, straszliwa majestatem rozbrykaną fantazyj, i mąż — przykryty fałdami sukni niedarmo, przynięciony jej wielkością i siłą, zbiedzony, nieśmęły, wycieńczony, przestraszony swym szczęściem... coś nakształt rośliny wyjętej z okładek zielnika w którym ją zdusiła ręka nielitościwego zbieracza.

Pomimo tej sprzeczności dwojga istot i oczywiście niższości męża, sługi i wielbiciela, typ mężki był wszakże, choć zawięzły, zasługujący na baczną przypatrzenie się.

Twarz wygolona, nigdyś pięknych rysów, straszliwie była wychodła, nosiła na sobie piętno straconej samoistności; widocznie czełek ten czémś potężny, czuł jeszcze wielkość swoją — ale ta dziś gasła, dogasała przy słońcu wschodzącym małżonki... obchodził właśnie tą powolną abdykacją...

Rysy oblicza szlachetne świadczyły że pochodził ze starożytnego rodu, to jest ze krwi tych co oddawna rękami na życie, w pocie czoła pracować odwykli. A że próżnowanie uszlachetnia (jeśli nie zezwierzęci), miał chudy człowieczek postawę zręczną, kształty mimo pięćdziesięciu kilku lat przyzwoite, dbale i umiejętnie utrzymywane. W zamian

za znikłą młodość, zyskał żywość obiecującą być nieśmiertelną. — Trzymał się prosto, nieco sztywnie, poruszał zręcznie mimno zeschnięcia, uśmiechał wesoło choć zdawał się w duszy smutny i zmęczony.

On pierwszy wyskoczył z powozu i z pospiechem a galanterią młodego chłopca podał rękę królowej, która naprzód pomyślawszy o zgromadzeniu fałdów szerokiej sukni, niedbale poczęła wydobywać się z powozu w którym leżała.

Na widok téj pani, która właśnie naprzeciw okna przed stołem pana Henryka odbywała to zwozustąpienie, Segel przez granaty i laury dojrzawszy bóstwo... zbladł jak ściana, rzucił się jak rażony ciosem niespodzianym... Chciał może uciekać, ale spostrzegł że w samych drzwiach spotkać by się musiał z wchodzącymi, stanął więc jak wryty, a po chwili upadł na krzesło z rezygnacją stoicką i uśmiechem szyderskim.

W téj pięknej pani starym znajomym nietrudno poznać ex-pannę Wtorkowską, Mużę, dziś panią baronową von Krieg, żonę bardzo bogatego spekulanta giełdowego, którego narodowości nikt oznaczyć jeszcze nie umiał. Jak o Homera miasta, o Barona mnogie mogły się sprzeczać kraje. Baron

von Krieg z pewnością był potrosze żydem, ale o tém wiedzieć nie chciał, słyszeć nie chciał, a nade wszystko starał się by ludzie zapomnieli; nie był Polakiem, to pewna, choć od bardzo dawna w Polsce zamieszkały i z niej pożywne ciągnący soki; nie ze wszytkiem był Moskałem, zwłaszcza za granicą, gdzie przed oberzystami za bojara uchodzić wygodnie, bo to obudza uszanowanie, — ale w towarzystwach czyni to człowieka do zapowietrzonego podobnym. Baron von Krieg mimo brzmienia nazwiska nie był też Niemcem, choć liczne z Germanią wiązały go stosunki familijne, pieniężne, sympatyczne... Gdzie owo swe baronowstwo złapał i za jaką operacją finansową, o tém nikt z pewnością nie wiedział.. Zapomnieliśmy dodać że u płóciennego surdueika podróżnego miał w dziurce cały pęczek różnokolorowych wstążeczek, a tylko błagania żony odwiodły go od zamiaru pierwotnego włożenia na szyję orderu orła niebieskiego czy zielonego, którego komandorstwo niedawno był otrzymał.

Zdaje się że dłuższe wykończanie téj fizyognomii byłoby zbyteczném.

Pojmujemy usprawiedliwione zadziwienie czytelników, którzy Muzę spodziewali się ujrzeć za-

ślubioną Henrykowi, ku któremu tak wielką czuła skłonność — ale, pan Bóg kule nosi; stało się inaczej.

Henryk rozwiódł się dla niej z żoną, oświadczył się, został przyjęty, uchodził tak dalece za narzeczonego że czasem do godziny trzeciej z rana przy bohdance przesiadywał, słowem był już na stopie przyszłego męża w domu; Muza tryumfowała, popisywała się nim, on się nią uszczęśliwiał, pysznił, gdy raz na przejażdżce Alejami do Łazienek Baron von Krieg ujrzał czarodziejkę. — Znał on dawniej panią Wtorkowską, ale zwykł był jęj unikać z powodu że miała zły zwyczaj spoufaliwszy się pożyczać pieniędzy, które potem jakoś zapominała oddawać; panny dawno téż nie widział... Świeżo był właśnie owdowiał po raz drugi i dał sobie słowo że słabowitej małżonki nie poślubi...

Muza go zachwyciła bujną wegetacją, która obiecywała życie, zdrowie, siłę... został od razu zachwycony, miłość uderzyła w niego piorunem.

Nazajutrz oddał im wizytę, matka się przestraszyła, Muza zręczna od razu wszystkie możliwe obrachowała następstwa. Baron był dziesięć razy od Henryka bogatszy — i stary!! i Baron!...

z niezliczonemi, najwykwintniejszymi stosunkami w świecie kosmopolitycznym i finansowym!!

Dobrze wychowany, postać przyzwoita, dom na wielkiej stopie... partya olbrzymia; Muza przy pierwszych odwiedzinach pojęła wielkość zadania, wysiliła się — zwyciężyła. . Padł Baron... chciałem już powiedzieć na wszystkie cztery nogi, ale przypominam sobie że nie miał ich tylko dwie, dość że padł na twarz...

Przyjechał nazajutrz, pojutrze rano, na wieczór, przychodził codziennie, wesele z Henrykiem dla niezmiernie ważnych powodów odłożoném zostało... koronki z Paryża nie przyszły...

Niecierpliwy Baron von Krieg uderzył na matkę... Nie tała mu że z Henrykiem było po... zaręczynach... ale jednakże, ułożyćby się było można, skandal tylko i przykrość tego zerwania wypadało opłacić... Wymożono na Baronie zapis znaczny, warunki nader korzystne... wszystko to odbyło się w ciszy, a dopiero rozmyślano o zerwaniu z Henrykiem, który się wcale ostatka nie dorozumiewał i śmiał się z Barona, którego uwielbienie nazywał musztardą po obiedzie.

Tu pani Wtorkowska rozwinęła genialny dar... załatwiania przyzwoitego nieprzyzwoitych spraw.

W przestankach i międzyaktach małżeńskiego żywota, a płomienistój miłości ku Muzie, pan Henryk miewał, obyczajem powszechnym, różne przystępy teatralnych fantazyi. Jedna zwłaszcza powietrzna istota, prozą mówiąc baletnica, stałój go jakoś potrafiła przyszyć do gazowego fartuszka... Od lat dwóch pono bywał u niój ciągle, a złe języki utrzymywały iż węzeł ten, tém się stał mocniejszy, że go niebiosa pobłogosławiły. Starając się o Mużę, Henryk spędzał wieczory u pięknej Frani... wszyscy o tém wiedzieli. Powóz jego widywano przed jój mieszkaniem.

Użyto tego gorszącego postępowania za pozór dobry do zerwania, stara Wtorkowska wystąpiła jako matrona na straży obyczajów u domowego ogniska — mimo burzy, gniewów, namiętności, odgrożek, bo Henryk istotnie rozkochany był w Muzie, a Franię tylko z nudy i nałogu odwiedzał. — Wtorkowska troskliwa o sławę... zmusiła (tak mówiła sama) córkę do odesłania pierścionka. Emusia odegrała rolę biernój ofiary....

A! ten pierścionek zaręczyn... niestety! był brylantowy, sam Henryk się przyznał, w chwili wywnętrzenia, że za niego zapłacił w Paryżu dziesięć tysięcy franków; soliter przepyszny, osadzony ma-

łemi uśmiechającemi się brylancikami półkaratowymi... ale trzeba umieć czynić ofiary dla obyczajów i cnoty!! Odesłano go wraz z safianowém pudełeczkiem... Baron natychmiast zaręczył się (pokazano mu ów soliter przypadkiem dla wzbudzenia przyzwoitój, szlachetnej emulacyi) pierścieniem zapłaconym 25,000 franków i kupionym u człowieka zrujnowanego, więc wartującym najmniej trzydzieści.

Henryk odprawiony tak obojętnie, uwłaczająco dla jego miłości własnej — był spragniony zemsty, bluzgał, plótł, rozpowiadał niestworzone rzeczy, takie nawet którym nie chciano dać wiary... ale tymczasem Baron von Krieg, który to przyjmował obojętnie, odważnie poszedł do ołtarza... Czysta miłość dwojga kochanków z nad brzegów Wisły została uwieńczoną kwiatem pomarańczowym, i od kościoła państwo młodzi wyruszyli za granicę, bawiąc odtąd w różnych stolicach, wódach i po wszelakich gościńcach.

Najsmutniejszy los, najczarniejsza niewdzięczność spotkała nieszczęśliwą Wtorkowską od zięcia i córki. Uznano że nie było sposobu trzymać ją w domu i sadzić w salonie, Baron bez ogródki powiedział przyszłej żonie że była kompromitującą. Córka po-

święciła rodzicielkę ze stoicyzmem rzymskim. — Zlikwidowano długi, opłacono je do grosza, a Wtorkowskiej naznaczono pensyjke dość szczupłą, aby nie podsycać jęj marnotrawstwa (w widokach moralnych), zapowiedziano iż nadto grosza mieć nie będzie... i pożegnano ją bardzo grzecznie, dając do zrozumienia iż z córką tylko prywatnie komunikować się będzie mogła. Z razu Wtorkowska, która marzyła o towarzyszeniu Emusi, o podróżach, o prowadzeniu ich domu, osłupiała, krzyczała, protestowała, ale Baron był jak nóż ostry i milczeniem zbył wszystko, niewzruszony. Muza znów odegrywała rolę bierną małżonki posłusznej.

Biedna Wtorkowska odchorowała zawód, ale cóż począć było? Najęła sobie mieszkanie na Podwalu i porobiła stosunki zapewniające wiseczka i ckarte wieczorami, a towarzyszkę zawsze świeżą, młodą i wesołą, czasami dwie nawet... dla odpędzenia nudów. Dom jęj nawet dosyć był uczęszczany, choć nikt się nie lubił przyznawać że tam bywał. Sofronow, hrabia Baworow, kilku młodzieży, kilku elegantów starych, pozostali jęj wiernymi w nieszczęściu.

Ale to już do historyi naszęj nie należy.

Można sobie wystawić jak niemiłym musiało

być spotkanie Henryka z Muzą dla stron obu — ale mogliż przewidzieć? ktoby się był podobnego trafu spodziewał?

W chwili gdy Baron z Baronową wchodzili do groty, oczy Emusi padły na Henryka, poznała go, zmieszana się, z lekkim okrzykiem chciała naprzód cofnąć; w tém Henryk niezmiernie grzecznie się uklonił, przybrał twarz wesołą, uśmiechnął choć zgniłym uśmiechem... przyzwoitość nie dopuszczała robić historii... weszli więc Baronowstwo, na uboczu natychmiast stół dla nich przygotowywać zaczęto.

Głuche milczenie panowało w sali.

W téjże prawie chwili dwoje ludzi ubranych skromnie, ale wyglądających na parę bardzo przyzwoitą, z dystynkcyą która nie zawsze samego rodzaju jest udziałem, weszli do owéj kryjówki i stołu wcześniej dla nich przygotowanego ze szczególną troskliwością. Był to Signor Conte, ale mówiąc wyraźniej, Jakób i Tilda. Byli tu niewidziani, sami. Tilda uśmiechała się czarodziejskiej grocie, Jakób jój rozповідаł pierwszą w niéj bytność swoją.

Głos Tildy, która wesoło coś przemówiła śmiejąc się do męża, znowu Henryka raził jak piorun,

myślał że mu się przysłyszało. Niespokojny, nie wiedząc z kąd ten dźwięk wychodził, był pewien, drugi raz usłyszawszy go, że się mylić nie mógł. Odrętwiał. Była jakaś fatalność w tém równoczesném prawie spotkaniu dwóch istot, z których jedna przypominała mu utracony spokój, druga zmarowaną nadzieję, obrażoną krwawo dumę. Ale nie widział Tildy... głos ten jakby z obłoków spadał i tém przykrzej go razik. Chcąc się przekonać z kąd pochodził, wstał i poszedł do końca groty, gdzie stół i kątek ów ukryty widać było... zobaczył ją i osłupiał znowu.

Oczy Tildy w inną były zwrócone stronę, uśmiechała się do męża, coś mu szepcząc po cichu, Jakób ją w rękę całował. Henryk niepostrzeżony mógł się wpatrzeć; widział ją odmłodzoną, szczęśliwą i piekło w piersi mu zawrzało. Wszyscy byli szczęśliwi! wszyscy, on jeden... Uśmiech szatański, gniewny wykręcił mu usta; powoli wlokąc się z dziękciem wejrzeniem powrócił na miejsce swoje.

Ale srebrny ów głos Tildy nie jego tylko zwrócił uwagę, poznała go Muza także, uderzył jój ucho, odbił się może w piersi; natychmiast po ustąpieniu Henryka, pod pozorem oglądania groty, posunęła się ku jój otworowi.

Poznała przeczutą przyjaciółkę, wykrzyk niecierpliwości z ust się jój wyrwał i doszedł do uszów pani Jakóbowej... zwrócili się oboje i przez szadawkę, po za murkiem stalagmitów, ujrzeli Baronowę...

Nic ich nie dzieliło.... Baronowa usiłując zawiązać dawny przyjazny stosunek z przesadzoną czułością zawołała:

-- *A! cette chère Tilda! a! Dieu, quelle rencontre inespérée, heureuse...*

Było to w istocie spotkanie jakie się na świecie trafia rzadko, częściej podobno w powieściach, ale prawda bywa tak czasem nieprawdopodobną!! Los lubi figle płać w chwilach niespodziewanych... gorsze daleko nad te....

Nie tak bardzo rozradowała się pani Jakóbową widokiem dawniej ex-przyjaciółki, dla której od niejakiego czasu zbytniego nie miała afektu, ale znajomość ich sięgała epoki szczęśliwej krótkich sukienek, miłe zawsze zostawiając po sobie wspomnienia.

Przyzwoitość, grzeczność kazała się zbliżyć, Jakób choć zmięszany nieco, natychmiast po wymienienie pierwszych przywitań, rozkazał stół przenieść do osobnej sali. Wcale się nie spodziewał że

ich tam czeka widok, nowe spotkanie dla obojga przykre, zasepionej twarzy Henryka.

Henryk na złość szczęśliwym siedział jak widmo, choć go bolało i postanowił truć ich do końca przytomnością swoją.

Gdy Tilda spiesząc na spotkanie Baronowej we drzwi sali weszła, Henryk już czatował na nią; zobaczyła go prawie pierwój niż przyjaciółkę, pobladła, zawahała się, chwyciła rękę Jakóba, ale on mężnie znosząc ten cios, poznawszy Henryka, skinął nieznacznie na żonę, prosząc aby nabrała odwagi. Weszli na salę...

Położenie wszystkich było niezmiernie drażliwe, ale z placu boju nikt zwyciężonym się uznając, uchodzić nie chciał. Tilda cierpiała widocznie, ten cień, to wspomnienie żywe bolesnej przeszłości, o której zapomnieć pragnęła, nielitościwie ją uciśkał. Dla Jakóba nieznośnym był widok Henryka, czuł ile Tilda cierpi i burzył się.

Ale właśnie dla tego że przytomnością swoją dokuczał wszystkim, Henryk jak najuparciej pozostał, z tą złością ludzi zboliałych, pił jakiś rodzaj rozkoszy mściwej, patrząc jak na widok jego twarze bledły, czoła chmurniały. Z cynizmem rozpaczcy udawał wesołego, kazał sobie podać winą,

wychylił duszkiem szklankę, zapalił cygaro i powitawszy Jakóba i żonę jego, zasiadł przyglądając się dawnym znajomym, piec ich wzrokiem i uśmiechem.

Baronowa ze zręcznością sobie właściwą, niby go nie widząc, niby zupełnie obojętną, choć drżała z gniewu i strachu, poczęła się sama krzątać około połączenia obiadów; małżonek ją wyręczał udając zwinnego i pełnego krzepkości młodzieńca, choć pod nim nogi dygotały. Rozumie się że dla Jakobowstwa był grzecznym bardzo, ale o jego charakterze powstańczym nie wiedział jeszcze, boby go to było odstraszyło, widział w nim tylko to, co się zowie w języku salonów *un homme du monde*.

Słudzy natychmiast przenieśli z zakątka groty przygotowanie obiadowe do sali, pozsuwano stoły i wspaniałe *brodo* ukazało się na pierwsze danie.

Henryk widmo, siedział jak przykuty; cieszyło go, że jak cierń im w nodze zawadzał: coraz stawał się weselszym.

Tilda co chwilę uciekała się do wody postawionej przed nią, nie śmiejąc oczów podnieść, aby szatańskiego wejrzenia nie spotkać. Baronowa paplała żywo, wiele, a w gorączkowym jéj głosie czuć było rozdrażnienie nerwowe kobiety, która

się wysila, i cierpi i gniewa. Pomimo chłodu i panowania nad sobą, cała była drżąca.

Baron równie nieprzyjemnie rażony został widokiem Henryka, który mu wiele dokuczył, z którym gwałtownie zerwał, którego nienawidził, ale na to był Baronem von Krieg, aby nie pokazywać nigdy co się działo w duszy. Z tytułem razem otrzymał *grutiae status*, chłód i dystynkcyą arystokratyczną. Kto go lepiej znał, mógł po tém jedném poznać zakłopotanie, że mu chwilowo zasychało w gardle i silnie odkaszkliwać musiał, aby przyjść do głosu.

Zanosilo się tedy na scenę bardzo dramatyczną, ale wybuchu nie można się było lękać mając do czynienia z ludźmi przyzwoitymi, którzy, jak dobrze wychowane bonończyki, nigdy w salonie żądnych się nie dopuszczają nieprzyzwoitości.

Porównanie to nie jest wcale złośliwém, nie uwłacza ono nikomu, bonończyk jest istotą szlachetną...

Podano więc *brodo*, ale mimo jego zalet, oryginalności zupy w której nie było polewki, mimo głodu po podróży, nikt apetytu nie miał, łyżki puste chodziły od ust do talerzy, dla formy. Za to rozmowa gorączkowo się ożywiała.

Gromow temi wykrzyki rozbudzony z zadumy, popatrzał na stół, przypomniał Jakóba, a poznając go, pełen zdziwienia wlepił w niego oczy.

Cygan się już od kwadransa uśmiechał, przypomniawszy także spotkanie przed kilku laty.

Lecz jakże inny teraz był nastrój umysłów i rozmowa!

Gromow siedział długo zapatrzony, aż i Jakób go wreszcie dostrzegł i poznał, skinął mu ręką, witając po włosku.

— A! zawołał, co za traf, wy znowu tutaj!

— A znowu! odparł Gromow, jak widzicie i nieweselszym jak przed laty.

Baron niespokojny zapytał Jakóba pocichu: kto to jest?

— Rosyanin.

Baron lubiący bardzo Rosyan, szczególnie dystygowanych, a dobrze położonych u dworu już był gotów robić znajomość, gdy Jakób dodał z cicha: *Un proscrit!*

To wstrzymało Barona, który był człowiekiem porządku i nie wdawał się nigdy z tego rodzaju awanturnikami; z ukosa nań spojrzawszy, poczuł jakieś zakłopotanie i w duszy sobie rzekł:

— *Mais que suis-je venu faire dans cette galère?*

Pocieszyło go to że przecież wiecznie tu pozostać nie mieli.

— Państwo także podróżują? zapytał Baron Jakóba.

— My, z musu, odpowiedział Jakób, ja byłem... w powstaniu, zostałem rannym, z Austrii kazano mi wyjechać, szukam gdzieś spokojnego kąta, gdziebym mógł do sił przyjść trochę. Nie jest to dla nas tak łatwem jak się zdaje. W ogóle, wyjąwszy jedną Szwajcaryą, nigdzie nas tak bardzo gościnnie nie przyjmują. W Saksonii ledwieśmy chwilowo cierpieni, we Francyi jest nas za wielu, w Bawaryi nie zawsze, nie wszystkim zostać wolno, w Belgii też siedzimy na łasce nowego prawa, które dozwala wygnać każdój godziny.

— Tak, ale pan zapewne, rzekł Baron spiesznie, uregulujesz swoją pozycyą, rząd rosyjski jest bardzo wyrozumiały, dozwala chętnie powrotu... Spodziewam się że pan nie należałeś do żadnej organizacyi, więc z łatwością pozwolenie otrzymasz powrotu do kraju...

— Być może iż otrzymałbym to pozwolenie gdybym się o nie starał, rzekł Jakób — ale cóż ręczy że przebaczenie dzisiejsze rozciągnie się do jutra? Niestety! żadne tam prawo stałe nie istnieje.

Baron się zmarszczył.

— Stan wojenny, wybąknął, naturalnie... ale to z czasem ustać musi.

— Potem, dodał Jakób, ta prośba o powrót jest zawsze uznaniem winy; naostatek, możnaż dziś z zimną krwią patrzeć na ten stan kraju, nie będąc w stanie nań radzić — skazanemu na bezczynność, lub co gorzej na działania przeciw przekonaniu?

Baron był niezmiernie zafrasowany, szczęściem Gromow z daleka do rozmowy się wniósł.

— A nie przepowiedziałem wcześniej tego co się stało? rzekł ponuro, nie błagałem ja ażebyście tę nieszczęsną rewolucyą wstrzymali?

— Nie było to w mocy niczyjój, rzekł Jakób, nikt jój nie pragnął, zdaje się że w przeznaczeniach Polski było aby tę krwawą przecierpiała łaźnię. Jest w tem palec czy kara Opatrzności!

— A! a! wy wierzycie jeszcze w Opatrzność, zawołał śmiejąc się Moskał, ludzie niepoprawieni i dziecinni. Mniejsza już o to żeście zgubili siebie, ale nas i Europę... tak jest... Patrzajcie co się dzieje, badajcie i rozważcie skutki waszego nierozsądnego porywu. Cała polityka stanęła na tem zwyczajtwie, nogą na karkach waszych. Pierwsi wy

obnażyliście słabość Anglii, nicość Francyi i spoddlenie ostateczne nawet uczucia moralnego ogółu. Po upadku waszym na gruzach podniesiono raz pierwszy chorągiew bezwzględneho, cynicznego egoizmu w polityce.

Dawniej czyniono źle ale był wstyd, Francya nie robiła nic dla Polski, ale wotowała corocznie protestacyą, teraz coroku wnoszony protest ten pada i świadczy że się nie wstydzą wyznawać system bezduszny¹⁾. Siła górą! Siła przed prawem!! Europa przyjmuje to i słucha.

Dawniej drgała jakaś fibra w ludziach na słowa wielkie: swobody, szczęścia narodów, braterstwa ludów, dziś się wszyscy z tych brzmiających wyrazów trefnie naigrawają; dziś to co było wczora sympatyczném, szlachetném, wzniosłém, stało się po prostu śmieszném. Lord Byron walczący za niepodległość Grecyi stał się karykaturą, Don Quichottem.

W ojczyźnie jego mówią otwarcie w parlamencie: nie zrobimy nic dla nikogo; ludzkość nie jest rodziną, nie jest solidarną, każdy u siebie, każdy dla siebie, każdy sobie.

¹⁾ Co gorzej, corocznie przychodzą petycje przeciwko przyjmowaniu Polaków do służby publicznej, a sprzymierzeńcy Budberga ich bronią!

Okrucieństwa i bezprawia których wy padacie ofiarą, Polacy, uznaje Europa za doskonały środek polityczny zjednoczenia, gwałty nazywa surową sprawiedliwością, odjęcie wam praw człowieka, wolności sumienia, wiary, języka, nieposzanowanie własności, potarganie węzłów rodzinnych, — uważa się za polityczną konieczność. Oto są owoce gorzkie waszego powstania.

Jeśli nie wszystkie one zrodziły się na tém drzewie, niemal wszystkich przyspieszyliście dojrzałość.

— Panie, odparł Jakób, jest to droga sromotna i bolesna, ale ludzkość przechodzi te gościńce, aby do swych celów dobiegła.

— Wierzę, zawołał Gromow, ale to są słowa nadziei dla przyszłych pokoleń, a nam! nam co zostało! My więc nie ujrzymy słońca swobody, my się u jój źródła nie orzeczmy; naszym udziałem patrzeć nietylko na poniżenie rodu ludzkiego ale na zdeptanie prawdy Bożej.

Bàron cicho szepnął do żony.

— *C'est un rouge enragé!*

Mimo gwałtowności tych wykrzyków Moskala, mało kto z towarzystwa nie cieszył się odwróceniem na nie uwagi, odciągnięciem od drażliwszego

przedmiotu rozmowy. Ale niemy dramat wejrzeń pod pokrywką udanej obojętności się odegrywał.

Henryk milczał dotąd kęsając wargi.

— Za pozwoleniem, rzekł mieszając się do rozmowy, na świecie wszystkie głupstwa się opłacają czy je popełnia człowiek czy naród; to co Polska cierpi na to zasłużyła... Moskale mają prawo powiedzieć: odwołaliście się w sprawie do pięści, macie pięść! Wszystko coście chcieli nam uczynić, odrobimy na was.

— Przepraszam pana, przerwał Jakób, Polska nigdy nie podobnego Moskwie uczynić nie chciała; dopominała się o swoje, o to co jej należało, co jej wydarto. W powstaniu Polacy tysiąckroć dawali dowody najłagodniejszych usposobień; puszczano jeńców, uwalniano oficerów, oddawano prywatną własność.

— To były głupstwa wasze! zaśmiał się Moskał, nie ma się czem chwalić. Zawsze wy występujecie z temi heroizmami. A jutro puszczony oficer wieszał powstańca co go uwolnił.

Umilkli na chwilę, Jakób rzekł cichszym głosem:

— Nie pora jeszcze może, sądzić o wypadkach, dramat to niedokończony, skutki jego nie pełne,

jest zaś tak potężny że następstw jego myśl objąć nie zdoła. To co p. Gromow mówi o wpływie na Europę, jest, niestety, prawdą, ale są inne skutki o których przemilczamy, bo mniej widoczne kryją się z przed oczów naszych. Krew ofiar nie spłynie darmo. Mimo okrucieństw i pogwałcenia praw wszelkich, na Litwie, w Rusi, w Polsce; mimo nieopatrzności rządu, który środków najniemoralniejszych używa z zuchwalstwem siły co sądzi że wiecznie będzie panią — skutki moralne rewolucyi téj i klęski nie dają się jeszcze ocenić. Bo co dobre i co wielkie rośnie powoli. Widok tego co się z nami dzieje, mimo antidotów patryotycznych, podziała na Rosyą, zaszczerpi w jój łonie myśli, uczucia, rzuci nasiona prawd nowych, krwią naszą podlejemy przyszłość ich i swoją.

— Przepraszam pana, panie Jakobie, odezwał się Henryk, ale widzę że pan jakoś ciągle identyfikujesz siebie z Polską. My, Izraelici, popełniamy przez to wielki błąd, narażamy się na prześladowania, obudzamy nieufność, gdy pora właśnie najlepsza owładnąć stanowiskiem korzystném. Rosya nas potrzebuje, wyciąga rękę, głupibyśmy byli żebyśmy jój nie posłużyli za materyał.

Baron miał już głowę kiwnąć, ale szczęściem

w porę sobie przypominał że od bardzo dawna żydem być przestał... zatopił się więc w rybie morskiej, którą właśnie podano.

Rozmowa wstępowała na grunt ogólny bardzo szczęśliwie, wszyscy byli temu radzi, każdy się lękał osobistości, przymówek, żarcików.

— Panie Henryku, odparł spokojnie Jakób, bardzo rad jestem że poruszasz tę kwestyą żywotną. Wiesz jak mnie obchodzi godność mojego narodu, jego losy, obowiązki, przyszłość; jest to przedmiot ważny o którym z chęcią się rozmówię obszerniej. Wszak pan powracasz do kraju?

— A! naturalnie, rzekł zagadnięty, po co te włóczęgi? do czego te emigracye? Każdy obowiązany jest pracować na tém polu które mu urodzenie wyznaczyło. Źle być może w Polsce, ale to nie uwalnia od obowiązków.

— Zupełnie się z tem zgadzam, odpowiedział Jakób, chyba dla ocalenia życia, przekonania, dla uniknięcia męczarni nad siły, można pozostać w emigracyi. Jednak nie mówcie by ona z pewnego względu nie miała swego celu i znaczenia.

Ztamtąd gdzie nie ma swobody słowa, emigracya unosi z sobą cześć prawdy i prawa, w imieniu ich protestuje. To jój cel główny, najważniej-

szy, jedyny. Jest ona świadectwem naszej niedoli przed Europą.

— Ale do czegoż się to zdało, przerwał Henryk, żebrać téj europejskiej litości i współczucia. Europa o nas wiedzieć nie chce, znać nie chce, opinia przeciwko nam, a w dodatku rozterkami naszymi dajemy się na szyderstwo obcym gorszące. Zabijamy się w opinii, która tylko pozoru do zabicia szuka.

W części masz słuszość, w części nie, odparł Jakób, są ludzie zmuszeni do tułactwa; czeka ich Sybir, szubienica lub katorga od Moskali, dalej wiekuista rządu niewiara... upokorzenie, spodlenie.

Co się tyczy zgorszeń, w istocie jest ich mało, a ta szuja co ich szuka, co je głosi, opinii nam nie odbierze, bo sama zasługuje na pogardę.

Aby nie zaprzec się prawdy, dodał Jakób, iluż głód cierpi i wygnanie...

— Pan rewolucyą nazywasz prawdą? podechwycił Henryk.

— Nazywam ją nieszczęściem, ale usprawiedliwioném trzydziestoletnim uciskiem... Była nicobrachowana, fatalną, nierozumną, ale występna nie była... Prawdą nazywam to co mówię tu, a czego bym tam wyznawać nie mógł...

— Co się tyczy rewolucyi, przerwał Gromow, powiem co z innego powodu wyrzekł niedawno Lord Russel — był to gorzej niż błąd, było to głupstwo.

— Ale to była — konieczność — odparł Jakób. Rosya podzegała do niej uciskiem nieustannym, upokorzeniami, dzieci nasze hodowała pielęgnując w nich ducha rewolucyi najwymyślniejszemi środkami, skrępowaniem umysłów, doktrynami co wszystko wałą a nic nie budują. Naostatek nie mogąc się doczekać upragnionego wybuchu, postąpiła sobie tak, aby go uczynić koniecznym. Dosyć przypomnieć w jakich warunkach zrobiono branke, jak mówiono o tym wrzodzie, który miał pęknąć...

— Ale powrócimy do żydów, przerwał Henryk, bo ja ich sprawę od polskiej oddzielam.

— Ja nie, rzekł Jakób.

— Żydzi, dodał Henryk, są dziś panami położenia, wszystko co im chciał dać naród, rząd skwapliwie potwierdził; szlachtę zduszono, ucisk najmniej dotknął Izraelitów, bo ich kapitały są najmniej dostępne. Zostali więc jedni ze środkami stosunkowo wielkimi, w kraju ogołoconym ze wszystkich... Rząd widzi to dobrze, pozwoli i żąda abyśmy zajęli miejsce opróżnione przez szlachtę, woli mojżeszowych niż katolików, trzeba korzystać!

— Żywotne zagadnienie w istocie, odpowiedział Jakób, ale przed nim idzie pytanie — Czem są dziś żydzi w Polsce? obywatelami kraju, czy pasażerami i kolonistami? — Rozwiązanie jego wskazuje nam nasze obowiązki. Jeśli jesteśmy obcy, przybysze, pasażerzy, pilnujemy interesu własnego tylko; jeśli obywatele... na barki nasze spada brzemień ogromne. Myślmy jak je dźwigniemy. Nikt z nas nie przyzna się by był tu jeszcze przybłądą z kramikiem i włóczęgą; mamy więc obowiązki względem ziemi, współobywateli, ludu, kraju, nawet pamiątek jego i przeszłości.

Jakób wyrzekł to z prawdziwem natchnieniem, ale znać było że oprócz Henryka, który rad był się z nim sprzeczać i zbijać go, wysoki ten nastrój rozmowy poczynął nużyć i niecierpliwić wszystkich. Tilda tylko słuchała z uwielbieniem dla ukochanego, Baronowa z roztargnieniem, Gromow obojętnie, Baron niespokojnie oglądając się czy kto nie podsłuchuje.

— Bardzo to zrećznie pan wyprowadziłeś, rzekł Henryk, ale wątpię ażeby większość współwyznawców zgodziła się z panem na obowiązki i chciała je zrozumieć. Wzięci jako naród, chociaż rozpieczęchły, składamy się z rozmaitych warstw ludzi; nie wszyscy możemy się policzyć do inteligencji, a

w krew naszego pospolitego ludu wszczepione jest rozumne samolubstwo zachowawcze, które przedewszystkiēm szuka własnego interesu.

— Dotykasz pan już, przerwał Jakób, nie kwestyi żydów w Polsce, i nie tych żydów o których ja mówiłem szczególniej, mających wykształcenie większe i środki, ale w ogóle kwestyi narodu naszego na całym świecie. Zgadzam się chętnie na przeniesienie jēj na to pole.

W istocie i dla nas też roztrzyga się dziś zadanie życia lub śmierci. Wieki przywilejów ustały, ustały z niemi epoki wyłączości, parjasów, przesądów krwi i plemion. Wszędzie prawie przypuszczeni jesteśmy do praw obywatelskich, do równości z chrześcianami, mamy na wsze strony otwarte pola do słowa i czynu. Mamy w rękach część znaczną prasy, środki do podtrzymania jēj i kredyt całej Europy, to jest byt państw, pokój, wojnę, niewolę i swobodę.

Doszliśmy do tego stanowiska niechybnie przeważnego w Europie, czém? — niedolą, szkołą ucisku i prześladowania, które w narodzie silnym wyrobiły i wady wielkie i wielkie przymioty. Winiliśmy to wyłączeniu nas z ogółu, które skupiało; nękanii, które hartowało; pogardzie, która odo-

sobniała; — nareszcie wyrobionej tém wszystkiém miłości swój narodowości, wiary, pamiątek. W nich długo całą znajdowaliśmy pociechę.

Niewolnicy na łaskę oddani ciemieżcom, heloci, zbieraliśmy grosz, aby się nim wykupić oprawcom, grosz, który się dzisiaj stał orężem naszym, gdyśmy porówni z katem stanęli u uczty życia.

Położenie dzisiejsze wkłada na nas ogromne obowiązki. — Nie łudźmy się i nie zapierajmy tego *prawa*, które pierwszy dał nam prawodawca — pamiętajmy że tylko czyny zgodne z moralnością prowadzą do żywota, do szczęścia, do chwały... krzywe drogi często są różami słane, ale wiedą do przepaści, w których giną narody.

Pokolenia są niczém — te zgniecione być mogą niesłusznie przez dzikich oprawców — ale zemsta Boża przychodzi choć późno... a zawsze przychodzi.

Od postępowania naszego dziś w świecie, w Polsce, zależy przyszły byt Izraela... lub zlejemy się z pogany dzisiejszego wieku — i zginiemy, albo po nad nich wyrośniem siedmioramiennym świecznikiem.

Im większe siły tém straszniejsza odpowiedzialność — chciałem powiedzieć przed Bogiem — ale wiem że na to uśmiechnie się wielu — więc przed prawem nadaném światu, które jest niezłomne.

Możemy pogwałcić to prawo, nie spełnić obowiązków, pójść ślepo za interesem chwili — ale to nam nie ujdzie bezkarnie.

W Polsce także spełnienie obowiązków naszych rozstrzyga o przyszłości żydów — Polska wydana na łup sile, która nie zna ograniczenia i buntuje się nawet przeciwko idei moralnej ilekroć ona jej staje na drodze, manny do wyboru cierpieć z narodem za prawdę, lub stanąć po stronie fałszu i ucisku, pokłonić się Baalowi. Poddawszy się mu, służąc za narzędzie... będziemy nieochybnie pochłonięci, pożarci; wspomagając, ratując, cierpiąc... okupujemy sobie przyszłość świetną i wielką.

Położenie Polski dzisiejsze z żadnego narodu współczesnego losem porównać się nie daje... Szał unifikacyi opanował Rosyą — nazwano sobie patryotyzmem tę zdradę kraju, która mu nieprzejednanych robi nieprzyjaciół, lub krocie ludzi z niego wyrzuca, jak Tatarów z Krymu, jak z Kaukazu Czerkiesów, jak Polaków z Polski.

Nie dosyć na tém, cały świat zagarnięto w przymierze przeciwko żywiołowi polskiemu; sąsiednie mocarstwa idą za polityką Rosyi posłuszne, zaślepione; inne które umiano przestraszyć rewolucją, choć z litością pozorną, ulekają pocichu, podstępnie

gniotą nawet nieszczęśliwe wychodztwo. Jest to bezprzykładne, straszliwe — ale jeśli kogo to nas powinno obudzić do serdecznej litości, współczucia i pomocy... Uznani braćmi, powinniśmy się niemi pokazać w istocie; bądźmy nieszczęśliwym pomocą, pociechą, ratunkiem, nie odestępujemy ich w chwili znękania... to nasze zadanie dzisiejsze!

— Romantyczne! poetyczne! heroiczne! prześliczne! rzekł Henryk śmiejąc się, ale nie ma w Polsce trzech ludzi, którzyby to zadanie tak pojmowali jak pan... a wszyscy je widzą zdrowo jak ja. Naprzód zawsze: *prima charitas ab ego*... potrzeba nam ocalić siebie, a więc zmuszeni jesteśmy zerwać z Polską, co nam łatwo, bo silne węzły nas z nią nie łączyły; powtóre, powinniśmy wypotrzebować, zużytkować położenie nasze... skorzystać zeń.

— Powinniśmy utrzymać stanowisko, zyskać siły, przerwał Jakób — ale to nam wcale nie przeszkadza spełnić zadanie jak ja je rozumiem.

— Przeszkadza... szlachta była, jest i będzie nam nieprzyjazną.

— Przeczę temu, odparł Jakób.

— Ja utrzymuje że tak jest, sprzeczał się Henryk — bo ja jój nienawidzę, bo jój nie cierpię, bo pamiętam jój upokorzenia ojców naszych... bo...

— O panie! zawołał Jakób, uderzmy się w piersi licząc cndze grzechy, a myż bez winy?? Stali arendarze ojcowie i dziadowie nasi u progu magnatów ich dziadów; ależ spojrzcie na przedpokoje dzisiejszych krezusów naszych, na miny pokorne tych panów herbownych, którzy w nich z lokajami wspólna audyencyą czekają. Nie oddaliżemy już upokorzenia z procentem? nie nasyciliżemy brzydkiego zemsty uczucia?

Noblesse oblige, mówiła szlachta, ja powiem inaczej, *toute force oblige*. Jedni chyba Moskale mogą tego nie rozumieć że kto siłę ma bez szlachetności, wspaniałomyślności, łagodności, ten nie Bożą ma siłę, ale bydłą...

To co zowiemy pomstą, a co się powinno nazywać sprawiedliwością, zostawmy Bogu, bądźmy nie drobnymi zjadliwemi stworzeńkami, ale ludźmi wielkiego ducha.

Walka nasza z chrześcijaństwem, jeśli istnieje jeszcze, na tém stoi byśmy przekonali chrześcian iż moralność nasza od ich moralności niższą nie jest, że wielkie prawdy miłości bliźniego, ofiary, braterstwa, zapisane są już w naszym zakonie; że to co w nim na pozór się im przeciwi, dorzuciły wieki ciemnoty i ludzie namiętności...

Zamilkł, Henryk śmiał się i ruszał ramionami.

— Wszystko to słowa, rzekł, fakta dzisiejsze kłam waszym teoryom zadają... Od pogwałcenia Polski nowa idea zapanowała Europie, jak ten pan słusznie powiedział: Siła przed prawem; — i druga: każdy dla siebie; i trzecia: interes materialny. Z wielkich murzonek, o swobodzie, braterstwie i t. p. zostały tylko suche kości, nikt ich nie wskrzesi...

Jakób się uśmiechnął.

— Gdyby ktoś z was czytywał jeszcze księgi święte, przypomniałbym mu owo widzenie Ezechiela... ono pole usłane kośćmi suchymi, na które tchnął ducha Pan i oblokły się ciałem i stały się olbrzymów zastępem, ale...

Obejrzał się Jakób, w istocie wspomnienie o widzeniu Ezechiela skutek zrobiło dziwny, wszyscy udawali że nie słyszą... stawał się tak kompromitującym, że mu ucha dać nie chciano.

Musiał zamilknąć.

Z uśmiechem dobrodusznym zwrócił się do żony i rzekł:

— Nieprawdaż że Włochy są cudowne!

— Nigdy mi się tak wspaniałemi, tak uroczeni nie wydawały.

— A pani jak je znajduje? zapytał Jakób Baronowój.

— Ja, przyznam się panu, że szanując tradycje które nakazują mi je widzieć piękniemi; muszę im przyznać nader malowniczą fizygnomią, ale... nie mogę powiedzieć szczerze aby ten kraj pusty, zniszczony, zawałony gruzami, żyjący na grobowiskach, przyjemne na mnie czynił wrażenie. Ja prozaicznie, wolę Paryż.

— To herezya w istocie! zawołał Jakób, Paryż jest czémś tak antypatyczném.

— A! godziż się to mówić! krzyknął Baron.

— Przepraszam, odparł Jakób, ale dla ludzi różnych, jak dla innych istot, są kraje właściwe, dla nich stworzone. Z tęsknotą, poezją, smutkiem w duszy trzeba jechać do Włoch, z prozą żywota ubraną w kwiatki do Niemiec, z przemysłem do Anglii, z weselem i żądzą życia i użycia, do Paryża.

— No? a do nas do Polski? podchwycił Henryk urągająco.

— Do nas, z pragnieniem męczeństwa i podniesionym ducha nastrojem, rzekł Jakób.

— Słusznie jednak dziś śmieją się z téj pol-

skiej teorii męczeństw i bezrozumem ją nazywają, przerwał antagonistą.

— Wiem, rzekł Jakób, ale pan Bóg ma swą teorią od której dla ludzkich szyderstw nie odstąpi...

— A! uroczy Paryż! szepnęła Baronowa. Mąż potakiwał z uśmiechem.

— To pewna że męczyć się można wszędzie, rzekł, ale się żyje tylko w Paryżu, no... a może trochę w Londynie...

— Zimny i mglisty! zarzuciła żona.

Henryk wśród tej roźnowy niekoniecznie idącej gładko, dosiadywał uparcie, poglądał na zegarek, potrzebował jechać, ale dwie te kobiety, przykuwały go do miejsca.... Poił się goryczą ich widoku, oderwać nie mógł.

Dano mu znać że veturyn jego czekał, kazał go odprawić.

Tymczasem obiad zbliżał się do wetów nieuchronnych, do fig, twardych gruszek, zielonych winogron i nadgniłych brzoskwiń.

— Mój Boże, rzekł Baron, cóż to za porównanie tych nędznych owoców, pod takim klimatem, do podawanych w Paryżu... tego nawet w usta wziąć nie można....

— *C'est abominable!* dodała Baronowa.

— Państwo jedziecie do Genui? spytała Muza Jakóba.

— Tak pani, ale nie dziś jeszcze....

— My musimy tam być przed wieczorem... jedziemy dziś na teatr, ciekawa rzecz jak tu na prowincyi śpiewają.

Zaczęto powoli ruszać się od stołu, Muza odciągnęła na bok dawną przyjaciółkę, aby z nią trochę pomówić sam na sam... Baron podał parę cygar Jakóbowi, a nawet Henrykowi, ale mówić o czém nie miał, nie chciał czy nie raczył... Pilno mu było wyrwać się z tego ukropu który go parzył ze stron wszystkich... Henryk siedział a siedział na złość. Gromow z cyganem zeszli się na osobną pogadankę i gwarzyli.

— A! kochana Tildo? spytała Baronowa odprowadzając ją w ciemny labirynt groty, jesteś szczęśliwą?

— A! nad wyraz wszelki... szczęśliwą o ile człowiek być może... Moje życie zatruwa tylko wspomnienie ogólnych nieszczęść kraju... myśmy wygnańcy... co krok spotykamy nieszczęśliwych braci... znajomych, ziomków.

— A! moja droga, obojętnie rzekła Baronowa,

człowiek się o to nieustannie, wszędzie ocierać musi... Ale Jakób...

— Jakób jest najlepszym z ludzi. Jakób jest dziś więcej niż kiedy ideałem moim.

— A widziałaś, dodała ciszej Baronowa, tego okropnego człowieka... Henryka. Jestem odważną ale patrząc nań zimnym oblewałam się potem... zdawało mi się że z nożem porwie się na nas...

— O! odpowiedziała Tilda smutnie, nie jest tak popędliwy... a wiele, wiele przebaczyć mu trzeba, bo cierpi...

— On! on! rozśmiała się Muza, o! ja go znam lepiej, bardzo się łatwo i niewymyślnie pociesza... Zamilkły.

Baron który pragnął uciec ztąd jak najprędzej, zarządził po cichu małą intrygę... Powóz zaszedł *proprio motu*, mąż zaczął zbierać gałganki żony, pakował się, zawijał, chrząkał, mówił głośno... dwie kobiety wyszły nareszcie z cieniów groty... Pożegnanie było krótkie, Henrykowi skłonili się z daleka, on im; Jakób z żoną odprowadził ich do powozu...

Świetna gwiazda znikła w tumanach kurzawy gościńca.

Henryk siedział uparcie, wiedząc że przytomno-

ścią swą dokuczać może, ale Tildę Jakób odprowadził na górę, a sam nie rychło, nie chcąc okazać wstrętu i obawy, zszedł znowu do grotty.

Zapalono cygara, zbliżył się cygan także, Gromow przysunął, gwarzyli... Henryk przybity nie mieszając się do rozmowy, nie ruszał się wszakże z miejsca.

Ograniczyła się więc pogadanka na ogólnikach między Jakóbem, Gromowem i cyganem, który się jak zawsze przeraźliwie nudził i dowiadywał tylko czémby mógł rozerwać. Gromow widział przyszłość czarno... Jakób jeden był spokojny.

— Człowiek, rzekł wysłuchawszy narzekania, nigdy rozpaczać nie ma prawa. Jeżeli mu chodzi o los jego własny, to małość ducha, to dziecięcy płacz nad skaleczonym paluszkiem; jeżeli o ludzkość, to ślepotą. Jest w dziejach ciąg rozumny, który głupotę i złość ludzką przełamać musi. Ludzie po swojemu kierują sprawami świata, ale nie są w stanie złamać jego prawa i losów przemienić. Trzeba czekać a burze przejdą....

— Ale nim słońce wejdzie, rosa oczy wyje! rzekł Gromow.

— Nasze oczy, może, ale oczy dzieci naszych widzieć będą słońce.... Nie jesteśmy człowiekiem

ale ludzkością, w losach pojedynczej jednostki nie ma téj całości jaka jest w dziejach, jednostki są to kamienie budowy....

— Zaprawdę, przerwał w téj chwili Henryk wstając, pan, panie Jakóbie, jesteś ze wszech miar człowiekiem szczęśliwym; masz wiarę, cel w życie, spokój, no — i na niczém ci nie zbywa.

— A pan? nie możesz pozyskać tego wszystkiego?

— Nie, odparł Henryk, ja życie wycisnąłem jak cytrynę, smaku w niém nie ma, została łupina, żyję bez celu, nie wierzę w nic, wszystko niemal śmieszném mi się wydaje... choroba wieku. Pańskie mrzonki lepsze są od rzeczywistości.

— Ale ja ich wcale nie mam za mrzonki, odparł Jakób, dla mnie są one rzeczywistością żywą, a wasz ten realizm trupem i zgnilizną.... Daruj mi pan, wracasz do kraju, jest tam wiele do czynienia, chćiej, żądaj, śmieję, a natchniesz nowym duchem życie swoje....

Henryk śmiał się ale boleśnie.

— Pojadę, rzekł z cicha, ale nie do kraju jeszcze, i nie po to co wy mi radzicie tak zbawienie, mam teraz co innego do roboty.... Zgadnijcie?! Ruszę w ślad za Baronem i Muzą, będę ich

ścigał, nastęczał się im, nudził i męczył szyderską fizygnomią, chodził za nimi krok w krok, to doskonale się ubawię i nasycę....

Ale każdy ma swoje smaki, naturę, charakter... mnie szatan widać w pieluchach kołysał... zostało mi coś z natury téj niańki.... Cha! cha!

Rozśmiał się dziko, wziął za kapelusz i wybiegł, wołając: Jeszcze muszę się im dziś pokazać w teatrze....

Już dla tego samego że Henryk do Genui pośpieszył, Jakóbowstwo pozostali w Sestri.

Po nad uspokojone morze wszedł księżyc błądy, noc była prześliczna, pusto i cicho w małej miejscinie. Na placyku przed kościołem kilka kobiet przy latarkach sprzedawały owoce, gdzieś gdzie z otwartego okna odzywała się gitara i śpiew wieczorny, parami młodzież przechadzała się pod platanami. Na wybrzeżu jeszcze kilkoro dzieci bawiło się wśród fali łagodnie rozplywających na piasku.

Szkielety budujących się bark pełne życia i skutu we dnie, odpoczywały i zasypiały, czarne ich boki szeregiem opasywały wybrzeże jakby twierdze jakieś dziwaczne.

Tilda i Jakób wyszli nad brzeg morza, biedna kobieta była czegoś zboląła i smutna, otworzyły się rany wspomnień przeszłości, oczy miała wilgotne i pierś wezbraną.

— Wszak odjechali wszyscy? spytała.

— Odjechali, rzekł Jakób. Spójrzysz jak pięknie świeci ten księżyc nad morzem, jaka cisza i majestat w tej naturze, która nam przypomina niezmiennością praw swoich, że i duchowe prawa są równie niezmiennie, że i my pogodniem czołem na wszystkie świata przygody patrzeć powinniśmy.

— Tak, przerwała Tilda po cichu, ale dajże wszystkim serca żelazne, coby mogły nie boleć od wspólnych nieszczęść świata, kraju, braci... Nauczyłam się i ja od ciebie wierzyć w sprawiedliwość, w nieubłagane prawo Boże; dumna jestem z tego, czuję, że sprawa wszystkich uciśnionych kiedyś odniesie zwycięstwo... ale my... ale pokolenia całe... Te krocie ludzi pod lodami Sybiru, zakute w łańcuchy, te niewiasty polskie z niemowlętami na rękach, idące przy taczkach katorżników, ci starcy z tęsknoty konający na bezludziu moskiewskim, te popalone miasta, sprofanowane domy, urągowisko niedoli... jakże na to patrzeć, wspomnieć to bez łez krwawych...

— Uwierz tylko w to, przerwał Jakób, że nie w świecie nie uchodzi bezkarnie, że prawda musi zwyciężyć, że te tysiące ludzi, ofiar, niosą za stopami swemi idee i nawracają sobą; że żadna z tych łez nie pada niepomyszczona, że żaden jęk nie rozwieje się daremnie, a w męztwie czerpamy siły do ofiar... i dalej, dalej, dalej, pracownicy przyszłości.... Idźmy tłuc kamienie na gościńcach handlarzy wieku, w kamieniach tych dłoń wygnańca uściśle drogę mającemu przyjść tryumfowi prawdy.

Świat zaparł się moralności, prawa, szlachetnych swych młodzieńczych popędów, i dójdzie do krańców bezbożnego szału, aż rozbiwszy się o nie, zawrócić będzie musiał.

Cóż znaczą męczarnie ludzi w wielkiem morzu wieków, życiu świata?...

Ręka w rękę, podpierając się wzajem, wlecmy się drogą ciernistą... nad nami Ten co był... co jest i będzie na wieki.



Biblioteka Raczyńskich

JK 596



JK0596